



UUK

GUY N. SMITH

**TRZĘSAWISKO 2
WĘDRUJĄCA ŚMIERĆ**



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
ROZDZIAŁ PIERWSZY	3
ROZDZIAŁ DRUGI	12
ROZDZIAŁ TRZECI.	20
ROZDZIAŁ CZWARTY	27
ROZDZIAŁ PIĄTY	45
ROZDZIAŁ SZÓSTY	51
ROZDZIAŁ SIÓDMY	58
ROZDZIAŁ ÓSMY	81
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.	89

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ralph Grafton przypatrywał się dwu koparkom systematycznie rozkopującym ziemię. Zaginiona maszyna była w dole. Jej kierowca musiał się tam również znajdować, pogrzebany żywcem.

Rozległ się zgrzyt metalu, posypały się kawałki ziemi i skał; pogięte resztki koparki Micka Treadmana zostały wreszcie wydobyte na powierzchnię.

Trzeba było przecinać stal specjalnymi nożycami, by dostać się do kabiny. W końcu ciało Treadmana zostało wyciągnięte i położone na nierównym gruncie. Wydawało się, że odniósł jedynie powierzchowne i niegroźne obrażenia, ale jego twarz była purpurowa i obrzmiała.

— Szybko, spójrzcie na dół! — Krzyknął nerwowo jeden z ratowników, stojący na nierównej krawędzi wykopu.

Na głębokości prawie dwudziestu stóp kłębiła się mieszanina kamieni i czarnego, śluzowatego mułu, wydzielającego przyprawiający o mdłości odór. Trzęsawisko zaczynało się już wypełniać cuchnącą wodą.

SSĄCY DÓŁ OŻYŁ!

* * *

Kiedyś rósł tu las. Teraz była to brzydka, jałowa pustynia, doskonały przykład na to, że nowoczesny człowiek nie ustaje w swych wysiłkach zmierzających do obrabowania Natury z jej piękna.

Jadący główną drogą rdzawy subaru zwolnił, jakby kierowca wahał się, czy zjechać na szeroki pas pobocza. Wreszcie zatrzymał się pomiędzy małymi kopcami piasku i żwiru. Były to pozostałości po wyeksploatowanych żwirowniach. Wkrótce i one miały zniknąć. Potem nie będzie tu już nic. Jeden z najpiękniejszych niegdyś zakątków był opuszczony.

Kierowca denerwował się. Jego ciało było napięte do ostatnich granic, usta zaciskały się w cienką, bezkrwistą linię, niebieskie oczy ogarniały wszystko rozbieganym spojrzeniem. Mężczyzna kurczowo trzymał kierownicę. Chciał uciec jak najdalej stąd i zapomnieć, że kiedykolwiek tu był.

Kilkakrotnie wyciągał rękę w kierunku drzwi, ale zaraz cofał ją z obawą. Musiał się w końcu zdecydować. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, by nie wysiadał. To miejsce wiązało się ze zbyt wieloma złymi wspomnieniami, powracającymi do niego w nocnych koszmarach. Budził się zlany potem, widział w ciemnościach ich twarze, jakby oni ciągle żyli i przychodziliby dokonać na nim straszliwej zemsty. Zapalał gorączkowo światło, ale zjawy nie znikwały. Widział je zawsze i wszędzie. Diabły w ludzkiej postaci, które wciąż go prześladowały, choć usiłował dowieść sobie, że nie istnieją.

Były też i przyjemniejsze wspomnienia. Dlatego tutaj wrócił. Nacisnął wreszcie klamkę i drzwi uchyliły się. Słodki zapach majowego powietrza wtargnął do wnętrza samochodu. Oczy na moment zasłyły mu mgłą. Wysunął nogi na zewnątrz.

Ruch uliczny oszołomił go swoim hałasem. Wyprostował się i zatrzasnął drzwi pojazdu. Czekał na dogodną chwilę, by przejść na drugą stronę drogi, miał absurdalną nadzieję, że sznur pędzących samochodów nigdy się nie skończy, i że będzie musiał zrezygnować ze swoich planów. Mógłby sobie wtedy powiedzieć, że zrobił co mógł. Ale sumienie i tak kazałoby mu wrócić tu ponownie.

Przebiegł drogę, stanął przed zniszczoną bramą. Zostały z niej tylko dwa długie, przegniłe słupy. Rozglądając się uważnie, dostrzegł połamaną tabliczkę leżącą w trawie. Litery były ledwie czytelne, ale przecież znał te słowa na pamięć. „UWAGA — ZŁY PIES” — tablicę przybijał kiedyś własnymi rękami. Dotarł do Lady Walk. Zabawne, jak bardzo bolesne bywają wspomnienia. Odnalazł piaszczystą ścieżkę, jedyną drogę prowadzącą do zakątka, który był kiedyś Lasem Hopwas. Było to ulubione miejsce spotkań zakochanych. Przyjeżdżali tu, bo stało się to już swoistą tradycją.

Szedł jak automat, patrząc na dokonane tu spustoszenia. „Może tak jest najlepiej, może całe to miejsce powinno zostać zniszczone, starte z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniało” — zastanawiał się, zdumiony otaczającym go widokiem.

Kilkaset jardów dalej zatrzymał się. Nieśmiały uśmiech pojawił się na jego ustach. Kiedyś ta ziemia stanowiła jego własność. Za piaszczystym wzniesieniem, ukryty za pasem wysokich sosen, których wierzchołki były widoczne, powinien stać duży dom.

Był to wielki, ponury budynek, ale przeżył w nim kilka szczęśliwych lat. Jedynie te wspomnienia chciał zachować, mimo że wciąż jeszcze przynosiły ból. Obrazy z przeszłości napłynęły gwałtowną falą; Clive Rowlands i Jenny Lawson, ofiary starożytnego zła, które emanowało ze Ssącego Dołu! . . .

Nigdy nie zdołał wyrzucić tego z pamięci. Znowu poczuł gwałtowną chęć ucieczki. Opanował się z wysiłkiem. Musiał przekonać się na własne oczy, że rozkopano to okropne bagno, które dziesięć lat temu zostało pogrzebane pod setkami ton skalnych odłamków.

Drżącą ręką zapalił papierosa, głęboko zaciągnął się dymem. Ssący Dół był cygańskim cmentarzyskiem, ale był także czymś więcej. Rachunek, jaki wystawiły mężczyźni złe siły, okazał się zbyt wysoki. Miał żonę i dosyć pieniędzy, by żyć w dostatku do końca życia. Ziemia, dom — wszystko to było jego. Ale w zamian miał być posłuszny przez resztę swoich dni potwornej istocie, z którą zawarł przymierze. Do czasu, rachunek wydawał się być korzystny. Tamte twarze pojawiały się nocą, ale nie mogły go zranić. Ani Cornelius — wódz Cyganów, ani Jenny Lawson — młoda, mściwa czarownica. Byli teraz tylko cieniami, które nie mogły mu zaszkodzić. Podobnie jak stary Lawson i Clive Rowlands, zawodzący z żalu za utraconym bogactwem i ziemią.

„Nie zdołałem od nich uciec, chociaż próbowałem” — pomyślał Chris Latimer. Również Pat budziła się w nocy i krzyczała, że widzi jakieś potworne zjawy.

Próbowali podtrzymać siebie na duchu, ale niewiele to pomogło. Wyczuwali, że coś czai się wokół, nieuchwytna siła, która zmusza ich do oglądania się za siebie, sypiania przy zapalonym świetle. Coś stało między nimi, niszczyło ich miłość, obracało ją w nienawiść, dręczyło każde z nich z osobna i wywoływało wzajemną wrogość.

Nie były to jedyne przyczyny, dla których Latimerowie zapragnęli uwolnić się od Ssącego Dołu. W tamtych latach handel drewnem kompletnie się załamał. Winę za to ponosiła ogólna recesja ekonomiczna, lecz stanowiła ona zarazem wygodne usprawiedliwienie dla złego zarządzania i nieudolności. Las Hopwas był olbrzymim magazynem drewna. Latimer nie mógł sobie pozwolić na oczyszczenie i pielęgnację leśnego poszycia. W rezultacie, cały jego majątek stanowiła dziczejąca puszcza, las, który nadawał się tylko do wycięcia na opał. To z kolei byłoby zbyt kosztowne.

W tej sytuacji Chris zdecydował się na sprzedaż. Nie mieli wyboru. Jeśli Pat zostałaaby tu dłużej, mogłaby zwariować. Firma zajmująca się wydobywaniem piasku i żwiru złożyła mu ofertę kupna. W lepszych czasach Latimer mógłby domagać się wyższej ceny, ale ponieważ nie wyglądało na to, by recesja miała się skończyć, przyjął proponowane warunki. Okoliczni mieszkańcy stali petycje, starali się nie dopuścić do przeobrażenia swego otoczenia w... to, co teraz oglądał. Latimer zrozumiał, że mieli rację.

W czasach prosperity ich protest mógłby znaleźć rozumienie, ale zezwolenie na wydobywanie zostało już wydane i w niespełna rok, drzewa zostały wycięte. Latimerowie wyjechali i zamieszkali w stylowym bungalowie w Warwickshire, gdzie mieli nadzieję pozbyć się wspomnień z Hopwas.

Ale tak się nie stało. Cygańska klątwa i moc Corneliusa sięgały poza granice starego lasu. Znowu pojawiły się nocne zmory, znowu budził ich wilgotny, zimny dotyk i w końcu zaczęli na powrót sypiać przy zapalonym świetle. Wróciły też wzajemne urazy. A pozostałe sprawy nie układały się najlepiej.

Chris podejrzewał, że Pat ma jakieś własne tajemnice, ale uporczywie usiłował ignorować plotki na jej temat. Kiedy mieszkali w Hopwas, Pat nigdy nie wychodziła wieczorami sama. Ale tu było inaczej. Mieli spory krąg znajomych. Czasami odwiedzali ich, aby rozwiać nudę i monotonię codziennego życia. Każde z nich próbowało na swój sposób urozmaicać sobie czas. Po jakimś czasie, wszystko stało się jasne.

Pamiętał ten dzień, gdy odkrył jej tajemnicę. Pamiętał swoją rozpacz i to, jak kurczowo ścisnął rękoma głowę. Przeżył prawdziwy szok, kiedy wróciwszy do domu zastał ich we własnym łóżku. Swoją żonę i olbrzymiego, muskularnego mężczyznę. Jego ciemna skóra przypominała Latimerowi, nawet w tamtej chwili odrętwienia i oszołomienia, Corneliusa.

Znaleźli się w zaklętym kręgu cygańskiej klątwy. Nie było ucieczki, ani dla niego, ani dla Pat. To był koniec ich związku. Teraz był już w stanie stawić czoła tej goryczy, która zżerała go, niczym rak.

Zadrzał, rozejrział się mimowolnie dookoła. Doznał dobrze znanego, dziwnego wrażenia, że jest obserwowany. Poczł mrowienie skóry i oblał go zimny pot. To było absurdalne, bo przecież stary las zniknął i nigdzie nie było miejsca, gdzie ktoś mógłby się ukryć. Niemniej jednak badawczo przyjrzał się okolicy. Tylko piasek i jeszcze raz piasek, jak na pustyni. Doły, większe i mniejsze, zaczynały już wypełniać się wodą zmieszaną z piaskiem. Podobnie jak Ssący Dół. Nie, nic nie mogło się równać z tą diabelską, bagnistą sadzawką. Policja znalazła Rowlandsa, Lawsons i Corneliusa. A także prywatnego detektywa, Kilby'ego. I setki szkieletów pochodzących z cygańskich pogrzebów, które odbywały się tu od wieków. Potem koparki zaczęły spychać w bagno tony skalnych odłamków, żeby całkowicie zasypać to przekłete miejsce. Zrzucały i zrzucały, ale wydawało się, że trzęsawisko jest bezdenne. Bóg jeden wie, jakie jeszcze sekrety w sobie kryło, zasłona została jedynie uchylona, ukazując widok pełen grozy. Chris musiał pójść i przekonać się, że bagno jest bezpieczne i nie zagraża nikomu.

Monotonne buczenie przyciągnęło jego uwagę. Zobaczył jakiś ruch, mechaniczne ramię pojawiające się i znikające za piaszczystym wzniesieniem. Maszyna ciągle jeszcze ryła ziemię, widać firma zdecydowana była wyczerpać do końca wszystkie pokłady, zanim... Jakie jeszcze piekło chcieli zgotować temu miejscu?

— To nie mój interes — powiedział do siebie Chris Latimer. — Mogą tu zrobić takie piekło, na jakie im przyjdzie ochota. Zapłacili za to. Powinienem być im wdzięczny, bo dzięki nim jestem niezależny. — Ale nie czuł wdzięczności; w głębi duszy nie wyrzekł się tej ziemi, a oni ją zniszczyli.

Wolnym krokiem podążał dalej. Przypominał sobie tę okolicę taką, jaką była kiedyś — wysokie sosny rosnące wzdłuż drogi, ich słodki zapach, ciężko unoszący się w powietrzu. Tęsknota bywa przerażająco okrutna. Nie powinien był tu przychodzić, ale teraz za późno na żal. Przyspieszył kroku, jego ruchy zaczęły zdradzać pośpiech. Chciał mieć to poza sobą i jak najszybciej sprawdzić, czy Ssą-

cy Dół jest wciąż przysypany tonami skał, a potem odjechać i nigdy tu nie wrócić. Nigdy.

Piasek przedostawał się wszędzie, wsypywał się Latimerowi do butów, zgrzytał między zębami. Minał samotny rododendron, który jakimś cudem uniknął zniszczenia i wypuszczał zielone pędy wśród wyjąłowionego krajobrazu.

Przeszedł kilkaset jardów. Serce biło mu szybko. Żwirownię przestano tutaj eksploatować — zostało 60 — 70 akrów skarłowaciałych drzew, głównie srebrnych brzóz i orlic* [przyp.: gatunek paproci], nietkniętych, ponieważ pokład się wyczerpał. To znaczyło, że prawdopodobnie nie zabrali się do Ssącego Dołu; nadal musiał być przysypany.

Ledwo rozpoznawał to miejsce. Tam, gdzie skalne rumowisko zostało zrównane z ziemią, wyrastały teraz chwasty. Wiatr przywiał nasiona srebrnych brzóz i młode drzewa wypuszczały młode pędy. Grunt był równy, zbyt równy, można się było domyślić, że to dzieło rąk ludzkich.

Latimer znowu odniósł wrażenie czyjejs obecności. Zatrzymał się. Nie miał ochoty podchodzić bliżej. Nie potrzebował zresztą, zobaczył bowiem wszystko. Jego złe przeczucia okazały się bezpodstawne. Ssący Dół nie został rozkopany. Zamknął oczy zanosząc w podzięce cichą modlitwę. Nie był religijny, ale...

I w tym momencie zdało mu się, że jego modlitwa została odrzucona i zło zatriumfowało. Poczul wibrację ziemi pod stopami. Lada chwila czarne wody mogły wytrysnąć z dołu, uwalniając gęste powietrze i cuchnący, zastały odór.

Nagle uświadomił sobie z ulgą, że to złudzenie. Przerażenie minęło, kiedy w zasięgu jego wzroku pojawiła się koparka. Stalowy potwór zbliżał się z podniesionym ramieniem, wprawiając ziemię w drżenie. Maszyna zwolniła, stanęła, silnik zamarł. Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem, drzwi kabiny otworzyły się i muskularny mężczyzna, ubrany tylko w dżinsy i ciężkie zakurzone buty robocze, zeskoczył na ziemię.

Biorąc pod uwagę jego ciężar, wylądował bardzo delikatnie, ze zręcznością i nonszalancją wyrobioną przez długie lata pracy na koparce. Jego jasne, niebieskie oczy zwęziły się, gdy obrzucił Latimera taksującym spojrzeniem.

— Szuka pan czegoś?

— Tak... Tak i nie. — Latimer odwrócił wzrok i uśmiechnął się. — Można powiedzieć, że przyszedłem tak sobie rzucić okiem. To była kiedyś moja ziemia.

— Czyżby? — spytał niedowierzająco.

— Nie mieszkam teraz w tej okolicy. Przejeżdżałem obok, a ponieważ udało mi się zaoszczędzić trochę czasu, pomyślałem, że zajrzę tutaj i zobaczę, co się stało ze starym lasem. Ale nie ma tu już ani jednego drzewa. Gorzej niż na Saharze.

— Pokłady się wyczerpały. — Mężczyzna kopnął kamień. — Ale właściciele nie mogą się chyba skarżyć. Znaleźli więcej, niż się spodziewali i udało im się wszystko sprzedać. A teraz chcą zrobić na tym interes, po raz drugi.

— Jak? — szybko spytał Latimer. Pytanie zadane było obojętnym tonem, ale gotów był natarczywie domagać się odpowiedzi. Była to dla niego sprawa najwyższej wagi. Choć nie miał do tego prawa — on właśnie czuł się właścicielem tej ziemi. Nigdy nie wyrzucił z serca tego miejsca.

— Nie słyszał pan? — wycedził powoli mężczyzna i sam udzielił sobie odpowiedzi. — Nie, nie przypuszczam, żeby pan słyszał, jeśli nie mieszka pan w okolicy. Firma spakowała już manatki, zostało jeszcze trochę maszyn i narzędzi, ale to wszystko. Mają zamiar sprzedać ten teren korporacji budowlanej za astronomiczną sumę! — zaśmiał się niemile, szyderczo.

— Budowa!?! — Chrisowi Latimerowi zakręciło się w głowie. — Nie mogą tu budować, to, jest Zielone Bagno.

— Było — poprawił go. — Ale już nie jest. Rozgrywały się tu piekielne awantury, wysłano mnóstwo petycji. Wieśniacy rzeczywiście narobili hałasu, zatrudnili najlepszego prawnika z Brum, ale nic im to nie pomogło. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to były tam jakieś zakulisowe rozgrywki. Nawet członkowie parlamentu nie zdołali im pomóc i ten facet, Grafton, wygrał sprawę. Dostał pozwolenie na budowę pięćdziesięciu domów. W następny poniedziałek zaczynają wymierzać parcele. Ja jestem samodzielnym pracownikiem i zostałem wynajęty do oczyszczenia tego kawałka ziemi. To kosmetyczna robota, większość terenu jest płaska, tylko tych kilka drzew i zarośli. Żebym zawsze miał taką pracę. Hej, naprawdę był pan właścicielem tego miejsca? Nie buja pan?

— Byłem — skinął głową Latimer. — Ponad dziesięć lat temu.

— I wyjechał pan stąd? Dziękuj pan Bogu! Chryste, w tej dziurze nie ma życia. Moja żona nienawidzi tego miejsca. Widoki są tak potwornie jednostajne, że wydaje ci się jakbyś ciągle tkwił w tym samym punkcie. Wszystko jest do siebie zupełnie podobne. Masz wrażenie, że ugrzęzłeś w pułapce i nigdy nie uda ci się uciec, choćbyś nie wiem jak się starał.

— Wiem dobrze, co pan czuje — powiedział Latimer. — Cholernie dobrze wiem. Ale oni nie mają chyba zamiaru budować domów akurat tutaj?

— Mają właśnie taki zamiar. Zaczną od tego końca, żeby postawić połowę domów, zanim tamte największe doły zostaną zasypane i wyrównane.

Chris Latimer poczuł, że pot spływa mu po twarzy lodowatymi strumyczkami. Spojrzał w kierunku wskazanym przez kierowcę koparki i wydawało mu się, że widzi Ssący Dół takim, jak zachował mu się w pamięci. Zobaczył wszystko wyraźnie do najdrobniejszego szczegółu: drzewa rzucające głęboki cień przez co woda widoczna między gęstymi trzcinami stawała się czarna; kępy bagiennej trawy, które wydawały się być pewnym oparciem dla stóp, dopóki nie stanęło się na nich całym ciężarem ciała, bo wtedy zapadały się.

— Nie mogą... nie tutaj... czy nie pamiętają? — wyjąkał.

— Nie będzie z tego nic dobrego, bracie. — Mężczyzna zawrócił w kierunku swojej maszyny. — Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Też mi się to nie

podoba, bo jeśli złączą budować w takim tempie, szybko nie będzie ani kawałka wolnej ziemi. Ale dzięki temu mam pracę, więc nie narzekam. A teraz jeśli zejdzie mi pan z drogi, będę mógł zacząć robotę.

Latimer rozmyślał gorączkowo. Instynkt podpowiadał mu, żeby zapobiec profanacji starożytnego cygańskiego cmentarza. Rozsądek mówił jednak, że byłby to daremny wysiłek. A gdyby powiedział prawdę, to pewnie wysłaliby go na leczenie psychiatryczne. Nie było szansy wygrania tu, gdzie nie powiodło się innym.

— Mam jeszcze jedno pytanie — krzyknął do kabiny.

— O co chodzi?

— Ten dom, ten duży dom za wysokimi sosnami, stoi tam jeszcze?

— Jasne — odpowiedział mężczyzna, przekrzykując huk zapuszczanego silnika. — Grafton tam teraz mieszka.

Latimer cofnął się, patrząc jak olbrzymia maszyna ciężko przetacza się obok niego. Chciał krzyknąć i spytać kim jest ten przeklęty Grafton, ale robotnik nie był w nastroju do przeciągania rozmowy.

Delikatne, młode brzozy zostały wyrwane z korzeniami, leżały na ziemi w mgnieniu oka, koparka przejechała po nich, zawróciła, najechała znowu. Dzieściu lat trzeba było, by wyrosły te drzewa, a zniszczenie ich zabrało tyle minut, ile kiedyś zbezczeszczenie Ssącego Dołu.

Chris Latimer odwrócił się. Nie mógł tu zostać.

Ruszył w kierunku wielkiego domu, oddalając się od Lady Walk. Było coś jeszcze co chciał ujrzeć, zanim opuści to miejsce na zawsze.

Niespodziewanie uświadomił sobie, że popełnia wykroczenie. Ten facet — Grafton, obecny właściciel, mógł pojawić się w każdej chwili i kazać mu się wynosić stąd do diabła. Latimer musiałby posłuchać, co byłoby poniżające, zważywszy, że ziemia ta stanowiła kiedyś jego własność. Był niespokojny, ale postanowił spojrzeć ostatni raz na stary dom, nim odejdzie na zawsze.

Dotarł do stromego wzniesienia. Sypki, wysuszony przez gorące słońce piasek utrudniał marsz. Próbował wspiąć się na nasyp ale ześliznął się z powrotem w dół. W końcu wgramolił się na czworakach. Stał na wierzchołku i z obawą rozejrzał się dookoła.

Doznał wstrząsu, przekonawszy się, że dom wygląda tak samo, jak kiedyś. Powinien był zrobić remont, kiedy mieszkali tu z Pat. Wiedział jednak, czemu na to się nie zdobył. Ingerowanie w przeszłość wydawało mu się świętokradztwem. Ten dom był żywą tradycją, zawsze wyglądał tak, jak teraz. Podobne uczucia żywił wobec Ssącego Dołu. To nie Chris kazał go zasypać. Zostało to zrobione z rozkazu policji, która zdjęła z niego ciężar decyzji. A mimo to, skończył jako ofiara cygańskiej klątwy.

Ukląkł na piasku i znowu oblał się zimnym potem na wspomnienie tej okropnej nocy, kiedy to zastrzelił Corneliusa. Działał w obronie własnej, nie miał żadnego wyboru. Odebrał życie człowiekowi. Cztery strzały z odległości nie większej,

niż piętnaście jardów. Mózg i kawałki kości rozprysły się w powietrzu. Pozbawiony twarzy olbrzym zalał się krwią, ale ciągle trzymał się na nogach. Latimer załadował ponownie, wystrzelił i dopiero wtedy Cornelius runął w bagno, które wciągnęło go w swoją toń.

Dom, niczym żywa istota, wydawał się patrzeć na niego groźnie, jakby pamiętał tamto wydarzenie. Patrzył i poznawał go. Okna były brudne, parę szyb popękało. Sprawiał wrażenie całkowicie opustoszałego. Pomyślał, że może kierowca koparki był w błędzie i Grafton wcale tu nie mieszkał?

Spróbował wyobrazić sobie wnętrza domu. Nie mogło być tak, jak przed laty, zabrali ze sobą wszystkie meble. Może był to tylko pusty dom z oknami stukającymi w wietrzne noce, pełen niewytłumaczalnych odgłosów, głuchych kroków, szeptów i chichotów? Wzdrygnął się, znowu ogarnęło go pragnienie, by być daleko stąd.

Nagły poryw wiatru poderwał tuman piasku. Latimer odwrócił się próbując osłonić oczy przed wirującymi drobinami.

Wiatr zerwał się znowu, jego świst brzmiał niczym krzyk tłumu demonów: „Odejdź, Latimer, zanim będzie za późno! Ssący Dół nie umarł!”

Ześliznął się po zboczu, nie zważając na piasek, który wsypywał mu się do butów, zasłonił twarz przed wirującym pyłem. Wpadł w panikę, ogarnęło go przerażenie, że nie odnajdzie powrotnej drogi do Lady Walk, będzie błąkał się w kółko w tej osłepiającej, miniaturowej burzy piaskowej. A kiedy przyjdzie noc...

Były to absurdalne myśli, a jednak przyspieszył kroku, teraz już prawie biegł kierując się na przełaj w stronę Lady Walk. Zerwał się huraganowy wiatr i Chris musiał walczyć ze wszystkich sił, by kolejne porywy nie zbiły go z nóg. Brnął z pochyloną głową, z trudem utrzymując równowagę.

Wreszcie poczuł ulgę. Dojrzał samotny rododendron przy piaszczystej ścieżce. Dotarł do niego ostatkiem sił, ścisnął w rękach twarde, zielone liście, jakby chciał się upewnić, że to nie złudzenie.

Po chwili powietrze znieruchomiło, liście ledwie poruszały się w słabych podmuchach wiatru, słońce prażyło z całą siłą. Gdyby nie zabrudzone piaskiem ubranie, mógłby uznać to, co zdarzyło się przed chwilą za twór jego wyobraźni.

Pomimo wszystko, zdenerwowanie wyszło mu na dobre. Oddawanie się nostalgii nie miało sensu, przywracało wspomnienia okropnych nocy sprzed dziesięciu lat, budziło na nowo ból serca.

Stał nasłuchując. Z dala dochodził nikły warkot koparki i odgłosy obsuwających się kamieni. Być może zniszczenie już się dokonało, stare cygańskie miejsce pochówku przestało istnieć. Teraz niczym się nie wyróżniający kawałek ziemi oczekuje, aż staną na nim klocki nowoczesnych domów.

Ale nie była to już sprawa Chrisa Latimera. Pomyślał, że głupotą było przychodzić tutaj i wskrzeszać wszystkie te okropne wspomnienia, budzące w nim znowu strach.

Wyczerpany wędrówką w przeszłość, odszukał wreszcie swojego subaru i odetchnął z ulgą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mick Treadman dawno miał już poza sobą wzruszenia i fascynacje związane z pracą na koparce. W latach chłopięcych marzył o tym, podobnie jak inni chłopcy marzą o prowadzeniu pociągu czy samolotu. Spędzał całe godziny na przylegającym do domu placu budowy, a nawet uciekał tam na wagary, po prostu po to, by patrzeć i słuchać tych potężnych maszyn.

Pewnego dnia obiecał sobie, że kiedyś będzie obsługiwał te maszyny wyrwijące ziemię i skały w chmurach gęstego pyłu. Nie chciał robić nic innego. Pieniędzy nie brał pod uwagę: gotów był pracować za darmo, jeśli tylko daliby mu koparkę.

Ale życie nie układało się tak, jakby sobie tego życzył Mick Treadman. Podczas, gdy większość jego kolegów zapomniiała o swych chłopięcych marzeniach, on ciągle miał obsesję. W szkole wykazywał brak zdolności, ale było to świadome działanie. Gdyby przeszedł przez podstawowy poziom nauczania, rodzice mogliby wysłać go do jakiejś nudnej, urzędniczej pracy. Był pewien, że jeśli uda mu się wpoić wszystkim przekonanie, że jest całkiem niepojętny, pozostanie tylko praca fizyczna. Musiał jednak zaczynać od bardzo niskiego szczebla drabiny zawodowej, robiąc herbatę jako chłopiec na posyłki w cegielniach stanu Nowa Kaledonia. Był ofiarą nieustannych żartów i psikusów.

— Hej, Mick, widziałeś kiedyś coś takiego? — śmiali się ordynarnie, kiedy na widok rozkładówki w sex-magazynie oblał się gorącą herbatą.

— Powiedz nam Mick, czy kiedykolwiek robiłeś to z takim kociakiem, jak ten? A może wcale jeszcze tego nie robiłeś? Może jesteś prawiczkiem?

Mick nie miał o tych sprawach zielonego pojęcia. Gdyby powiedział prawdę, dokuczaliby mu bezlitośnie. Gdyby skłamał, dręczyliby go wypytując o intymne szczegóły, próbując udowodnić, że jest kłamcą. Tak więc lepiej było śmiać się razem z nimi i wymijająco odpowiadać. To był jedyny sposób. Kiedy słuchał ich opowieści, wydawało mu się, że kierowcy koparek są właśnie tymi, dla których wspaniałe kobiety traciły głowę.

Z tego powodu Mick Treadman popełnił swój pierwszy poważny błąd życiowy. Stało się to niedługo po jego dwudziestych urodzinach. Dookoła placu budowy zawsze kręciły się dziewczyny, przekomarzając się z robotnikami i rozmawia-

jąc, czasami robiły inne rzeczy w szopie lub wśród stosów materiałów budowlanych.

Mick Treadman wyrównywał kawałek ziemi, pod którym leżał Ssący Dół, i wspominał przeszłość. Tak naprawdę, nie miał ochoty iść nigdzie z Joy. Umówił się z nią tylko dlatego, że wydawało mu się, iż kierowcy koparek muszą chodzić z dziewczynami.

Joy była sprytna, zbyt sprytna dla Micka. W pubie wypił o dwa drinki więcej, niż zazwyczaj, popisując się swoją dojrzałością.

Poszli na stare boisko szkolne, gdzie chodziło wiele par, którym nie poszczęściło się na tyle, by mieć do swej dyspozycji samochód. Noc była parna, burza wisiała w powietrzu, księżyc w trzeciej kwadrze stanowił romantyczne tło, delikatnie rozświetlając krajobraz.

Mrowienie przeniknęło całe ciało Micka, kiedy zaczęła go całować, wsunęła mu język w usta. Jej ręce sprawnie błądziły po jego ciele. Doprowadziła go do stanu takiego podniecenia, że prawie doznał orgazmu, zanim zaczęła pieścić jego męskość przez obcisłe dżinsy.

— Lubię cię — zachichotała. — Ty i ja powinniśmy się ustatkować, Mick.

— Mam zamiar być kierowcą koparki — ogłosił dumnie i niechybnie wdałby się w detale, gdyby jej błądzące zmysłowo palce nie przeszkadzały mu w szczególnej analizie własnych zamierzeń.

W chwilę potem, oboje byli na wpół rozebrani. Prowadziła jego ręce, pokazując mu jak i gdzie chce być dotykana. Jej pocałunki stały się bardziej namiętne, ciało drgało i prężyło się, jakby była na granicy wytrzymałości. Potem uniosła się nad nim i wsadziła sobie jego naprężoną męskość tam, gdzie chciała.

— Hej... czy nie powinienem się jakoś... zabezpieczyć?

— Zostaw to... mnie — wyjąkała. I zrobił tak, wierząc jej na słowo, że wzięła pigułkę.

Nie trwało to długo, najwyżej jedną — dwie minuty. Joy osiągnęła szczyt, opadła na Micka całym ciężarem ciała, jakby nie mogła już wytrzymać, chwyciła go kurczowo i drapała długimi paznokciami. Żałował, że nie może zrobić tego dla niej jeszcze raz, ale było to niemożliwe. Jego myśli wróciły do koparki i sławy człowieka, który przygotowuje teren pod budowę domów. Kiedyś osiągnie ten status, a wtedy kociaki będą go oblegać.

Kilka tygodni później Joy podzieliła się z nim nowiną. Wyszli właśnie z pubu, możliwe, że skierowaliby się później na boisko.

— Jestem w ciąży — powiedziała po prostu.

— Niemożliwe! — aż się zachłysnął z niedowierzania i przerażenia.

— Dlaczego nie? Zrobiłeś mi dziecko, jestem pewna, że to ty, bo nie spałam z nikim innym.

W tych pierwszych okropnych chwilach miał chęć zadusić ją, walić w twarz do krwi. Ale nie zrobił nic takiego. Zatrząsł się, zaprzagnął uciec gdzieś i prawdo-

podobnie zrobiłby to, gdyby miał dokąd pójść i gdyby miał trochę pieniędzy. Ale nie miał ani jednego, ani drugiego. Zdawał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę.

— Będziemy musieli się pobrać — powiedziała z satysfakcją. — Ale i tak byśmy to zrobili, prawda Mick?

Do tej pory, Joy dość swobodnie podchodziła do kwestii małżeństwa. Mick zdecydował, że czas z tym skończyć. Dobrze prezentujący się kociak, którym można się pochwalić podczas przerwy śniadaniowej, był sprawą ambicji każdego z robotników. Postanowił, że zostanie jego żoną i skończą się wreszcie te docinki.

Joy poroniła i życie stało się po tym niezmiernie monotonne. Mick bywał w pubie tylko w sobotnie noce, a i wtedy ona przychodziła wraz z nim. Przez cały tydzień próbował łapać nadgodziny, nie dla pieniędzy, ale dlatego, że nie mógł wytrzymać w domu.

Potem przedsiębiorstwo zostało zamknięte i Mick spędził rok na zasiłku dla bezrobotnych. Musieli przenieść się do Midlands w poszukiwaniu pracy. Ciągłe był pomocnikiem murarza, patrzącym z zazdrością na operatorów koparek. A kiedy i tutejsza firma upadła, Mick zaryzykował, kupił za resztę oszczędności starą koparkę i zaczął pracę na własną rękę. I teraz, kiedy miał w końcu to, o czym marzył, nie był pewien, czy naprawdę tego chciał. Początkowo emocje zgasty i praca, po której tyle sobie obiecywał, stała się tylko uciążliwym obowiązkiem. Wszystko, co pozostało mu w życiu, to Joy, witająca go jękami i skargami, kiedy wracał do domu. Próbowwała zająć znowu w ciężę.

Oto ironia życia. Treadman roześmiał się głośno w swej kabinie. Pomyślał, że człowiek walczy o coś, a kiedy to dostaje, rozczarowuje się i na pewno z Joy byłoby tak samo, gdyby miała to swoje dziecko, ich życie nadal byłoby zwykłym, cholernym piekłem.

Zatrzymał maszynę i obejrzał teren, który właśnie wyrównywał. Zawsze szczyił się tym, że dobrze wykonuje swoją pracę.

Zawrócił, zdecydował przejechać po skosie. Miał nadzieję, że może kiedyś inspektorzy budowlani to zobaczą, znajdą mu jeszcze jakąś robotę.

Wydało mu się nagle, że koparka obsunęła się o ułamek cała — mogło to być złudzenie. Silnik zakrztusił się, lecz zaskoczył znowu. Sprawdził wskaźnik paliwa i zorientował się, że powinno wystarczyć do skończenia pracy.

Nastąpił kolejny przechyl: tym razem zdecydowanie nie było to złudzenie. Mick przypomniał sobie czas, kiedy pracował na czarno i musiał zaorać farmerowi pole położone na stromiźnie. Kiedy był w najbardziej niebezpiecznym miejscu wysiadł hamulec. Wrzasnął, czując jak jego czterokołowy traktor zaczyna zjeżdżać. Wiedział, że nie ma sposobu, aby go zatrzymać. Maszyna nabierała szybkości, przechylając się na obie strony i cudem tylko nie wywróciła się. Traktor wbił się wtedy w stertę ciernistych krzewów, które wcześniej wyrwał, i na tym się skończyło.

Ale tutaj teren był poziomy i koparka nie mogła nigdzie zjechać.

Przechyliła się teraz w drugą stronę, jakby zapadała się pod powierzchnię. Sprzęgło zawyło, koła traciły przyczepność. Mick wychylił się naprzód, spojrzał w dół. Na Boga żywego!

Wydawało się, że ziemia się pod nim rozstąpiła. Pęknięcie poszerzało się równomiernie. Wytrzeszczał oczy, wpatrując się w czarną czeluść. Koparka ześlizgiwała się o mniej więcej stopę na minutę, stal zgrzytała o skały, cała maszyna wibrowała i trzeszczała.

Treadman chciał wydostać się z kabiny, otworzyć drzwi i wyskoczyć, ale okazało się to już niemożliwe.

Koparka znów obsunęła się. Żołądek podszedł mu do gardła tak, jak wtedy, kiedy wujek zabierał go na przejażdżki samochodem i zbyt szybko zjeżdżał z garbatych mostków.

W panice rozglądał się za czymś, czym mógłby rozbić szyby z grubego szkła i wypełznąć na zewnątrz, dopóki jeszcze był czas. Jego palce natrafiły na stalowy klucz, chwycił go i zamachnął się. Kolejne szarpnięcie rzuciło nim, wypuścił klucz z ręki.

— O Boże, co za ból — krzyknął rozpaczliwie.

Próbował się poruszyć. We wnętrzu kabiny stawało się coraz ciemniej, w miarę, jak koparka opadała w dół.

Oszałały umysł podpowiadał mu, że to może trzęsienie ziemi, nagłe i nieprzewidziane przez ekspertów i ich wymyślne przyrządy. Wiedział, że nie może przecież trwać bez końca. Ale nawet jeśli się skończy, on nie będzie w stanie uciec ze swego stalowego więzienia. Podjął kolejną próbę poruszenia się choć o kilka cali. Poczłł nieopisany ból kręgosłupa i zrezygnował, zlany potem, wijąc się z bólu. Wołał o pomoc, ale tylko echo odpowiadało mu szyderczo w zamkniętej kabinie.

Zdawał sobie sprawę, że zaczął go szukać dopiero w nocy, do zapadnięcia ciemności nikt się nie zaniepokoi jego nieobecnością.

Leżał na plecach, utkwivszy wzrok w ostatniej smudze światła. Musiał odwrócić głowę, bo patrzył prosto w słoneczny blask. Przed oczami wybuchły mu tęczowe koła. Jego siła woli osłabła, dał za wygraną. Nie zamierzał już walczyć, chciał zachować spokój.

Maszyna opadała nadal, niezgrabnie pogrążając się w ziemi, obijając się o skały. Rozległ się trzask miazdzonego metalu — stalowe ramię zostało złamane.

Teraz zapanowała prawie całkowita ciemność. Mick Treadman okrutnie cierpiał, ból w plecach przenikał do głowy, jakby całe jego ciało miało się rozpaść na dwie połowy. Zamknął oczy, ale taniec oszałałych światel nie ustawał.

Zapłakał, chociaż nie robił tego od czasu, kiedy był małym chłopcem i bezdomny kot, którego wykarmił został przejechany przez motor. Ten sukinsyn motocyklista nawet się nie zatrzymał, zostawił go na krawężniku, tulącego martwego zwierząka i zanoszącego się szlochem. Do tej pory prawie zapomniał o tym incydencie, zastanawiał się dlaczego wspomina tę sytuację właśnie teraz? Zaszlochał.

Ziemia znów obsunęła się. Poczuł, że boki kabiny wypaczają się pod naciskiem skał, nietłukące się szyby popękały, ale nie rozsypały się. Ostatni promień światła rozjaśnił na chwilę wnętrze kabiny, a potem skały i ziemia zaczęły spadać lawiną na dach grzebiąc koparkę. Kamienie posypały się z obu stron, uderzając w szkło, niczym grad.

Cisza wyzwoliła kolejną falę paniki w umyśle mężczyzny. Wiedział dobrze, że zostać żywcem pogrzebanym oznacza powolną, przerażającą śmierć w ciemnościach, dławienie się każdym haustem nieświeżego powietrza, dopóki cały tlen się nie wyczerpie.

— Nie! — wrzasnął. — Nie chcę umierać, nie w ten sposób!

Jego głos był chrapliwy i stłumiony, nie odbił się nawet echem. Wpatrywał się w mrok, próbując coś zobaczyć, ale ujrzał tylko niewyraźne rozbłyski światła, które migotały mu przed oczami. Dyszał ciężko, starając się przekonać samego siebie, że nie zostanie pozostawiony na taką śmierć. Muszą tu przyjść i odszukać go. Miał nadzieję, że może ten zwariowany facet, który próbował udawać, że kiedyś był tu właścicielem, usłyszał, że koparka się zapada. A może on także został pogrzebany.

Treadman znowu spróbował się poruszyć, ale bez powodzenia. Zresztą nie miało to większego sensu. Nawet gdyby odzyskał pełną sprawność ciała, nie miałby nic do roboty. Rozbijanie okna byłoby daremne, ponieważ i tak potrzebna była druga koparka, by go stąd wydobyć. Obawiał się, że pęknięcie zostało zasypane, aż do powierzchni i nie będą nawet wiedzieli, że on tutaj jest.

Było mu już wszystko jedno. Jeśli nie znajdą go, to ten grób będzie tak samo dobry, jak każdy inny.

Otaczała go pustka. Nie miał zegarka, więc nie mógł liczyć upływających minut, godzin. Łomot w głowie opadł do monotonnego pulsowania, migotające światła zgasły. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Zaczynało być duszno. Z coraz większym trudem oddychał ciepłym, stęchłym powietrzem. Gdyby tylko udało mu się zasnąć, może nie byłby świadomy, że zbliża się śmierć.

Zasnął, unosząc się na krawędzi błogiej nieświadomości. Potem nagle się ocknął, dźwignął raptownie ciało do półsiedzącej pozycji i głośno wrzasnąwszy z bólu, opadł z powrotem na dźwignię, która wbijała mu się w żebra. Usłyszał coś, może przewidziało mu się, a może rozum go zwodzi — że pomoc była na wyciągnięcie ręki i ekipa ratunkowa próbuje się do niego dokopać.

Wszystko to wytwory jego rozgorączkowanej wyobraźni. Ale nie — usłyszał to znowu. Tap... tap... tap...

Coś stuknęło w okno.

— Kto tam? — zawołał instynktownie. Natychmiast, roześmiał się histerycznie i pomyślał: „Nie bądź głupcem, nie ma tu nikogo, bo nikt nie mógłby dostać się na dół. To na pewno znowu te kamienie, wyszukujące sobie drogę przez nagro-

madzone rumowisko, wypełniające każdą szczelinę tak, że ani odrobina świeżego powietrza nie mogłaby się tu przedostać”.

Tap... tap.

Ktoś był tam, na zewnątrz! Przez grube szkło mógł rozróżnić jakiś kontur, błądy owalny kształt przyciśnięty do pękniętej szyby. Ujrzał twarz.

— Pomóż mi — w rozpaczy zapomniał o bólu, jaki wywoływał każdy ruch. Chciał znaleźć znowu ten klucz i roztrzaskać szybę. Rzucił się na podłogę, ale nigdzie go nie znalazł.

Natarczywe pukanie przyciągnęło jego uwagę. Znieruchomiał, wytrzeszczył oczy. Stawało się chyba jaśniej, bo mógł rozróżnić rysy twarzy. Musieli kopać bezpośrednio nad nim, choć nie było to normalne światło dzienne, a raczej rodzaj jarzącej się poświaty.

Dostrzegł młodą, mniej więcej dwudziestoletnią dziewczynę, którą uznałby za atrakcyjną, gdyby nie była tak wynędzniała i zaniedbana. Nie mógł zobaczyć jej całej postaci, a tylko twarz i rękę stukającą w okno smukłymi palcami. Paznokcie miała długie, poczerniałe i połamane. Długie, splecione włosy, zdawały się być kosmykami przylepionymi do czaszki. Pomiedzy nimi świeciły gołe miejsca, jakby cierpiała na rodzaj świerzbu. Mick uznał to za złudzenie wywołane załamywaniem się światła w rumowisku.

Jej oczy płonęły jasno, gorączkowo, migotały w nich zielone refleksy, niczym światło słoneczne, tańczące w zarośniętej wodorostami wodzie. Nieruchome, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego zachłannie, jak oczy czającego się węża. Miała zgrabny wąski nos i zuchwałe usta, ale kiedy je otworzyła, wargi odsłaniały ciemną jamę, która wydawała się być bezzębna. Wydawało się, że coś mówi, ale Mick Treadman nie rozróżniał słów. Żałował, że nie nauczył się czytać z ruchu warg.

— Kim... jesteś? — spytał z wysiłkiem, miał wrażenie, że płuca pękną mu za chwilę.

Teraz mógł ją usłyszeć, jej odpowiedź podobna była do lodowatego porywu wichru w podziemnej pieczarze.

— Jestem Jenny, Jenny... Lawson.

„Kim u licha była Jenny Lawson i jak się tutaj dostała? Przecież ekipa ratunkowa nie wysłała obnażonej dziewczyny do tego czarnego, dusznego piekła. To szaleństwo” — pomyślał. Było w niej coś... dziwnego, nienormalnego. Coś, co się mu nie podobało. Coś, co przeraziło go daleko bardziej, niż dusząca ciemność i perspektywa potwornej, powolnej śmierci!

Widział teraz nie tylko jej twarz i rękę. Widział ją aż po uda. Dziewczyna była kompletnie naga! W innych okolicznościach widok nagiej dziewczyny, która nazywała siebie Jenny Lawson, podnieciłby Micka Treadmana, ale tutaj było to odrażające. Jej ciało było w stanie daleko posuniętego rozkładu, choć dziewczyna żyła i ruszała się!

Jego wzrok powędrował w dół, spoczął na kępie splątanych włosów, a ona, jakby odgadując jego myśli, rozchyliła prowokująco nogi. Chciał odwrócić wzrok, nie mógł znieść myśli, że ona próbuje opanować jego umysł.

— Spójrz na mnie... — padł rozkaz, który go sparaliżował. — Podobam ci się? Otwórz i wpuść mnie, a będę twoja.

— Nie ma mowy. Oszalałaś. Nie wiem, jak się tu dostałaś, ale nie pozwolę ci się dotknąć!

— Wszyscy mnie mieli.

Waliła pięściami w okno, pęknięta szyba trzeszczała. Przyciśnięta do okna twarz wykrzywiła się karykaturalnie, jej oczy paliły go niczym jasny blask słońca.

— Odejdź do diabła i sprowadź pomoc. Nie widzisz, że umieram? Umieram, do cholery!

— Wszyscy tu jesteśmy martwi. Ciebie też to niedługo spotka i wtedy będziesz mój!

Wrzasnął, próbował odwrócić głowę, ale nie dał rady. Wpadła we wściekłość, w furii waliła w szybę, chcąc dostać się do niego, jej wynędzniałe piersi spłaszczyły się, ale sutki pozostawały nabrzmiące. Mick poczuł niezrozumiałe podniecenie. Wiedział, że jeśli się do niego dostanie, będzie się z nią parzył, z zachwytem powita bliskość jej gnijącego ciała.

— To wszystko wytwór mojej wyobraźni! — krzyczał, ale ona waliła w okno, rozchylała uda i śmiała się histerycznie.

Nagle z ciemności wysunęła się olbrzymia ręka, chwyciła ją i pociągnęła w tył. Treadman usłyszał jej wrzask, zobaczył, że walczy z ogromnym, masywnym mężczyzną, który ścisnął ją za gardło tak, że oczy wyszły jej z orbit i wyglądały jak wielkie, marmurowe kulki. Rozległ się ryk i Mick zamknął oczy, by nie oglądać okropnej sceny, rozgrywającej się zaledwie kilka stóp od niego.

Olbrzym miał dziko rozczochrane włosy, smagłą twarz zniekształcał grymas furii. Wielki kolczyk kotłował się w jego uchu. Podarte ubranie nie zakrywało potężnego ciała, z którego odpadała płatami skóra, ciemne oczodoły mogłyby wydawać się puste, gdyby nie to, że błyszcząły zwierzęcą wściekłością.

— Cornelius! — wrzasnęła jeszcze raz dziewczyna, zanim ostatecznie zniknęła Treadmanowi z oczu.

Teraz wielki mężczyzna walił w okno, jego gniew obrócił się przeciw uwięzionemu w kabinie nieszczęśnikowi. Po grubych wargach ściekały mu strumyki śliny. Mick Treadman skulił się na podłodze bełkocząc. Ten diabeł z pewnością miał dosyć siły, by włamać się do niego. Mały odłamek szkła upadł z brzękiem i rozprysnął się. Potem kolejny... i następny.

Odór wypełnił małą, zamkniętą kabinę. Odrażający smród, który przypominał woń kanału ściekowego. Mick wstrzymał oddech, ale mimo tego zebrało mu się na wymioty.

Szyba roztrzaskała się na tysiące kawałeczków. Treadman wrzasnął znowu, ale zdawał sobie sprawę, że nie zdoła powstrzymać intruza, który właśnie wchodził do wnętrza. Grube palce chwyciły jego gardło i zaczęły się zaciskać. Towarzyszył temu gardłowy, maniakałny śmiech.

Mick Treadman spojrział w puste oczodoły, czując, że uchodzi z niego życie. W tym sadystycznym uśmiechu zobaczył nienawiść, jawną wrogość, której nie był w stanie pojąć. Wpatrywał się w ciemną twarz tego, który zabija, ponieważ cieszy go zabijanie.

I powoli wiekiusty żar zaczął zanikać, na jego miejsce przyszła ciemność, całkowita i ostateczna czerń, tak zimna, jak żelazny uścisk rąk wielkiego mężczyzny. Aż w końcu, wszystko znikło i odszedł nawet ból.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ralph Grafton patrzył ze szczytu piaszczystego kopca, na dwie maszyny, systematycznie rozkopujące płaski teren o powierzchni jednego akra. Zaginiona koparka była tam na pewno, ponieważ odgrzebali już złamane ramię i pogięty chwytak. Kierowca musiał być tam także, pogrzebany żywcem — z pewnością martwy. Grunt musiał się zapaść w wyniku erozji; było to jedyne rozsądne wytłumaczenie tego, co się stało.

Grafton odrzucił niedopałek i zapalił kolejnego papierosa. „Do diabła, to mogło wstrzymać roboty na całe tygodnie. Policja rozpocznie śledztwo, geolodzy mogą stwierdzić, że ten teren nie nadaje się pod zabudowę. Mogą wynikać rozmaite komplikacje, które doprowadzą do unieważnienia pozwolenia na budowę” — myślał z obawą.

Ralph Grafton skończył niedawno czterdzieści lat. Wysoki i szczupły, wyglądał na takiego, który zawsze dostaje to, czego chce. Łączył w sobie bezwzględność i determinację. Był przystojny, ale jeśli przyjrzeć mu się bliżej, odkrywało się coś niepokojącego. Wiedziało się, że nie można mu ufać. W jego obecności ogarniało ludzi zdenerwowanie. Rozchełstana koszula i sztruksowe spodnie kłóciły się z wyobrażeniem biznesmena; był sobą, nie grał żadnej roli.

Sukcesy Graftona zaczęły się, kiedy skończył czternaście lat. Już w tym wieku był wystarczająco ambitny, by wyegzekwować od życia to, czego chciał. Roznoszenie gazet stało się dla niego pierwszą szansą. Parę funtów na tydzień bardzo się przydawało, ale pozostawały inne możliwości, które przysięgł sobie wykorzystać. Jego mottem było: „dlaczego robić coś dla kogoś innego, jeśli można zrobić to dla siebie?” W wieku piętnastu lat miał już stragan z używanymi broszurami w miękkich okładkach, po szylingu każda. Kiedy miał lat dwadzieścia, nabył swój pierwszy kiosk z gazetami, który sprzedał trzy lata później. Potem zaryzykował w branży budowlanej, trafił na boom i w ciągu dekady zarobił swój pierwszy milion. Wciąż nie był zadowolony.

I teraz nie miał zamiaru pozwalać na zahamowanie przygotowań tylko dlatego, że jakiś cholerny głupiec sam siebie pogrzebał. Jego oczy zwężyły się, serce uderzyło szybciej, kiedy zobaczył, że łańcuchy poszły w ruch. Zlokalizowali zaginioną maszynę; musieli teraz tylko ją wyciągnąć.

— Pod powierzchnią grunt jest miękki — zawołał jeden z mężczyzn. — Musimy uważać, żebyśmy nie skończyli tak, jak on.

Policja i robotnicy stali, zaglądając w głąb wykopu. Grafton nie ruszył się z miejsca.

Łańcuchy szczęknęły, potężne silniki zawyły. Rozległ się rozdzierający uszy, wywołujący gęsią skórkę zgrzyt rwanego metalu. Posypały się skalne odłamki i ziemia. Pogniecione resztki koparki Micka Treadmana zostały wydobyte na powierzchnię. Maszyna przypominała kupę metalowego złomu.

Silniki zamarły. Przez kilka chwil nikt się nie ruszał jak po wypadku ulicznym, kiedy trzeba nie lada odwagi, by zajrzeć do wraka.

Jeden z ubranych po cywilnemu oficerów policji, wspiał się i zajrzał do wnętrza kabiny przez strzaskane okno.

— Jezu Chryste — wyjąkał zeskoczywszy w dół, drżący i kredowoblady.

Grafton ruszył naprzód, dyskretnie przyłączył się do tłumy.

— To tylko kolejny nieszczęśliwy wypadek — powiedział do siebie. — W branży budowlanej trzeba się z nimi pogodzić. Pewien stały procent pracowników ginął każdego roku, ponieważ nie można całkowicie wyeliminować ryzyka, bez względu na to, jakie się zastosuje środki ostrożności. Pamiętał, jak kiedyś jeden z robotników spadł z rusztowania na znajdujący się sto stóp niżej chodnik. Przechodnie wrzeszczeli, kobiety mdlały. W rezultacie stracili pół dnia pracy. Nie można na to pozwalać; w dobie masowego bezrobocia praca była cenna. Miał nadzieję, że tutaj nie zdarzy się podobny przestój.

Musieli użyć stalowych nożyc, by dostać się do kabiny. Wszyscy cofnęli się. Gwałtowna śmierć jest zawsze przerażająca.

Zapadła cisza, przerywana tylko sapaniem ludzi wyciągających ciało. Złożyli je na nierównym gruncie.

Powiało grozą, nawet Ralph Grafton poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Wydawało się, że obrażenia są jedynie powierzchowne. Ale twarz, mój Boże! Purpurowa i obrzmiała, a szyja rozdęta jak u wisielca. Rysy twarzy zniekształcał grymas tak potworny, że przyprawiał o wymioty!

Twarz zakrzepła w woskową maskę czystego przerażenia. Wytrzeszczone oczy wyglądały niczym mydlane bańki, usta były ciągle otwarte, jak do wrzasku, który nigdy nie miał się skończyć.

— Każdy pogrzebany żywcem mógłby tak wyglądać — powiedział cicho Grafton. — Niewątpliwie, są to przykre wypadki, ale trzeba się z nimi pogodzić.

— Spójrzcie na dół! — jeden z ratowników zeskoczył ze swej maszyny i stanął na krawędzi tuż obok zgruchotanej koparki.

— Cholerne bagno!

— Wszyscy odwrócili się od ciała, ale Grafton był najszybszy, pierwszy dopadł dołu i zajrzał w głąb. Na głębokości prawie dwudziestu stóp bulgotała mieszanina kamieni i czarnego, śluzowatego mułu, który wydzieliał obrzydliwy odór.

Grafton zakaszłał i cofnął o krok. Bagno zaczynało już wypełniać się śmierdzącą, stojącą wodą. Z głębi dochodziły odgłosy i chlupotania, jakby trzęsawisko rado- wało się odzyskaną, po ponad dziesięciu latach, wolnością.

Późnym wieczorem, Ralph Grafton wrócił do wielkiego domu. Miejsce to wpływało na niego przygnębiająco, choć próbował to bagatelizować; z pewno- ścią było tak dlatego, że dom był jeszcze nie umeblowany, wyjąwszy jeden pokój na dole i sypialnię na górze. Wszędzie opuszczenie i ruina, ale rychło miało się to zmienić. Za tydzień, przewiozą luksusowe meble z jego poprzedniej rezydencji. Najpierw jednak trzeba było trochę odnowić dom, wstawić kilka nowych okien i porobić pewne uzgodnienia. Robotnicy i dekoratorzy wewnątrz mieli zacząć pracę w następnym tygodniu. Ralph spodziewał się, że wkrótce przyjedzie Lynette. By- ła jedyną osobą, do której miał słabość. Gdziekolwiek się pojawiła, przyciągała zazdrosne męskie spojrzenia. Gdyby nie to, nie zaprzętałby sobie nią głowy. Była tak samo oschła i bezwzględna jak on, ale umiała się w życiu ustawić. Potrzebo- wała go tak samo, jak on potrzebował jej.

Ostry dzwonek telefonu w hallu wdarł się w jego myśl. Podniósł słuchawkę, myśląc jednocześnie, że musi zastąpić stary aparat bardziej nowoczesnym mode- lem.

— Tu Grafton.

— Dobry wieczór, sir. — Protekcyjny ton w słuchawce sprawił, że Grafton od razu miał się na baczności. — Nazywam się Richardson. . . Pracuję dla „Stara”.

— Reporter. . . no tak!

— Dzwonię w sprawie Ssącego Dołu, sir.

— Ssący Dół? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Och. . . na pewno ma pan, sir. Mówię o starej legendzie i wydarzeniach sprzed dziesięciu lat, kiedy. . .

— Opowiada pan głupstwa.

— Dzisiaj zginął człowiek. Ziemia się otworzyła i pochłonęła koparkę.

— Słuchaj pan! — ręka Graftona drżała lekko, gdy przypomniał sobie potwor- ną twarz martwego kierowcy. — Nie zamierzam wysłuchiwać pańskich historyjek nie mających nic wspólnego z prawdą. To, co się wydarzyło daje się łatwo wyja- śnić. Kiedy bagno, czy cokolwiek to jest, zostało zasypane, ten, kto to robił, nie zrobił tego dobrze. Skały zrzucone na bagno muszą osiadać, każdy głupiec o tym panu powie. Koparka była za ciężka i dlatego się zapadła. . .

— Wie pan oczywiście, że ten teren jest starożytnym cygańskim cmentarzem, sir? Dziesięć lat temu znaleziono tam mnóstwo szkieletów, kiedy. . .

— Cholera! — zaklął Grafton i poczuł nagle chęć, by cisnąć aparatem o ścia- nę. — To stek bredni wymyślonych przez dziennikarzy, by sprzedać swe gazety. Ja podaję panu fakty i jeśli wydrukuje pan coś jeszcze, wytoczę panu proces. Wy- padek został spowodowany jedynie przez osiadanie gruntu. Miejsce to zostanie osuszone, zasypane i wyrównane. Jasne?

— Rozumiem, sir. Dziękuję za informacje... — rozległ się trzask odkładanej słuchawki i jękliwy sygnał.

Grafton stał wpatrzony w ścianę, zwężonymi oczami śledził labirynt rys i pęknięć w tynku. Linie układały się w zarys twarzy, napuchniętej i przerażonej. I wiedział, że gazety odkryją tę starą, cygańską legendę.

Zapomniał już całkiem, że chciał dzwonić do Lynette.

Minęła jedenasta, kiedy Ralph Grafton opuścił hotel w Lichfield. Nocne powietrze było balsamiczne i parne, spociał się i rozluźnił krawat. Pierwszą rzeczą, jaką chciał, zrobić rano, będzie telefon do Claude'a Minwortha, głównego planisty, który miał sprawdzić, czy nie wyłoniły się jakieś przeszkody. Bagno można bez kłopotu zasypać, ale inspektorzy bez wątpienia sprawdziliby wszystko dokładnie i mogłoby to zabrać dużo czasu. Minworth miał ruszyć sprawy z miejsca.

Natychmiast, po powrocie do Woodhouse chciał zadzwonić do Lynette. Nie nawidził się z nią rozstawać, nękały go dokuczliwe podejrzenia, o których wiedział, że są wytworem jego wyobraźni. Ale Lynette nie zgodziłaby się zamieszkać w domu będącym w takim stanie. „Nie martw się kochanie” — myślał — „popędzę paru osłów i za miesiąc będzie to pałac. Nie będziemy mieszkali na odludziu, dookoła zbuduję wiele luksusowych domów dla ludzi na naszym poziomie. Niedługo będziesz miała towarzystwo. Wiem, że napotkam opór, ale warto zaryzykować”.

Ona nie znosiła słodkich obietnic i nie winił jej za to. Był na to tylko jeden sposób: musiał pokazać ludziom kim jest, tak, żeby robili w portki ze strachu.

Usiadł za kierownicą swego range rovera, wyprowadził go z parkingu. Obok przejechał policyjny patrol. Odczekał kilka chwil. To byłby szczególnie pech — zostać zatrzymanym. Zacząłby chyba wierzyć w cygańską klątwę.

Odetchnął z ulgą, kiedy zjechał z szosy, skręcając w krętą, żuźlową drogę, prowadzącą do Woodhouse. Lady Walk pozostała za rozwidleniem z lewej strony. Grafton myślał o Ssącym Dole. To tylko bagno — tłumaczył sobie — którego ktoś nie zasypał porządnie. Następnym razem zrobi się to dokładniej. Przestanie istnieć.

Sosny stały w szeregu po obu stronach drogi, niczym rozbitkowie ocaleni z katastrofy. Kępa rozłożystych rododendronów też uniknęła zagłady.

Coś poruszyło się. Grafton instynktownie zdjął stopę z pedału gazu, zwolnił. Pomyślał, że to mógłby być lis albo królik. Pojazd nabrał znowu szybkości i parę minut później skręcił w zarośnięty chwastami podjazd, prowadzący przed front dużego domu.

Panująca wokół cisza, jeszcze raz, speszyła Graftona. Zniszczony gmach zdawał się rzucać gniewne i nienawistne spojrzenia. Grafton miał wrażenie, że wyczuwa obecność jakiegoś zła, poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. Pewny znak, że za dużo wypił.

Drzwi frontowe zatrzasnęły się za nim, głucho echo rozniosło się po domu. Z nadmiernym pośpiechem zapalił światło. Ogarnął go nagły strach przed nocnymi godzinami. Spojrzał na telefon, jakby spodziewał się, że zadzwoni. Ale aparat milczał.

Noce były najgorsze. Grafton sypiał zazwyczaj sześć godzin na dobę, czasem nawet mniej. Spojrzał na zegarek, była jedenasta dwadzieścia pięć. Zastanowił się czy nie pojechać do nocnego klubu w Birmingham, by tam przetrwać nocne godziny. Może z kobietą. Brał swoje kobiety tam, gdzie je spotkał i zostawiał je po kilku chwilach. W ten sposób, we własnym mniemaniu, nie zdradzał Lynette.

Jednak dziś w nocy nie miał ochoty ani na klub, ani na kobiety. Poza tym, wypił zbyt wiele, by bezpiecznie prowadzić samochód. Skrzywił się, wszedł do kuchni i postawił imbryk na gazie. Chciał napić się mocnej, czarnej kawy. Brak zastłon w pustym domu kazał mu myśleć, że jest obserwowany. Próbował pozbyć się tego uczucia, ale nie udawało mu się.

Ruszył z parującą filiżanką kawy do hallu, spojrzął znowu na telefon. Pod wpływem nagłego impulsu podszedł do niego. Pragnął porozmawiać z Lynette. Powinien był zrobić to wcześniej. Postawił kawę, wykręcił numer i wsłuchał się w jęklivy sygnał.

Zdał sobie sprawę, że liczy sygnały: osiem... dziewięć... dziesięć... Zastanawiał się, czy Lynette poszła już spać. Sama, a może z kimś. Wiele uczciwych na pozór gospodyń zdradza swych mężów. Przeżywają jednodniowe przygody, które nie robią nikomu żadnej szkody. Lynette nie potrzebowała tego. Używa wibratora, otwarcie przyznając, że uwielbia masturbację. Ale nie jest to substytut prawdziwej miłości, nie w przypadku Lynette. Może robi to właśnie teraz; może jest w tym szczytowym momencie, kiedy napędzany baterią, plastikowy fallus sprawia jej ekstatyczną rozkosz. Roześmiał się głośno głuchym, nerwowym śmiechem.

Wciąż cisza. Musiałyby odezwać się gdyby była w domu. „Co ona robi o tej porze, poza domem? Uderza w gaz?” Grafton odłożył słuchawkę na widelki. W głowie wciąż rozbrzmiewał mu sygnał.

Rozległ się jakiś inny dźwięk, potrzebował kilku minut, by go rozpoznać; odgłos lekkiego skrobania.

Szczury. Rozejrzał się dookoła — próbując zlokalizować, skąd to dochodzi. Jednak bardziej przypominało mu to, drapanie ostrym przedmiotem po szkłe, niż odgłosy stąpania małych gryzoni. Włosy na głowie znów mu się zjeżyły. Ruszył naprzód, szeroko otworzył drzwi. Musi zobaczyć, co to jest.

Rozejrzał się po skąpo umeblowanym pomieszczeniu, starając się odkryć, co wywołało ten hałas. Było kilka miejsc, w których mógłby się ukryć szczur. Na pewno umknął słysząc jego kroki, schronił się bezpiecznie w dziurze. Nic się nie poruszało.

Dźwięk rozległ się znowu, tylko raz, głośno i czysto — zza odsłoniętego okna! Ralph Grafton skoczył ku oknu, zdawało mu się, że coś dostrzegł... Wyteżył wzrok, ale za brudną szybą była tylko ciemność.

Mrowienie przebiegło mu po plecach, ciężko oddychał. Był na skraju paniki. Drżał. To musiał być nocny ptak, pomyślał. Czy sowy pukają w okno? Ralph Grafton nie był ornitologiem, ale zdecydował, że to możliwe; zawsze starał się znajdować racjonalne i logiczne wyjaśnienia wszystkich zjawisk.

Wrócił do hallu, zamknął za sobą drzwi. Kawa zaczynała stygnąć i był najwyższy czas by ją wypić. Pociągnął dwa łyki i drgnął nagle, rozlewając resztę na podłogę.

Puk... , puk... — To bez wątpienia, ta stara zardzewiała kołatka u frontowych drzwi. Kto to może być, u diabła, dlaczego nie słyszałem nadjeżdżającego samochodu? — zapytał sam siebie.

Spróbował zobaczyć coś przez matowe szkło. Ale było to niemożliwe; żarówka na ganku przepaliła się kilka dni temu i do tej pory nie wymienił jej. A teraz bardzo jej potrzebował... .

Ralph Grafton nie bał się nikogo. Ani niczego. Przeszedł hali, jego palce spoczęły, na moment, na gałce. Ktoś był na zewnątrz, drapał w okno kuchenne i potem popędził dookoła, do drzwi frontowych. Dlaczego nie próbował najpierw pukać?

Wolno uchylił drzwi, przytrzymując je stopą, aż mógł obrzucić wzrokiem ganek. Przyglądał się bacznie, próbując cokolwiek dostrzec. Cokolwiek. Ale tam nie było niczego.

— Kto tam jest? — głos Graftona był szeptem nabrzmiałym strachem.

Nikt się nie odezwał.

— Kto to, do cholery?

Nie było nikogo. Rozwarł drzwi szeroko i światło z hallu zalało pusty ganek i rozświetliło rozciągającą się dokoła ciemność, która wydawała się unosić groźnie, jakby w każdej chwili miała się zamknąć wokół niego, przynosząc coś bezimiennego, przerażającego. Ciepły, letni powiew szeleścił wśród drzew, poruszał liście.

Grafton zmarszczył nos; uderzył go znajomy odór, wydostający się jakby z wnętrza ziemi. Nie mylił się — była to ta sama zjełczała woń rozkładu, która unosiła się nad Ssącym Dołem!

Cofnął się, zatrzasnął drzwi, zatrzasnął zamek, zdał sobie sprawę, że ogląda się na drzwi kuchenne.

I w tej chwili, zadzwonił telefon, ostry brzęczący dźwięk, który wstrząsnął jego naprężonymi nerwami. Cofnął się. — Odpowiedz, odpowiedz na ten pieprzony telefon! — mrucał do siebie. Ręka drżała mu tak silnie, że ledwie był w stanie podjąć słuchawkę.

— Tu Grafton — jego głos drżał, pulsował wewnętrznym strachem.

Minęło kilka sekund zanim uświadomił sobie, że słyszy tylko dźwięk brzęczący w słuchawce. Po drugiej stronie nie było nikogo.

Upuścił słuchawkę. Huśtała się na sznurze, uderzając o ścianę z równomiernym stukotem.

„Och Boże, oszalałem!” — pomyślał. Przebiegł hali, wpadł do jedynego umeblowanego pokoju na dole, zapalił światło, zatrzasnął jednocześnie za sobą drzwi.

Rzucił się w kierunku okien, zaciągnął zasłony. Kątem oka zauważył jakiś ruch na zewnątrz. Rozejrzał się. Nikogo nie zauważył.

Gorączkowo włączył magnetofon. Muzyka, głośna i nieharmonijna, wprawiała ściany w wibrację, ale to nie miało znaczenia. Chciał jedynie zagłuszyć potworny łomot, dudnienie w swoim mózgu.

Ciało miał złane potem, koszula lepiła mu się do skóry. Podeszedł do barku, nalał sobie wielką porcję whisky. Pociągnął wielki łyk, który sparzył mu gardło.

Potem opadł na jeden z krytych skórą foteli, odwracając go tak, że siedział twarzą do drzwi. Czuwał. Zawsze chętnie się, że potrzebuje mało snu, dziś w nocy musiał obejść się całkiem bez niego i zostać tutaj, dopóki nie przyjdzie świt. A jutro...

* * *

Chris Latimer dwukrotnie przeczytał dział drobnych wiadomości w gazecie. Ręce mu drżały, żołądek podchodził do gardła. Druk rozmazywał mu się przed oczami, lodowate dreszcze przebiegały po plecach.

Treadmana to musiał być facet, z którym rozmawiał. Ten, który zamierzał wyrównywać...

To zdarzyło się niedługo po tym, jak Latimer odszedł, może nawet zanim wsiadł do samochodu...

„Ci zachłanni głupcy odkopali Dół i uwolnili siłę, która była tam uwięziona” — pomyślał z przerażeniem.

Latimer rzucił gazetę, zamknął oczy i zobaczył potworne obrazy, cienie z przeszłości, wyciągające do niego ręce, pałające nienawiścią oczy.

I wiedział, że musi wrócić, złamać obietnicę daną sobie zaledwie trzy dni temu. Był jedynym, który mógł ochronić ludzi przed zemstą Zła i Ssącego Dołu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W niedzielne popołudnia, żwirownie zawsze należały do młodzieży. Tutaj nikt się im nie naprzykrzał, nawet wtedy, gdy, szaleli na swych motocyklach. To było dobre miejsce do takich wyczynów, bo piasek był miękki i upadki nie były groźne, a w suche dni koła wzbijały chmury kurzu, co wyglądało bardzo efektownie.

Żwirownie miały być wkrótce zasypane, wielkie piaskowe wzgórza wyrównane, a na tym miejscu planowano wybudować domy. Młodzi ludzie chcieli wykorzystać to miejsce, póki jeszcze istniało.

Była godzina czternasta piętnaście, kiedy wjechali do lasu i podążali krętą drogą prowadzącą do Lady Walk — jechali niezbyt szybko, ale mimo to wzniesiali kłęby kurzu. Byli czujni. Po wydarzeniach poprzedniego dnia, mogła się tu kręcić policja albo Grafton, którego uważali za sukinsyna. W ostatnim tygodniu lutego, miał gwałtowną sprzeczkę z uczestnikami lokalnego polowania. Na łamach miejscowej gazety rozegrała się prawdziwa bijatyka na słowa. Obie strony obwiniały się z równą zaciętością. Główny łowczy oskarżał Graftona o głupi upór. Psy i myśliwi przejechali przez Las Hopwas, zapomniawszy, że zmienił właściciela. Nie mogło chodzić o nic innego, bo doprawdy nie było tam miejsc, gdzie lis mógłby się ukryć. Większość myśliwych stanowili miejscowi, oburzeni tym, co zdarzyło się z ich okolicą. Winili Latimera za sprzedanie lasu, a Graftona za plany zamienienia go w osiedle mieszkaniowe. Ich gniew wzrósł, kiedy range rover Graftona wjechał między myśliwych i magnat budowlany spytał w niewyszukanych słowach dlaczego, u diabła naruszają prywatny teren, oświadczając, że jeśli nie odjadą stąd, wniesie przeciw nim oskarżenie. Polowanie zostało przerwane. Ale, o dziwo, wydawało się, że Graftonowi nie przeszkadzają motocykliści jeżdżący po jego terenie w niedzielne popołudnia. Jakiegolwiek były tego powody, młodzi skwapliwie korzystali z szansy, ale byli ostrożni, bo nie chcieli ryzykować.

Skręcili w bok od głównej drogi na piaszczystą ścieżkę, okrążając strome wzgórze, gdyż wiedzieli, że ich maszyny nie pokonają zbocza. Zrobili szeroki objazd, który wiódł ich ku wzniesieniu, za którym krył się Ssący Dół.

— To tutaj. — Mule Skinner siedział okrakiem na swym motorze, bawiąc się radiem zawieszonym na szyi. — Tutaj został przysypany ten facet.

— Chryste! — Whisky Mac oblizał wargi. — Od zeszłego tygodnia, kiedy byliśmy tu ostatni raz, to szambo zamieniło się w prawdziwy basen. Jak sądzisz, bardzo jest głębokie?

— Mówią — odparł tamten wydymając lekceważąco usta — że nie ma dna. Mój ojciec pamięta, jak wyglądało przed zasypaniem. Ale musi mieć dno, bo przecież w przeciwnym razie woda wyciekałaby drugim końcem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Ehe. — Tobacco Joe wyłowił ze swej kurtki tytoń, bibułkę i zaczął skręcać papierosa. — Masz rację. Może przyjrzymy się bliżej?

Wahali się. Żaden z nich nie miał ochoty schodzić w dół. Ale decyzja należała do Skinnera — jeśli on powie, żeby pójść i zobaczyć — pójda.

Mule Skinner nie powiedział nic, po prostu zaczął powoli zjeżdżać w dół. Pozostali ruszyli śladem swego wodza. Whisky Mac, Tobacco Joe, Gun-toter i, na końcu, Cherokee.

Po przejechaniu około stu jardów piasek skończył się i poczuli pod kołami twardy grunt. Zatrzymali się znowu, ustawivszy półkolem, tak, że wszyscy mieli nieograniczony widok. Nie było już śladu pęknięcia, które otworzyło się, by pochłonąć Treadmana i jego koparkę. Przed nimi rozciągała się tafla nieruchomej, cichej wody. Zajmowała powierzchnię o obwodzie około piętnastu jardów. Ale patrząc na nią, miało się wrażenie, że stopniowo rozlewa się coraz dalej w miarę, jak nadwyrężony grunt osiadał. I że staje się coraz głębsza.

— Grunt musiał się zapaść — powiedział piskliwie Gun-toter.

— Zmądrzałeś nagle, Gun-toter — odparł Mule Skinner.

Rozległ się chichot pozostałych. W innym miejscu wybuchnęliby ordynarnym rykiem. Byli niespokojni, chcieliby odjechać jak najdalej, ale to zależało od Skinnera.

Whisky Mac bawił się swoim radiem, przelatując po całej długości fali, wydobywając zniekształconą kakofonię dźwięków.

— Wyłącz tę pieprzoną zabawkę — warknął wódz.

Radio natychmiast umilkło. Nieczęsto widzieli swego szefa tak zirytowanego, jak teraz, ale wiedzieli, że potrafi być nieprzyjemny jeśli wyprowadzi się go z równowagi. Lepiej robić to, co każe.

Siedzieli na swych motorach, patrząc na rozciągającą się przed nimi wodę. Na powierzchnię wypłynęło kilka bąbli, pękło z trzaskiem. Podskoczyli, wydawało się im, że ktoś jest tam, w dole. Woda lekko chlupotała, drobne fale marszczyły jej powierzchnię, każda sięgała jakby o cal dalej.

— Podejdźmy bliżej. — Mule Skinner zeskoczył z motocykla. Jard od skraju wody odwrócił się i spojrzał na pozostałych.

— Co z wami, chłopcy? Chodźcie, to nie gryzie.

Usłuchali niechętnie, ruszyli niepewnie przez grunt, który okazał się nieoczekiwanie miękki. Buty zapadały się po kostki.

— Nie jestem tego ciekaw — mruknął Tobacco Joe.

— Boisz się zmoczyć skarpetki? — zadrwił Mule Skinner.

Stali na skraju wody, spoglądając w jej czarną głębię. Martwa woda, nic nie mogło w niej żyć. Smród, cierpki odór rozkładającej się roślinności chwycił ostro za gardło. Ale po chwili przywykało się do niego, czy może sam zniknął.

Mule Skinner poczuł zawrót głowy. Woda wydawała się wychodzić na spotkanie, potem oddalać się. Czuł słabość. Po kilku chwilach wszystko minęło. Wpatrywał się tylko w wodę, jakby coś go do tego zmuszało. Nie wydawała się już tak posępna. Ten pogrzebany żywcem dostał to, na co zasłużył. Nie było powodu, aby mu współczuć.

— Jest miło, prawda? — przerwał ciszę Gun-toter. — Nie rozumiem dlaczego ludzie się tak boją. Nie lubię ich. Chciałbym ich zabić.

— Patrzcie! — Tobacco Joe wskazał na wodę. — Widzicie to?

Pozostali wytrzeszczyli oczy. W centrum pojawiły się drobne zmarszczki rozchodzące się na boki. Wypłynął kolejny bąbel i natychmiast pękł. Nic więcej.

— Co? — bojaźliwie spytał Cherokee.

— Ktoś jest tam, na dole. — Głos Joego załamał się z podniecenia. — Widziałem.

— Bzdura — bez przekonania powiedział Mule Skinner, ale przyjrzał się uważniej. — Nikogo tam nie ma.

— Mówię ci, że widziałem. Patrzyła na mnie. Dziewczyna.

Tym razem nikt się nie odezwał, wpatrywali się w mroczną głębię. Nic się nie ruszało, mimo to wydawało im się, że wszystko wygląda tu teraz nieco inaczej, niż chwilę wcześniej.

Głosy. Ledwie słyszalny zgiełk słów, które przychodziły i znikały, po czym rozlegały się znowu. Rodzaj śpiewu, czy melodii, w której słowa nie mają znaczenia.

— Kto włączył radio? — spytał Mule Skinner nie odwracając głowy.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Co jest? — obrócił się nagle rozwścieczony, bladoniebieskie oczy błyszczały zimną furią. — Ogłuchliście wszyscy?

Cofali się przed nim. Potrząsnął powoli głową, niespodziewany wybuch minął. Nikt z nich nie był winien, szepty nie pochodziły z żadnego z odbiorników. Więc skąd? Wyglądał tak, jakby chciał ich o to zapytać, ale zmienił zamiar, wzruszył ramionami.

— Musimy ruszać — powiedział po chwili, spoglądając na zegarek. — Jest po piątej.

— Co? — czterej młodzi jednocześnie sprawdzili swoje zegarki, popatrzyli po sobie w osłupieniu.

— Byliśmy tu trzy godziny! — wyjąkał Cherokee. — A wydawało się, że to tylko kilka minut.

— Jedziemy. — Mule Skinner odwrócił się i ruszył z powrotem, w kierunku stojącego motocykla.

— Gdzie?

Dobrnął do motoru, zatrzymał się. Miał dziwne uczucie, że nadużyli gościnności Ssącego Dołu. Ale warto było. Czuł się jak po wyprawie do sauny — wchodzisz zmęczony i sterany, wychodzisz czysty i rześki z uczuciem, że masz cel w życiu. Wpatrywanie się w tę wodę było czymś podobnym w skutkach.

— Jedziemy do miasta — jego głos był miękki, choć stanowczy. To był rozkaz.

— Po co?

Zawsze te głupie pytania. Musiał walczyć o zachowanie cierpliwości.

— Carl Wickers śpiewa dziś w klubie.

— Carl Wickers! — jak echo powtórzył Whisky Mac. — On jest gównem wart. Po co chcesz go słuchać?

— Nie lubisz country, co? — Mule Skinner zwrócił się wyzywająco do Cherokee.

— Jest w porządku — odparł rumieniąc się z zakłopotania. — Ale zawsze chodzimy na dyskotekę.

— Nie ma przecież dyskotek w niedzielę, głupcze. — Mule Skinner zacisnął wyzywająco szczęki. — Ani żadnych innych zabaw. Raz pojedziemy posłuchać country. Ktoś chce coś powiedzieć?

— Będzie pełno starych pierdzieli — pisał Cherokee. — Znasz ten rodzaj facetów, którzy przychodzą do klubu.

— Pewnie, pruderyjni i przyzwoici głupcy, którzy byli w kościele i sami siebie oszukują, że są oczyszczeni z grzechów. Ludzie, którzy będą się domagać, aby zasypać to miejsce — wskazał palcem w kierunku dołu. — Jestem za tym, żeby pojechać i pokazać im parę sztuczek.

— Nie chcemy mieć kłopotów, Mule.

— To nie my będziemy je mieli, ale oni. Co mają zamiar zrobić z naszym miejscem? Powiem wam, zasypią wszystko i wybudują domy. Wykurzą nas stąd. Raz przejedziemy na motorach, a naślą na nas gliny. Jesteśmy nikim, nie liczymy się, nikt nas nie pytał o zdanie. Co będziemy potem robić, hę? Jeździć po drogach narażając się na to, że złapie nas policja? Mówię wam, zrobmy porządek z tymi draniami!

— Ale dlaczego w klubie?

— Jak powiedziałem, będą tam starzy, prosto z kościoła. Nienawidzimy ich, prawda? — a w duchu dodał, bo nigdzie indziej nie będzie ich tyłu razem, może oprócz klubu golfowego, ale tam nas nigdy nie wpuszczą.

— Może ludzie w klubie nie będą stąd. — Whisky Mac usiłował znaleźć jakiś pretekst, by nie jechać. — Prawdopodobnie nie interesuje ich to, co zaszło w Lesie Hopwas. Możemy się pomylić. W każdym razie nigdy przedtem nie mieliśmy żadnych kłopotów.

— Carl Wickers pochodzi z Hopwas. — Twarz Skinnera pociemniała z furii. — I jest jednym z tych, którzy domagają się, by zasypać bagno. Zrobił fortunę śpiewając te swoje bzdury. Zbudował sobie tu dom, na który wy nie zarobicie przez całe życie. Czy nie był przyjacielem Latimera, do którego należał las? Pewnie, że był, a to Latimer kazał zasypać Ssący Dół. Więc pojedziemy i zepsujemy party Wickersa.

— Będziemy mieli kłopoty z glinami — szepnął Cherokee, mając nadzieję, że Mule Skinner go nie usłyszy. — Nigdy przedtem tego nie było. Mój tata będzie. . .

— Pieprzyć twego tatę. — Mule Skinner podniósł zaciśniętą pięść. — Do tej pory byliśmy bierni i pozwalaliśmy, żeby mieli nas w nosie. Teraz to się zmieni, obiecuję wam. A po tym, jak nauczymy Carla Wickersa i jego miłych przyjaciół jednej czy dwóch sztuczek. . . — Zamilkł, wskazał ręką w kierunku szczytów kilku wysokich sosen widocznych za piaszczystym wzgórzem. — Możemy wrócić i zobaczyć, co ten wielki drań ma nam do powiedzenia. W porządku, jedziemy.

Pozostali popatrzyli po sobie, skinęli w niemej zgodzie. Mule Skinner jak zawsze miał racje. Byli gotowi walczyć o to, w co wierzyli. Wszystko naprawdę zmieniło się od chwili, kiedy stanęli na krawędzi Ssącego Dołu i zapatrzyli się w jego czarną głębię.

* * *

Atmosfera klubu wpływała na Chrisa Latimera odprężająco. Napięcie, w którym ostatnio żył, osłabło. Miękkie dźwięki gitary Wickersa i jego silny, melodyjny głos sprawiały, że niemal zapomniał, po co tu wrócił. Jutro będzie czas o tym pomyśleć.

Carl był tej nocy w formie. Był to drobny mężczyzna odziany w marynarkę z kozłowej skóry, obszytą frędzlami i kapelusz stetson, który zdejmował zazwyczaj po pierwszej pół godzinie. Opalenizna na jego twarzy była efektem częstych odwiedzin w solarium, Wickers bowiem spał w dzień, a pracował w nocy. Nie był przystojny, ale jego wielkie wąsy robiły imponujące wrażenie. Oczy, w których igrały wesole iskierki, przesuwwały się od jednego do drugiego widza tak, że każdy czuł się zauważony i doceniony. Miał talent, przechodził od wolnych do szybkich numerów tak naturalnie, że prawie nie uświadamiało się sobie zmiany tempa, a stopy same uderzały w gołe deski podłogi w rytm muzyki.

Carl zawsze znajdował się w kłopotach, a ich źródło było nieodmiennie to samo — kobiety. Kiedyś był żonaty z atrakcyjną dziewczyną, w której był zakochany. Ale w życiu klubowego śpiewaka zawsze musiały być inne kobiety. Nastąpiła separacja, rozwód, a potem pojawiły się przyjaciółki. Taki miał sposób, życia, może było to zresztą podświadome pragnienie bycia gwiazdą ze wszystkimi urokami sławy. Zawsze był zakochany, albo leczył złamane serce.

Chris Latimer zauważył szelmowskie spojrzenie siedzącej obok niego dziewczyny. Drobna i ciemnowłosa, filigranowa. Nazywała się Pamela. Zabroniła mówić do siebie Pam, o czym poinformował Chrisa Wickers, kiedy zapoznał ich ze sobą w swym domu. Była koleżanką aktualnej przyjaciółki Carla — Samantha. Chris zastanowił się w pierwszej chwili, czy obie dziewczyny nie są siostrami, lub może kuzynkami, ponieważ łączyło je fizyczne podobieństwo.

Carl szeptnął Chrisowi, że małżeństwo Pameli rozpadło się kilka miesięcy temu, a ponieważ bardzo to przeżyła, Samantha zaprosiła ją na tydzień lub dwa. Chris miał przez chwilę wrażenie, że Wickers bawi się w swata. Był nieufny, po niefortunnym małżeństwie z Pat stał się bardzo ostrożny. Mimo wszystko, nie mógł powstrzymać się od ukradkowych spojrzeń.

Publiczności było niewiele. W niedzielne wieczory klub nie cieszył się popularnością. A może potwierdzało się przysłowie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Artysta musiał szukać popularności poza granicami swego miasta.

Latimera otaczały same nieznane twarze. Nie znał tu nikogo i, bez wątpienia, nikt z nich go nie pamiętał. Całe szczęście. Człowiek, który sprzedał najpiękniejszy zakątek okolicy, zostałby okrzyknięty zdrajcą. A teraz Ssący Dół rozwarł znowu swe głąbie.

Muzyka ucichła, rozległy się skąpe oklaski.

— Dziękuję, panie i panowie. — Carl Wickers zdjął gitarę i położył ją ostrożnie na estradzie. — Krótka przerwa. Jeśli ktoś ma jakieś specjalne życzenia, z przyjemnością je spełnię. Napiszcie tytuł ulubionej piosenki na odwrocie pięcioletniego banknotu i przyslijcie go do mnie!

Spóźniony śmiech nagrodził żart. W sobotnią noc wywołałby on żywiołowy wybuch radości.

— Mogę zaproponować pani drinka? — Chris zwrócił się do Pam, czując ukłucie zdenerwowania, jakby po raz pierwszy proponował dziewczynie randkę.

— Dziękuję — uśmiechnęła się, jej oczy napotkały jego wzrok, patrzyła na niego przez chwilę, jakby oczekując czegoś więcej.

— Proszę gin i lemoniadę. Dużo lemoniady.

— Będę z powrotem za chwilę.

Wydawało się, że wszyscy zgromadzili się przy barze. Chris poczuł nagłe zniecierpliwienie. Do diabła z nimi, mógł teraz siedzieć i rozmawiać z Pamelą, zamiast tu sterczeć.

Nowi ludzie przybywali do klubu. Chris odwrócił się i zobaczył pięciu młodych ubranych w motocyklowe stroje, zastanowił się, dlaczego bramkarz ich przepuścił. Pewnie byli członkami klubu. To był znak czasów. Dzisiaj każdy klub był zadowolony z posiadania młodych następców i możliwości sprzedania kilku dodatkowych drinków. Granica między wypłacalnością, a bankructwem była płynna.

Pięciu młodych stało w bezruchu, obserwując pomieszczenie. Chris poruszył się nerwowo, poczuł ciarki na skórze. Było coś złowrogiego i przerażającego

w tych motocyklistach. Szkliste oczy, usta zdrętwiałe i zaciśnięte, poruszali się sztywno, niczym roboty. Prawdopodobnie narkomani, Chris próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie. Może pijani, chociaż wydawało się, że dosyć pewnie trzymali się na nogach, kiedy torowali sobie drogę ku barowi, idąc gęsiego za największym z nich, który był pewnie ich przywódcą.

Nikt nie zdawał się zwracać na nich uwagi. Możliwe, że przychodzili tu regularnie i ich wygląd nie rzucał się już w oczy. Wolnym krokiem zbliżali się do baru.

I nagle, Chris Latimer poczuł, że ogarnia go fala przerażenia i mdłości, w głowie mu zawirowało, żołądek podszedł do gardła. Rysy twarzy tego wielkiego chłopaka zdawały się być wiernym odbiciem twarzy, którą bez trudu by rozpoznał, twarzy której wspomnienie ciągle prześladowało go w nocnych koszmarach. Twarz Corneliusa, złowrogiego wodza Cyganów!

Latimer uchwycił się krawędzi baru, obawiając się, że zemdleje. To absurd — stare wspomnienia dosięgły go nawet w tym podmiejskim klubie. Nie trzeba było tu przyjeżdżać, powinien trzymać się z dala, przecież i tak nie mógł nic zrobić. Jeśli zło zostało uwolnione, nie mógł go powstrzymać.

Młodzieńcy przepychali się przez tłumek, ludzie rozstępowali się na boki, komuś wylało się na podłogę trochę piwa. Zapadła nagła cisza, wszyscy patrzyli na nich, cofając się powoli. Barman podniósł wzrok, powiedział coś, co zabrzmiało jak: — i „tak?”, ale słowa uwięzły mu w gardle, nerwowo miał w rękach ścierkę do naczyń.

Mule Skinner odwrócił się, skierował ku wiszącej na ścianie tarczy do gry w strzałki. Nagłym ruchem wyrwał strzałki tkwiące w korku. Pozostali czterej zabawiali się oblewaniem mahoniowych powierzchni kwartami gorzkiego piwa. Nikt nie próbował nawet ich powstrzymać.

Chris Latimer wycofał się, myśląc tylko o Pameli, która nie powinna być teraz sama.

Ktoś krzyknął z bólu i przerażenia. Siwowłosa mężczyzna opadł na stołek, pociągając za sobą tacę z drinkami. Szklanki uderzyły o podłogę, rozprysły się na drobne kawałki, cynowa taca potoczyła się z brzękiem.

Mężczyzna ciągle wrzeszczał, trzymał się za oko, próbując coś z niego wyrwać. Latimer wyteżył wzrok, poczuł falę mdłości. Ogarnęło go przerażenie. Strzałka trafiła w cel — jej ostry jak igła koniec wbił się głęboko w żenicę. Trysnęła krew.

Grad strzałek posypał się teraz przez pokój.

Zdawało się, że krzyczą już wszyscy, nie potrafiąc i obronić się przed niespodziewanym atakiem. Jakaś dziewczyna upadła twarzą naprzód, na skorupy pobitych kufli. Kobiety próbowały wyszarpywać strzałki ze swych sukienek, na których wykwiwały purpurowe plamy, kiedy stalowe ostrza grzęzły w ciele.

Latimer uciekł, schyliwszy głowę, czuł, jak coś otarło się o jego ramię, usłyszał jak strzałka wbija się w boazerię. Pamela ukryła się na podłodze, między dwoma fotelami. Rzucił się ku niej, chcąc zasłonić ją własnym ciałem.

Wszyscy szukali schronienia, rannych pozostawiono samym sobie. Zapas strzałek wyczerpał się. Teraz poszły w ruch szklanki, uderzające w barykadę krzesel, eksplodujące tysiącem odłamków.

Latimer wyglądał spoza krzesła, trzęsąc się ze strachu, na widok tego, co się działo. To nie była napaść pijanych szaleńców, ale na zimno wykalkulowane działanie, jakby motocykliści opracowali sobie dokładny plan. Te twarze, jakby... jakieś złe moce wskrzesiły ich z martwych, by spełnili swe zadanie. I twarz Corneliusa!

Kawałek szklanki zranił Latimera w rękę, poczuł ostry ból w nadgarstku, pociekła krew. Zignorował to, trzymał Pamelę tuż przy sobie. Szlochała, drżąc gwałtownie.

Młodzi rozdzielili się — trzech stało na przedzie, dwaj weszli za bar. Miotali pociski z wielką siłą.

Ruszyli ku drzwiom. Nie była to ucieczka, raczej zaplanowany odwrót.

Mule Skinner zapalił silnik swego motoru, słyszał, że inni idą za jego przykładem. Puścił sprzęgło, ruszył naprzód zwiększając szybkość. Nie oglądał się, jego kompani już go nie obchodzili. Spełnili swą misję, nic więcej się nie liczyło.

Pięć motocykli pędziło drogami przedmieścia, przednie światła rzucały oszalałe błyski, kiedy prześlizgiwali się w wieczornym ruchu ulicznym, rozciągając się długim sznurem, skupiając razem, to znowu rozciągając. Starali się dotrzymać tempa swemu przywódcy. Daremnie.

Mule Skinner zobaczył zbliżające się, migające niebieskie światło. Policyjny samochód zakręcił w miejscu z wyciem opon, ruszył ich śladem. Zgarbił się mocniej na siodełku. Jakimś cudem prześliznął się między nadjeżdżającą ciężarówką, a wyprzedzającym ją samochodem, nie zmniejszając prędkości. Zerknął w lusterko i zobaczył błysk świateł. Ale nic go to nie obchodziło, gdzieś w głowie słyszał, jak wzywa go miejsce, gdzie zrodziło się w nim pragnienie zadawania śmierci. Nie było sposobu oparcia się temu rozkazowi.

Kierowca wyprzedzającego samochodu zbyt późno zauważył, że ciężarówka zjeżdża na bok, a policyjny samochód pędzi od pobocza ku środkowi szosy. Zahamował, stary escort wpadł w poślizg. Okręcił się dookoła własnej osi, uderzył w tył ciężarówki. Odbił się. Kierowca zobaczył cztery zbliżające się motocykle, wiedział, że nie zdoła zjechać im z drogi. Zawył w przerażeniu.

Escort stanął w poprzek drogi, motory uderzyły w niego. Jeden wbił się w sam środek samochodu. Gun-toter natychmiast stracił głowę, uderzając w poszarpany metalowy dach. Cherokee i Tobacco Joe wylecieli w powietrze, rozpaczliwie młócąc rękoma i nogami, runęli na ziemię z głuchym uderzeniem wprost pod koła

nadjeżdżającego ciężarowego wozu, który rozwlókł ich krwawe resztki po autostradzie.

Whisky Mac podzielił ich los. Jechał śladem swych kompanów, jego twarz przypominała maskę bez wyrazu. Zapomniał o wszystkich wydarzeniach wieczoru, wiedział jedynie, że musi dogonić Skinnera. Zderzył się czołowo z policyjnym samochodem. Potworne uderzenie wbiło maszynę w maskę wozu. Krwawa miazga zasłoniła kierowcy widok. Samochód przekoziołkował kilka razy, po czym nagle eksplodował. Na przestrzeni kilkuset jardów droga zasłana była kawałkami poszarpanego metalu i krwawymi, nierozpoznawalnymi ludzkimi resztkami. Kilka minut później trzask dogasających płomieni i krzyki rannych zagłuszone zostały przez jękliwy sygnał zbliżającego się ambulansu i policyjne syreny.

Mule Skinner nadal pędził, strzałka szybkościomierza drgała na 105 milach na godzinę, zasłonięte goglami oczy utkwiał w drodze. Wyprzedzał, zajeżdżał drogę, znowu wyprzedzał, odrętwiały, niepomny na nic, oprócz wezwania, któremu nie mógł się oprzeć, nieświadomy, że inni nie podążają już jego śladem. Ale nawet ta wiedza, nie wywołałaby śladu emocji na jego twarzy.

Wjechał na autostradę, nie słysząc nawet wściekłego trąbienia klaksonów, nie widząc błyskających świateł. Pędził, posłuszny swemu instynktowi, nie zwracając uwagi na żadne punkty orientacyjne. Wiedział, gdzie jedzie.

Nie zwalniając wjechał na teren zwirowni. Wzniecił kłęby kurzu, koła zapadły się w miękką powierzchnię Lady Walk, ale utrzymywał równowagę. Szybkość zmalała do 60 mil i grymas zniecierpliwienia wykrzywił jego zaciśnięte usta.

Dostrzegł wielkie wzgórze. Wcześniej, w ciągu dnia, stehórzył w ostatniej chwili i ominął je, ale teraz nawet się nie zawahał. Silnik zawył, maszyna ześliznęła się, ale kierowca opanował ją. Niewiele już widział, ale nie było mu to potrzebne. Ruszył prosto w dół. Motocykl ugrzązł w piasku, zatrzymał się. Mule Skinner kopnął starter. Silnik zapalił, krztusił się i rzeził, dopóki motor nie wjechał na twardszy grunt. Wtedy motocyklista zawahał się, obserwując taflę czarnej wody u stóp zbocza. Była większa niż przedtem, piękniejsza i przyzywająca.

Zacisnął ręce na kierownicy, zagryził usta, jakby szykował się do ostatniego ataku na pozornie niemożliwą do zdobycia przeszkodę. Przednie koło uderzyło w wystającą skałę, maszyna i kierowca wylecieli w powietrze. Mule wydał dziki krzyk radości. Wydawało się, że motor zawisł, na chwilę, w górze.

Potem uderzył w wodę. Jej zimno odświeżyło jego spocone ciało. Puścił motor — nie był mu już do niczego potrzebny. Spadał w dół. Otoczyła go ciemność, potem poczuł wyciągające się po niego palce, ręce ściskające go na powitanie. Wszystko, co zrobił, nie było na próżno i nie miał się czego bać, bo był im posłuszny i wrócił tu, kiedy wykonał swe zadanie.

Teraz nie był sam.

* * *

— Jak twoja ręka? — spytała Pamela.

— Tak samo jak twarz Carla. — Chris Latimer skinął głową ku Carlowi Wickersowi, siedzącemu w fotelu. Kawatek plastra zalepiał mu cały policzek.

Na szczęście żadna z dziewcząt nie została ranna. Nigdy nie zapomną tej ostatniej nocy, faceta wyszarpującego strzałkę z oka, które wypłynęło, jak rozplątany małż. Tych przerażonych, zalanych krwią twarzy. Kogoś z rozerwaną arterią i szkarłatnej fontanny spryskującej sufit. Wszyscy wrzeszczeli histerycznie.

— Nie sądzę, żeby Ssący Dół miał związek z tymi wydarzeniami. — Na twarzy Carla malowało się oszołomienie. — Znam tych, chłopaków. Pochodzą z domów po drugiej stronie osady. Są nieznośni, ale to nie chuligani. Setki takich znajdziesz w każdym z okolicznych miast. Interesują się tylko swymi motocyklami i CB radio. Jeśli mogli jeździć do zwirowni w niedzielne popołudnia i szaleć po tych piaskach, byli szczęśliwi, jak świnie taplające się w błocie. Dotychczas najgorszymi ich występkami były nocne wyprawy do Tamworth lub Lichfield i jeżdżenie po ulicach. To wyrabiało im opinię rozrabiaków, ale nigdy nie wpadli w prawdziwe kłopoty. Teraz zdemolowali klub, poranili ludzi, spowodowali kraknę na drodze, nim sami zginęli. Zabili kierowcę i dwóch policjantów.

— Trafieś w samo sedno. — Oczy Latimera zwięziły się. — Pozornie wydaje się, że tkwi w tym sprzeczność. Ale to wszystko zdarzyło się w niedzielną noc. Jeśli byli wcześniej w zwirowni, mogli znaleźć się przypadkowo w sąsiedztwie Ssącego Dołu...

— Nie rozumiem, jakie znaczenie ma, że to było ostatniej nocy?

— A kierowca koparki?

— Grunt zapadł się pod jego maszyną — sceptycznie odparł Wickers. — Został żywcem pogrzebany.

— To jedno z możliwych rozwiązań. — Chris Latimer pokręcił wolno głową. — Ale ja pamiętam, jaki Dół był kiedyś. Carl. Odczułem jego zło. I czułem obecność tego zła w owe popołudnie, kiedy byłem tak nieostrożny, by się tam wybrać. Znam ten cmentarz i znam siły, które się w nim kryją. Nie można ich zniszczyć kilkoma tonami kamieni. Potrzebny byłby raczej egzorcysta, choć wątpię, czy odniósłby on sukces. Przypuśćmy, że chłopcy byli tam wystarczająco długo, by znaleźć się pod wpływem Dołu. Widziałem ich twarze w klubie... — zamilkł, woląc nie wspominać o podobieństwie wielkiego młodzieńca do Corneliusa.

— W pierwszej chwili pomyślałem, że to narkomani. Ale nie byli pod wpływem narkotyków ani alkoholu.

Byli jakby... zhipnotyzowani!

— Spróbuj powiedzieć to policji. — Śmiech Carla zadźwięczał głucho. — Ciągłe próby znaleźć piątego chłopaka — Petera Hasdena, nazywanego przez

kolegów Mule Skinner. Uszedł cało z wypadku i od tej pory nie był widziany. Nie wrócił do domu.

— Mój Boże! — Latimer zeszywniał. — Wszystko jasne.

— Co?

— Wrócił do miejsca, gdzie zrodziło się zło — głos Latimera opadł do szeptu.
— Jeśli wrócił do Ssącego Dołu, mam nadzieję, że potraktujesz moją teorię serio.

* * *

Płetwonurek oblizwał nerwowo wargi, próbował wymyślić jakiś powód, by nie schodzić w dół. — Może dzieciak zepchnął tu swój motor chcąc naprowadzić wszystkich na fałszywy ślad. Wpadł w panikę, bo spowodował wypadek. Więc znajdź jego motor, Bradburn. I pokaż, którądy odszedł. Nie znaleźliśmy żadnych śladów na miękkim gruncie, a nie rozpląnął się przecież w powietrzu! — rozkazał inspektor.

Reg Bradburn wiedział, że musi zanurkować. Jedynym wyjściem było powiedzieć, że nie zanurkuje, bo jest ciężko przestraszony.

— Na pewno jest tam, w dole — stwierdził wysoki inspektor policji. Tym samym tonem mógłby stwierdzić, że zapowiada się piękna pogoda. — Nie wystarczyło mu to, co już zrobił, wrócił tu i sprawił sobie szalony pogrzeb. Widać, gdzie stracił kontrolę nad motorem, tam na zboczu, i runął na oślep w dół. Prawdopodobnie, nie zauważył nawet tego bagna, dopóki w nie wpadł.

Reg Bradburn sprawdził szczelność maski i zapas tlenu. Widział i słyszał wszystkich niewyraźnie, jakby już był pod wodą. Zadrżał, poczuł lekkie mdłości. Przypomniały mu się szkolne dni, kiedy brał lekcje pływania. „Na co czekasz Bradburn? Wchodź do wody, chłopcze! Do diabła, niewiele zmieniło się przez lata” — pomyślał z wściekłością. Dwadzieścia lat później został instruktorem w klubie wodniaków „Chasewater”. Była to, niestety honorowa funkcja. W ostatnim roku trzy razy wyławiał ciała na polecenie policji. Masochizm, musiał być szalony. Teraz, kiedy tylko ktoś zaginał, wzywali go, by przeszukiwał kanały i brudne bajora. Próbował zrozumieć, czemu to robi. W zwykłych warunkach nurkowanie było podniecającym, ryzykownym odwiedzaniem innego świata.

Stał na skraju bagna i spoglądał w dół: czarna dziura, której nigdy przedtem nie widział, światło dzienne sięgało zaledwie jard pod powierzchnię. Nastawił i zapalił lampę. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Miał nadzieję, że ktoś powie: „Nie, nie będziemy zawracać sobie głowy szukaniem go, Bradburn”.

Reg Bradburn skupił się, zaczął myśleć o Judy. Stosował tę technikę przy tak nieprzyjemnych nurkowaniach jak to. Koncentrował swe myśli, z całych sił.

Zanurzył się ostrożnie w wodę, zatrzęsł z przenikliwego zimna. Judy była najlepszym prezentem od losu, jaki mu się przytrafił, od kiedy Marlene i on się ro-

zeszli. Ich małżeństwo było pomyłką, która wyszła na jaw natychmiast po opuszczeniu kościoła. Judy to co innego; bez stałego adresu, spała z kim popadło i nie robiła z tego sekretu. Przechodziła od jednego faceta do drugiego nie dlatego, że była dziwką, ale nie mogła spotkać tego jedyne­go, z którym byłaby szczęśliwa. W latach studenckich zaszła w ciążę, co zmusiło ją do przerwania studiów i zaprzepaszczenia obiecującej kariery. Nawet w tych, tak zwanych, swobodnych czasach nieślubne dziecko było piętnem dla kobiety. Ludzie wskazywali ją palcami i szeptali za plecami.

Było ciemniej niż się spodziewał. Wodny świat wiecznej nocy. Nawet światło z trudem torowało sobie drogę przez te styksowe ciemności.

Judy pracowała w parszywym barze, który kiedyś był jednym z całej sieci barów dla kierowców wielkich ciężarówek, dopóki nie zmienili trasy ich przejazdów. Brudna podłoga, nie myte naczynia zaśmiecające stoły, tak długo, aż ich zapas się wyczerpywał i trzeba było je umyć. Judy nie była specjalnie atrakcyjna, ale Reg miał za sobą przegrane małżeństwo z kobietą z wyższych sfer, szukał więc, czegoś bardziej przystępnego.

Tej pierwszej nocy, Reg liczył jedynie na pocałunek. Sądził, że nie uda mu się dotknąć jej piersi przez sweter. Ale ona okazała się być gorącą dziewczyną, otwierała usta przy pocałunku. Potem, bez ostrzeżenia, zaczęła ścisnąć i pieścić przez spodnie jego członek prawie do wytrysku.

Drgnął gwałtownie, kiedy jego ręka dotknęła czegoś, obrócił szybko lampę. Kawałek drewna, tak zgniły i ciężki, że nie mógł utrzymać się na powierzchni, pokryty mułem. Na twarzy osiadły mu lodowate grudki mułu.

— Muszę się pieprzyć — powiedziała Judy tak, jak inna dziewczyna mogłaby powiedzieć: muszę zapalić, albo — muszę wypić. Ale Judy nie robiła żadnych ceremonii, ze swoimi fizycznymi potrzebami, na w­pół go gwałciła, jakby bała się, że nie weźmie ich serio.

Więc wdrapali się na tył jego starego viva. Było ciasno, ale Judy niczym się nie zrażała, ściągnęła mu spodnie ze zręcznością, świadczącą, że nie raz ktoś obracał ją w samochodzie. Ale nie martwił się tym.

Niespodziewanie poczuł gwałtowną erekcję. Jeden z niewielu przypadków, kiedy spotykało go to pod wodą.

I nagle zobaczył Judy! W osłupieniu próbował pojąć to, co widziały oczy, ale logika sprzeciwiała się temu. To niemożliwe. To nie mogła być ona, a poza tym, naga dziewczyna unosząca się na granicy światła jego lampy musiała być martwa, bo nikt nie mógł żyć tu, na dole. Wytrzeszczył oczy, starając się rozróżnić jej rysy, ale coś rzuciło cień na bladą twarz. Zawahał się. Jej ciało wygięło się łukiem w tył, nogi rozchyliły się szeroko i tym razem żaden cień nie zasłonił mu widoku.

Instynktownie wyciągnął ręce, chcąc po omacku ruszyć ku niej, ale odsunęła się prowokująco. Jęknął, poczuł jak potężna erekcja napina jego obcisły strój.

Znikała w ciemności. Desperacko rzucił się do przodu, znowu ją doganiając. Jej twarz ciągle kryła się w cieniu. Nie był pewien, czy to Judy.

Rozległ się drwiący śmiech, zgrabne nogi rozchyliły się znowu rozpalając jego pożądanie; jednocześnie oddalała się od niego. Czuł, że zbliża się orgazm, jak w erotycznych snach, które miewał i po przebudzeniu odkrywał plamy na pidżamie. To, co miał przed oczyma przypominało sen. Widział, że śmieje się, podniecając go, choć nadal nie mógł rozpoznać jej twarzy. Jednak to musiała być ona. Ale Judy nigdy przedtem nie prowadziła takiej gry. Zazwyczaj to ona miała inicjatywę, czekała już na niego naga i gotowa, kiedy wychodził z łazienki. Czasami, gdy był zmęczony, nie pozwalała mu zasnąć, albo budził go w środku nocy dotyk jej wrażliwych palców, doprowadzając go do erekcji.

— Przestań się tak zachowywać — krzyknął, choć nie mogła go usłyszeć.

Jego irytacja dochodziła do apogeum, lada sekunda miał wytrysnąć i nie było sposobu, by to powstrzymać.

— Zabiję cię za to!

Ogarnęło go pragnienie, by otoczyć jej szyję palcami i wycisnąć z niej życie. Tak umierają tanie kurewki; dokuczają facetom tak długo, aż ci nie mogą powstrzymać furii.

— Musisz mnie najpierw złapać, Reg! Spróbuj więc.

Rzucił się na nią, prawie zdołał chwycić palcami jej kostkę, ale ciało wydawało się rozpląwać w ciemnej wodzie, materializować znowu o jard od niego. Śmiała się dźwięcznie.

— Dalej, Reg — wsunęła palce między rozwarte uda, zaczęła pieścić miejsce pod kępą włosów. Wiedział, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Orgazm uderzył w niego, niczym grom przeszył dreszczem każdy nerw ciała, przyprawiając go o konwulsje. Młócił dziko wodę dookoła siebie tak, że mulisty osad zasłonił widok. Wodna nimfa zmieniła kształt. Jeszcze raz zdawało mu się, że widzi jej twarz, ale znikła, zanim dobrze się przyjrzał. Mimo wszystko był pewien, że to Judy.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przeżył tak silne i długie szczytowanie. Może tylko wtedy, gdy pierwszy raz się masturbował. To elektryzujące i przerażające doświadczenie trwało i trwało, aż przestraszył się, że nigdy się nie skończy. Ale to, co czuł wtedy, nie mogło się nawet równać z obecnymi doznaniem. Czuł wewnątrz kombinezonu strumień gorącej, gęstej cieczy.

Uczucie rozkoszy doszło do szczytu, by potem stopniowo opaść. Ogarnęła go słabość, całkowite umysłowe i fizyczne wyczerpanie. Światło lampy wydawało się słabnąć. Mdły, żółty blask rozświetlał czarną wodę zaledwie w promieniu kilku stóp. Reg rozglądał się bacznie, wyteżał oczy, ale nie widział nic oprócz kilku nitek gnijących, martwych wodorostów.

— Judy... Judy!

W ciszy, słyszał tylko walenie swego serca.

Pływał dookoła, uświadamiając sobie daremność krzyków, które głużyła woda. Był tak zmęczony, że pływanie stawało się prawie zbyt wielkim wysiłkiem. Najchętniej pozwoliłby, by woda go unosiła. Poza kręgiem światła, nie było nic oprócz czerni.

Zastanowił się, jak głęboko mogło leżeć ciało. Nie chciał doszukiwać się tu niczego przerażającego. Miał jakieś dziwne, erotyczne fantazje, zbyt intensywnie myślał o Judy, co doprowadziło go do stanu podniecenia. W tych okropnych głębiach wszystko wydawało się tak rzeczywiste. Przebywał samotnie w swym własnym świecie, dość realnym, by myśleć, że naprawdę widział swoją przyjaciółkę, dość realnym, by doprowadzić go do orgazmu. I nadal było to bardzo realne.

„Do diabła, ta suka zwodziła mnie” — pomyślał. „Nienawidzę jej za to. Jest tanią kurewką i kiedy mija fizyczne pożądanie, nic nie zostaje”. Chciał wrócić do domu, przelecieć ją, bo tylko tego była warta i potem niech pakuje manatki. Jeśli będzie protestowała — kopniak w dupę i za drzwi. Kiedyś wydawało mu się, że jest w niej zakochany. To był tylko dowód na to, że jeśli dziewczyna jest dobra w łóżku, on staje się ślepy na wszystko inne. Zadrzał, poczuł furję, którą musiał na kimsz wyładować.

Nagle przypomniał sobie, że przecież miał szukać ciała. Nie widział go. A musiało być — dzieciak wjechał motocyklem prosto w wodę. Motor pewnie opadł na dno, przygniatając trupa. — Dosyć tego — stwierdził.

Ruszył w górę, czując jednocześnie, że tlen mu się kończy. Butla musiała być nieszczelna, bo przebywał pod wodą najwyżej dwadzieścia minut. Ogarnęła go ulga, kiedy czerń nad jego głową nabrała zielonkawego odcienia i wypłynął na powierzchnię, kierując się do brzegu. Nie miał prawie sił, by dowlec się do lądu. Serce waliło mu tak, że przez moment obawiał się, by nie dostać zawału. Potem uczucie to minęło, zaciągnął się świeżym powietrzem, patrząc w górę na pochylone nad nim niespokojne twarze.

— Gdzie do diabła, byłeś, Bradburn? — twarz inspektora była napięta, a głos ostry. — Chcieliśmy wzywać kolejnego nurka, by zszedł i cię poszukał. Myśleliśmy, że w coś się zaplątałeś.

— Nie. — Reg Bradburn pomyślał jak dziwnie brzmi jego własny głos. — Tam nie ma żadnej roślinności. Ani śladu życia. To martwe miejsce.

— Nie było cię prawie godzinę. Takie nurkowanie nie powinno trwać dłużej, niż dwadzieścia minut.

— Godzinę! — niedowierzanie odmalowało się na twarzy Bradburna. — Nie wierzę!

— Pięćdziesiąt pięć minut, by być precyzyjnym. — Umundurowany sierżant sprawdził zegarek. — Tlen musiał ci się skończyć.

— Znalazłeś ciało? — inspektor ukląkł na jedno kolano, minę miał oskarżycielską. Stracili już dosyć czasu.

— Nie. — Bradburn opuścił wzrok. — Nie znalazłem. Nie ma go tam.

— Oczywiście, że jest na dnie — oficer policji nie mógł ukryć irytacji. — Dzieciak wjechał prosto w wodę. Nawet jeśli ciała tam nie ma, musi być motor. Nic nie znika bez śladu.

— Nic tam nie ma, ani motoru, ani ciała. Jeśli nie jesteś zadowolony, znajdź innego nurka. Nie jestem cholernym gliną, dzięki Bogu.

— Ale jeśli nie ma tam roślinności, nie powinno być trudności ze znalezieniem ciała i motoru. — Oczy detektywa zwięziły się. — Jesteś pewien, że zszedłeś na samo dno?

— Nie jestem!

— Nie jesteś?

— Nie, bo tam nie ma dna, czy wierzysz mi, czy nie. Ssący Dół jest bezdenny, jak to wszyscy wiedzą.

— To absurd. — Policjant wyprostował się. — Żaden zbiornik nie może być bezdenny, to niemożliwe. Ale, jeśli nie chcesz nurkować na samo dno Bradburn, nie możemy cię zmuszać. Lepiej się ubierz. — Zwrócił się do umundurowanego mężczyzny u swego boku. — Jutro wybagrujemy to miejsce, sierżancie. Dopilnujcie, by dostarczono nam pogłębiarkę. Obalimy wszystkie lokalne przesady. Później ponownie je zasypujemy, tym razem na zawsze!

Reg Bradburn miał dziwne uczucie, jakby rozdzielił się na dwie osoby, z których jedna obserwowała ruchy drugiej. Zdawało mu się, że przygląda się sobie jak komuś obcemu. Może to początek grypy. Może nie mógł wyzwolić się z podwodnych halucynacji. Kiedy dojeżdżał swym wozem do centrum, poczuł ponowną erekcję. Przeklinał Judy, powtarzał wszystkie groźby, które przyszły mu do głowy w głębiach Ssącego Dołu.

Zaparkował samochód przy krawężniku, wysiadł zatrzasnąwszy drzwi. Erekcja trwała nadal, członek napierał twardo, jakby chciał przebić sztruksowe spodnie. Reg prawie biegł krótką, betonową ścieżką, otworzył tylne drzwi. — Gdzie, do diabła jest ta suka! — szeptał.

Judy siedziała na sofie, we frontowym pokoju, patrząc na migające telewizyjne obrazki, przy wyłączonym dźwięku. Spojrzała na niego — oczy miała zaczerwienione, jakby płakała. Nagie ciało owinęła ręcznikiem, wilgotne włosy spadały jej na ramiona. Zachwiał się z wrażenia. „Chryste litościwy, ona jednak była tam na dole!” — pomyślał.

Gdzie byłaś? — warknął, purpurowa mgła wydawała się zasłaniać pokój, wydzielając wstrętny odór, aż nazbyt kojarząc się z Ssącym Dołem. Ona cuchnęła ohydłą wonią rozkładu i śmierci.

— Wyszłam właśnie z wanny — powiedziała ze złością, głosem nabrzmiętym szlochem. — Jeśli to, w ogóle jest twój interes, Reg. A przedtem byłam w klinice. Mam dla ciebie nowiny.

— Co? — skoncentrował się z trudem. Zamierzała wymyślić jakieś wykręty, udawać, że nie była pod wodą. Ale była. Jednak najpierw jej postucha — myślał Reg.

— Jestem... w ciąży — powiedziała z trudem hamując łzy.

Minęło kilka sekund, zanim znaczenie jej słów dotarło do jego szalonego umysłu. Kiedy zrozumiał, żyły na czole mu nabrzmiały, twarz nabiegła krwią.

— Ty mała, wszawa kurwo — szepnął chrapliwie. — Ludzie mieli rację, mówiąc, że prowadzisz grę. Prawda? No, nie grasz? Odpowiedz mi, do cholery, ty suko!

Zerwała się na równe nogi, twarz jej pobladła, wargi drżały z gniewu.

— Jak śmiesz, jak śmiesz do cholery! Puszczalam się w przeszłości, Reg, ale nigdy nie byłam ci niewierna. Ani razu. Będę miała dziecko, bo ty mi je zrobiłeś.

— Brałaś pigułki — warknął, ledwie widząc ją przez purpurową mgłę zasłaniającą wszystko. — Nie możesz być w ciąży. Kłamiesz, tak samo jak łżesz, że wyszłaś z wanny. Pływałaś w Ssącym Dole, prawda?

— Oszalałeś! — cofnęła się o krok, potknęła i z trudem odzyskała równowagę.

— Spójrz na to! — ruszył naprzód, jednym ruchem rozerwał spodnie, członek wyskoczył na wolność, prężąc się i pulsując. Zaśmiał się ostro. — Ty cholerna suko, zamierzam pieprzyć cię tak długo, aż będziesz miała dosyć na resztę życia. A wtedy wywalę cię tak, jak stoisz, za drzwi. Niech wszyscy sąsiedzi wiedzą, jaka naprawdę jesteś!

Chciała wrzasnąć, ale jednym susem znalazł się przy niej. Silna, brudna ręka zacisnęła się na jej ustach, zdławiła krzyk. Próbowwała walczyć, ale był zbyt silny. Podciągnął jej nogi, pchnął na podłogę, runął na nią.

Judy spojrzała mu w oczy i zrozumiała natychmiast, że Reg Bradburn oszalał. Wpatrywał się w nią z przerażającą nienawiścią i żądzą. Chciał jej, ale przede wszystkim, chciał zadać jej ból.

Muskularna ręka ciągle zaciskała się na jej ustach tłumiąc jęki. Poczula, jakby wbijał się w nią jakiś twardy, wielki przedmiot — potwornie bolało ją, bo nie była gotowa na jego przyjęcie. Reg przygniatał ją swym ciężarem do podłogi poruszał się w przód i w tył. Cofnął rękę z jej ust, ale nie odważyła się krzyknąć. Ścisnął palcami jej sutki, szarpał je, rozciągał, przekręcał, aż w końcu oderwał je od małych piersi. Bała się krzyczeć, bo mógłby ją za to zabić.

Oczy Rega zaszkliły się, oddech stał się urywany, każdy nerw ciała drżał gwałtownie. Lada sekunda... Poczula, jak tryska w niej gorący strumień i w chwili orgazmu Reg wpadł w szata. Puścił jej okaleczone piersi, zacisnął ręce na gardle. Walczyła o oddech. Jego wykrzywiona twarz rozmazywała się jej przed oczami, krzyczał coś, ale słowa były tylko przytłumionym echem dochodzącym z wielkiej odległości.

— Byłaś tam, ty dziwko, wiem o tym. Nie mogłem cię złapać, ale teraz cię mam i wiesz, co z tobą zrobię? Zabiję i ciebie i to pieprzone dziecko w tobie!

Ogarniała ją ciemność. Nie wiedziała czy byli ciągle złączeni, ani czy zaciśka jeszcze ręce na jej gardle. Całe ciało miała zdętwiałe, pozbawione czucia. Przekroczyła już barierę strachu, nie była w stanie czegokolwiek zrobić.

— Nie okłamuj mnie, Judy. Byłaś w Ssącym Dole, prawda?

Skinęła głową. Przyznała się. Do wszystkiego. Potem otoczył ją mrok, ciało, którym Reg Bradburn potrząsał, zwisło bezwładnie, jak szmaciana lalka.

Minęło kilka chwil, zanim uwolnił się od niej, podniósł i zwymiotował. Oprzytomniał, szaleństwo, które go opanowało, minęło równie szybko, jak przyszło.

Przez parę minut stał patrząc na nią, chciał ją pocałować, błagać o wybaczenie, ale wszystko byłoby daremne. Nigdy się o tym nie dowie, była martwa i on ją zamordował. Za późno na żal. Potykając się, ruszył do kuchni. Szarpnął szufladę, sztucce posypały się na podłogę. Noże, tuziny noży, ale wszystkie zbyt tępe. W końcu znalazł jeden odpowiedni — nóż do chleba z ząbkowanym ostrzem. Porwał go, jakby obawiał się, że wymknie mu się, tak jak ta potworna zjawa w Ssącym Dole.

Bez wahania przeciął lewy nadgarstek, przełożył nóż do drugiej ręki i przeciął prawy. Dwa strumienie krwi uderzyły w sufit, zaczęły miękko kapać na podłogę. Szkarłatna mgła znowu powróciła.

Zatoczył się, i upadł, zobaczył twarz, tą samą, która kryła się w cieniu w mrocznych głębiach Ssącego Dołu. Teraz widział ją wyraźniej. Wydarł mu się krzyk radości i smutku zarazem, bo to jednak nie była Judy. Ciało zgniło miejscami tak, że widać było bielejące kości policzkowe, oczy wydawały się być dwiema ciemnymi czeluściami, które ciągle jednak widziały i przyzywały.

Była naga, dolna połowa jej ciała była nieskalana. Reg Bradburn wiedział, aż nazbyt dobrze, że te uda rozchylą się zapraszająco, wabiąc go tak samo, jak przedtem. Próbował się przeciwstawić, ale nie znajdował w sobie dosyć siły.

— Nie widzisz, że umieram?

— Raz, tylko raz, zanim umrzesz, Reg. Wyciągnął rękę z palcami lepkiemi od krwi. Tym razem nie usunęła się. Poczłł lodowate zimno, usłyszał śmiech.

Stała nad nim, szeroko rozstawiając nogi. Lada chwila sparzę się, w uszach słyszał jej szept, jak odległy pomruk.

— Chodź do Jenny Lawson, bo ona cię potrzebuje. Musisz być posłuszny, a zostaniesz nagrodzony.

Reg Bradburn spojrział w dół, zobaczył, że jest gotów, jego męskość pulsowała, posłuszna wezwaniu tak staremu, jak początki ludzkiego gatunku. Pochylił się przygotowując się do wejścia w nią, do oddania się wodnej nimfie, która znalazła go tutaj.

Potem błysnęła nagle fala nienawiści do tej czarownicy, nazywającej siebie Jenny Lawson i wstyd za siebie. Ciągle miał nóż. Włożył resztki swych sił w jedno szybkie uderzenie.

Przeszył go ból przechodzący ludzką wytrzymałość, a potem ogarnęła go euforia, że umknął jej w ostatniej minucie. I Reg Bradburn umarł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Nie możemy dłużej kwestionować faktów, bez względu na to, jakie teorie ma policja. — Twarz Chrisa Latimera była blada i pocięta bruzdami, których nie było na niej jeszcze kilka dni wcześniej. — Zło zostało uwolnione ze Ssącego Dołu. Będzie coraz więcej przypadków gwałtownej śmierci, o ile nie zdołamy go powstrzymać.

— Zamierzają dzisiaj wydrenować i zasypać Dół — odparł bez przekonania Carl Wickers. Czuł się w obowiązku powiedzieć cokolwiek, głównie ze względu na Pamelę i Samanthę.

— Już za późno. — Chris żałował, że dziewczyny są tutaj, że żadne nagłace sprawy nie zmusiły ich do wyjazdu do Londynu. — Kolejny ładunek kamieni nie rozwiąże problemu.

— A co ty możesz z tym zrobić? — Carl dotknął ostrożnie zranionego policzka. Plaster został już usunięty i widać było wąską szramę. Ale nagle wydało się, że czasu pozostało im niewiele.

— Nie wiem dobrze. Ale muszę spróbować coś zrobić. Mam zamiar pójść i spojrzeć na Dół, może tam coś wymyślę, choć Bóg mi świadkiem, że nie mam żadnych pomysłów. Miejscowi odchodzą, prawie od zmysłów ze strachu. Nie zapomnieli, co się zdarzyło dziesięć lat temu.

— Nie idź, Chris. — Pamela zacisnęła rękę na jego ramieniu. — Proszę. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Muszę. Muszę choć rzucić okiem.

— Do tej pory, na pewno go wydrenują.

— Dlatego zamierzam iść tam natychmiast. Nie zapominaj, że mogę zauważyć coś, co inni przeoczą. Znam to miejsce lepiej niż większość ludzi, nawet miejscowi.

— Więc pójde z tobą. — Na twarzy Pameli malowało się zdecydowanie.

— Nie. To moje ostatnie słowo.

— Nie możesz mnie powstrzymać Chris.

Westchnął, wiedząc dobrze, że to prawda. W gruncie rzeczy podziwiał ją za to. Mógł wziąć ją ze sobą, albo pozwolić, by poszła tam sama.

— Najprawdopodobniej nic nie zobaczymy — powiedział słabo.

— My także pójdziemy — powiedział Carl Wickers do Samantha. — Mamy przyjemne, słoneczne popołudnie i nie można spędzić go lepiej, niż wybierając się na spacer do lasu.

Zza wzgórza, dochodził ich już huk pracujących maszyn, monotony warkot i zgrzytliwy dźwięk, przeplatany odgłosami spadających kamieni. Miękki piasek Lady Walk przechodził miejscami w twardey grunt, przed nimi widniały ślady ciężkich gąsienic.

— Rzeczywiście, tym razem musieli zmienić sposób pracy — zamruczał Carl Wickers.

Będzie im to naprawdę potrzebne, pomyślał Chris. Zło było już na wolności; zasypywanie Dołu było jak zamykanie drzwi stajni, kiedy konie już uciekły.

— Patrz — Pamela przystanęła, spojrzała w niebo. — Chmurzy się. A od kilku tygodni widywaliśmy tylko puszyste białe obłoczki.

Latimer wstrzymał oddech, instynktownie złapał ją za rękę, jakby chciał osłonić ją przed nieznanym niebezpieczeństwem. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Rzeczywiście, od zachodu nadciągały bez ostrzeżenia ciemne formacje chmur, masy szarych zwałów, którym rozbrykana wyobraźnia nadawała konkretne kształty. Nieboskłon zdawał się obniżać coraz bardziej, jakby natura chciała przestraszyć te drobne ludzkie figurki na ziemi.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie padało — spokojnie powiedziała Samantha. — Wszyscy zmokniemy. Nic o tym nie wspominali w prognozie pogody. Wyż miał się jeszcze utrzymać przynajmniej przez kilka dni. A tu zanoszą się na burzę z piorunami.

— Może — odparł Latimer. — Jest bardzo wilgotno i...

Rozległo się odległe dudnienie, które przeszłoby niezauważone, gdyby nie nad słuchiwali. Wszyscy pomyśleli o tym samym — chyba powinni wrócić. Los sam podsuwał im wygodne usprawiedliwienie.

— Chodźmy. — Chris ruszył naprzód, ciągle trzymając Pamelę za rękę. — Bo zanim dotrzemy na miejsce, Ssący Dół zostanie zasypywany.

Wspięli się na piaszczyste wzgórze, instynktownie skupiając się razem, jakby szukali u siebie wzajemnie opieki, spojrzeli na dół. Zgromadził się tam spory tłumek, prawdopodobnie miejscowych, którzy przyszli, by być świadkami zasypywania bagna. Stali w pewnej odległości, może ci umundurowani policjanci kazali im zachować dystans. Policja i pomarańczowo odziani robotnicy otaczali skraj. W centrum, stał olbrzymi dźwig z chwytnikiem, na końcu długiego łańcucha — przypominało to rodzaj dziwacznej wędki. Łańcuch zgrzytał i brzęczał, odwijając się z wielkiej szpuli na całą długość i nawijając z powrotem. Za każdym razem, kiedy chwytak wynurzał się z wody, na zebranych spadał prysznic brudnej, czarnej wody. Za każdym razem, pusty.

Jeszcze raz w dół.

— Na pewno nie sięgnęli dna — westchnął Latimer. — Łańcuch ma zaledwie pięćdziesiąt metrów.

Kolejne powtórzenie całej operacji. Dozorujący jej przebieg wydawali się здаwać sobie sprawę z jej daremności. Naradzali się krótko, łańcuch znowu zaczął się odwijać. Wszyscy byli już rozdrażnieni, dwa czekające z boku buldożery ruszyły kilka jardów naprzód, ich operatorzy chcieli jak najszybciej zacząć spychanie kamieni do basenu i skończyć pracę.

Pierwsze, zimne krople deszczu uderzyły Latimera w twarz i pociekły po policzku. Wzdrygnął się, w napięciu oczekiwał grzmotu.

Niebo pociemniało, ale deszcz ciągle nie padał. Świat zastygł w oczekiwaniu, nawet żywioty zamarły.

Chwytak jeszcze raz opadł w dół i wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim pusty kołowrót zatrzymał się wydając metaliczny zgrzyt. Łańcuch naprężył się, zaczął sunąć w górę. Wyglądało na to, że chwytak na coś natrafił, bowiem zbyt powoli wynurzał się z wody, jakby hamowała go jakaś niewidoczna siła. Głośny plusk i chwytak pojawił się na powierzchni. Gdy woda spłynęła, ukazał się poszarpany przedmiot. Motocykl.

Wrak położony został z boku, policjanci ruszyli, by go zbadać. Łańcuch i chwytak zakotływały się, obniżając się uderzyły w wodę z potężnym pluskiem. Operator dźwigu nie chciał zwlekać ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Wszyscy pragnęli znaleźć się jak najdalej od tego okropnego miejsca. Ale najpierw musieli znaleźć ciało.

Rozległ się grzmot, kilka sekund później oślepiający błysk rozświetlił ciemne niebo. Latimer zadrżał. Bogowie sprzeciwiali się bezczeszczeniu starożytnego cmentarza.

Nagle, dźwig przechylił się, jakby jakiś gigantyczny podwodny stwór ciągnął za łańcuch, kabina przechyliła się, gaśienice zaryły się w błocie. Trzasnęły otwarte drzwi, kierowca wyskoczył, ruszył biegiem. Krzyczał coś, ale ryk silnika zagłuszał jego słowa. Teraz kierowcy buldożerów opuścili swe maszyny i rzucili się do ucieczki.

— Co się dzieje? — Pamela przywarła do Chrisa, czuł, że jej ciało zaczyna drżeć. W innej sytuacji podnieciłoby go to, ale tutaj widok Ssącego Dołu odbierał odwagę.

— Nie wiem — zamruczał, bo naprawdę nie wiedział. Mógł tylko przypuszczać, pamiętając doskonale, co się zdarzyło Mickowi Treadmanowi.

— Mój Boże, patrzcie! — wrzasnęła Samantha i w tej samej sekundzie, oślepiająca błyskawica oświetliła całą scenę, jakby siły zła postanowiły pokazać ludziom swą przerażającą potęgę. Od strony grupy miejscowych dobiegły krzyki, ludzie rozproszyli się w ślepej panice. Uciekać, zanim będzie za późno!

Martwa dotychczas tafla czarnej wody wydawała się ruszać, jakby pchnięta przez jakiś podwodny nurt. Potężna fala uderzyła o brzeg. W bryzgach brudnego

wodnego pyłu, cofnęła się, gromadząc siły do następnego ciosu. Dźwig zachwiał się. Wzniósł się, jakby przeciwstawiając się prawom grawitacji, potem przechylił na bok i wolno przewrócił. W ziemi otworzyła się szczelina i maszyna ześliznęła się w nią.

Przerażeni widzowie najpierw usłyszeli, a potem zobaczyli wodę; rozległ się ryk, jakby pękła tama, a potem z głębi podniosła się olbrzymia fala ciemnego, pieniacego się pyłu wodnego, rozrywając brzegi i zalewając stos kamieni zgromadzonych przez buldożery. Ciężkie maszyny pokryły się cienką powłoką brudnej piany.

Woda zawirowała, pieniać się i sycząc na powierzchni tworzyły się bąble, wydzielając wstrętny odór. Znowu zadudnił grzmot, jakby tryumfalny dźwięk trąb bogów wojny, którzy jeszcze raz zwyciężyli.

— Mój Boże! — Carl Wickers był blady i roztrzęsiony. — Widzieliście to?

— Widziałem — szepnął Latimer. — Nie uwierzyłbym, gdybym nie widział.

Woda była znowu nieruchoma, tylko kilka zanikających zmarszczek fałdowało jej powierzchnię. Dźwigu nie było już widać, buldożery były na wpół zatopione, ale wszyscy wiedzieli, że i one niedługo zatoną w bagnie.

— Ssący Dół odzyskał swe stare granice — powiedział Latimer. — Prawie co do jarda, ten sam teren. . . ten sam kształt!

— Nie możemy stać tu w nieskończoność. — Carl wyciągnął rękę, poczuł ciężkie krople burzowego deszczu. — Zaraz lunie.

— Myślę, że możemy wracać. — Chris odwrócił się, zaczął popychać Pamelę w górę piaszczystego zbocza, z trudem hamował pragnienie ruszenia biegiem.

I nawet, kiedy odnaleźli już drogę powrotną, prześladowało go ciągle uczucie, że jest obserwowany, jakby czarny basen był wielkim okiem, śledzącym każdy jego ruch, jakby nienawidził go za to, że tu wrócił. Jakby usiłował uczynić go posłusznym sobie.

* * *

Ralph Grafton wytrzeszczył oczy w przerażeniu i niedowierzaniu. W ciągu niecałej minuty szmat suchego łądu obrócił się w czarne jezioro, dźwig się zapadł, a dwa buldożery szybko tonęły.

Wszyscy stali i patrzyli, nikt nie spytał nawet dlaczego tak się stało. Bo, nie było odpowiedzi. Ktoś rzucił szeptem hipotezę, że grunt znowu osiadł, ale nikt w to nie uwierzył.

Inspektor policji potrząsał głową w oszołomieniu; później ogarnęła go desperacja. Poszarpane resztki motocykla zostały splukane przez potężną falę. Nie znaleźli ciała i z całą pewnością nie znajdą go teraz.

— Wydawało się, że ziemia się... rozstąpiła — powiedział sierżant i poczuł się głupio, wypowiadając te słowa. Wszyscy to widzieli, nikt nie mógł tego wyjaśnić. Może tylko miejscowi, których przesady tak szybko stawały się rzeczywistością. Ale nikt nie chciał ich słuchać, albo może bali się tego, co mogliby usłyszeć...

Grafton oddalił się od tłumu, czuł się rozbity fizycznie i psychicznie. Jego najlepsze tereny budowlane znalazły się pod wodą. Gdzieś głęboko w dole, poza zasięgiem przyrządów geometrów, musiała znajdować się jakaś naruszona skalna formacja, być może osłabiona przez codzienne wstrząsy spowodowane eksplozjami w żwirowniach i w końcu olbrzymie ciśnienie wypchnęło wodę. Teren nie nadawał się do osuszenia, do zagospodarowania. Spodziewał się, że cofną mu pozwolenie. Skrzywił się. Ta ziemia nie przyda się na nic, nikt jej nie kupi.

Nie zwracał uwagi na deszcz, nawet nie przyspieszył kroku, kiedy jego koszula i spodnie zaczęły nasiąkać wodą. Było ciemno, jak w nocy, choć to tylko późne majowe popołudnie. Dotarł do dużego domu, poszukał klucza w przemoczonej kieszeni. Chciał zmienić szybko ubranie i udać się do Minwortha — głównego planisty. Trzeba coś zrobić, zanim sytuacja nie wymknie się im z rąk, o ile już się to nie stało.

Zamek był oporny, musiał użyć siły, prawie zgiął klucz. Do diabła, nowe drzwi frontowe ciągle nie zostały zamontowane, a na domiar wszystkiego nie było żadnego znaku od ekipy robotniczej.

Nagły dzwonek telefonu wdarł się w jego myśli.

Aparat zdawał się podskakiwać na małym stoliku, jakby podkreślając pilność wezwania. Pomyślał, że to może Lynatte, zła, że nie dzwonił. Ale przecież próbował. Wilgotnymi palcami spokojnie ujął słuchawkę.

— Grafton, słucham.

Czekał, aż rozmówca się odezwie, ale odpowiedziała mu tylko cisza, przerywana słabym trzeszczeniem.

— Kto to?

Brak było odpowiedzi, lecz miał odbierające odwagę uczucie, że linia nie jest martwą. Czuł, że nie był to nawet szmer czyjegoś oddechu, raczej... obecność. Zadrżał, zdał sobie sprawę, że jest mu zimno.

— O co chodzi? — krzyknął, miażdżąc prawie słuchawkę. — Kto to?

I nagle linia zamarła, rozległ się tylko wibrujący ton. Rzucił z trzaskiem słuchawkę, odczekał chwilę, podniósł ją znowu i położył na stole. Jakiś miejscowy wariat próbował zaśmiać się głośno, ale śmiech był fałszywy, podszyty strachem. Jeśli znowu zadzwonią, będą tracić swój własny czas, nie jego — pomyślał z wściekłością.

Ruszył ku schodom, jego kroki odbijały się echem w pustym hallu. Zatrzymał się co chwilę, nasłuchiwał, podświadomie spodziewając się usłyszeć dźwięk, którego lękał się najbardziej.

Skrobanie... szczurów! Tylko, że tu nie było szczurów.

Nie wiedział, skąd dobiega ten dźwięk, bo milkł, kiedy rozglądał się dookoła. Ruszył biegiem, pokonując po trzy stopnie naraz, wpadł do łazienki, odkręcił do oporu oba kurki, mając nadzieję, że zdoła zagłuszyć to... pukanie w okno!

Szum wody przypomniał mu przerażający odgłos — ryk olbrzymiej fali, wznoszącej się z wnętrza ziemi, rozlewającej się znowu w starych granicach Ssącego Dołu!

Zatrzasnął drzwi łazienki, zamknął zardzewiały zamek. Dopiero wtedy poczuł się bezpieczny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Wziąłeś od niego pieniądze, prawda Claude? — May Minworth utkwiała w swym mężu oskarżycielskie spojrzenie. — Nie okłamuj mnie, przyjąłeś łapówkę. Możesz pójść do więzienia, jeśli się o tym dowiedzą!

Claude Minworth oblizał nerwowo wargi, odwrócił głowę tak, by żona nie mogła zobaczyć jego twarzy. Był czterdziestodwuletnim, otyłym mężczyzną o różowej cerze, którą jego rodzice określali kiedyś jako „zdrową różaną czerwień”. Przylizane, czarne włosy czesał gładko do tyłu i obficie smarował brylantyną. Garnitur opinał go zbyt mocno, nie ukrywając wałków tłuszczu wylewających się zza paska. Elegancja i pewność siebie, to była podstawa, na której May i on opierali się od dawna, wspinając się do pozycji głównego planisty. Często pracował w domu, w ten sposób i May Minworth stała się nieoficjalnie głównym planistą.

— Więc? — przesunęła się w bok, by widzieć jego twarz, zauważyła że pobladł. — Co masz na swoje usprawiedliwienie, Claude?

— To nie była łapówka — krew nabiegła mu do twarzy, dolna warga drżała.

— A co to było?

— Prezent. Grafton po prostu okazał mi w ten sposób wdzięczność.

Zaczerpnęła powietrze, wypuściła je powoli, lewą stopą zaczęła stukać w podłogę, jak zawsze, kiedy była naprawdę zdenerwowana. Była to kobieta, która w wieku czterdziestu ośmiu lat walczyła o zachowanie młodego wyglądu. Farba maskowała pierwsze siwe włosy, zmarszczki na twarzy były wygładzone kremami i ukryte pod kunsztownym makijażem. Zachowała szczupłą sylwetkę dzięki przestrzeganiu diety, poza tym porody nie zniekształciły jej figury. Nie potrzebowała dzieci, powiedziała sobie, bo miała męża, a on wymagał wystarczająco dużo troski. Bez niej nie byłby tym, kim jest teraz, choć myślała często, że lepiej byłoby machnąć ręką na to małżeństwo i skoncentrować się na własnej karierze.

— To była łapówka — wycodziła wolno. — Dlatego w naszym garażu stoi maestro, mamy to głupie video i nowe dywany w całym domu. Okłamałeś mnie, Claude. Nie dostałeś żadnego awansu, miałeś za to przykrą wiadomość od Graftona. Teraz on staje się dokuczliwy, bo jego tereny budowlane zostały zalane i pozwolenie na budowę może lada chwila być unieważnione. Chce ciebie, nas,

poświęcić nasze głowy i spróbować uratować siebie. Czy nie jesteśmy już wystarczająco niepopularni w tym miasteczku, odkąd przeszedł pierwotny szkic projektu?

— Komitet go zatwierdził — powiedział słabo, splatając swe tłuste palce, aż zbieleły kciuki. — To nie zależało ode mnie.

— Nie, ale ty wpłynąłeś na nich, wywarłeś nacisk na każdego z nich przeciągałeś ich na swoją stronę. Każdy członek komitetu był podejmowany w tym domu winem i obiadem, a za wszystko zapłacił Grafton. Gdzie podzielałeś pieniądze, które ci dał? Ile tego było?

— Razem sześć tysięcy. — Poczul nagłe pragnienie, by się wypowiedzieć, oczyścić sumienie i móc spać spokojnie. — Wszystko gotówką. Wydałem to, nie mogąc wpaść na trop.

— Nie bądź taki pewny — jej oczy zwięziły się, nienawidziła go bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, za sposób, w jaki się wykręcał i próbował usprawiedliwiać własne działania. — Ty nie wytrzymałbyś policyjnego przesłuchania. Miejmy jednak nadzieję, że nie dojdzie do tego. Ale zastanów się, na co byś mnie naraził. Musiałabym zrezygnować z pracy w Światowej Federacji Kobiet, nie moglibyśmy obejmować żadnych lokalnych funkcji bez narażania się na wrogie spojrzenia ze wszystkich stron. Staniemy się ofiarami ostracyzmu, okrzykną nas zdrajcami.

Zapadła niezręczna cisza, w której tykanie elektronicznego budzika było ogłuszającym dźwiękiem.

— Mogę oddać Graftonowi jego pieniądze — głos Minwortha drżał, jakby był bliski łez.

— Już je wydałeś.

— Możemy sprzedać samochód i video.

— Za późno — ucięła. — Co się stało, to się nie odstanie.

— Przyjdzie tutaj — przełknął ślinę. — Jutro.

— Co?

— Dzwonił, że chce się ze mną zobaczyć.

— Pewnie że chce, ale nie przestąpi progę tego domu, Claude, nie dopuszczę do tego. I możesz mu to powiedzieć!

Znowu zapanowała cisza, w której rozlegało się tylko stukanie stopy May, teraz szybsze, i miękki odgłos, kiedy Claude nerwowo pocierał ręce.

— Nie wiem, co robić — powiedziała po chwili. — Wciągnąłeś mnie w te wszystkie oszustwa.

— Nie masz z tym nic wspólnego — odparł prawie wyzywająco.

— Mam. Samochód, dywany, video. Chciałam tego tak samo, jak ty. Ja go zabawiałam, zresztą bez najmniejszych podejrzeń. Ty pójdziesz do więzienia, Claude, ale ja także zostanę napiętnowana. Już sobie wyobrażam, co ludzie będą mó-

wić: „To żona Minwortha. Wiecie, tego co siedzi w więzieniu za korupcję”. Och, mój Boże, gdybym tylko wiedziała co ty robisz.

Odwróciła się, majestatycznie wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Słyszał jej kroki na schodach, trzasnęły drzwi sypialni. Znużony, drżący opadł na sofę. Nagle wszystkie jego nadzieje obróciły się w upiorny koszmar. Grafton mu nie daruje. Został zapędzony w kozi róg: jeśli nie będzie mógł budować na terenie żwirowni, całe jego imperium stanie w obliczu ruiny. Zostanie właścicielem zatopionego obszaru, którego nikt nie zechce kupić.

Minworth nie powiedział May, że był tam dziś na inspekcji. To mogło tylko dolać oliwy do ognia który i tak płonął, aż nazbyt jasno. Musiał to zobaczyć na własne oczy, do tej pory znał tylko relację Graftona i doniesienia gazetowe. Może nie było tak źle, jak mówili, może da się je wydrenować i zasypać. Z pewnością nowoczesna technika potrafi poradzić sobie z osiadającym gruntem i absurdalną lokalną legendą.

Podszedł do barku, nalał sobie szklaneczkę zaprawionej słodem whisky. Była gorzka i sparzyła mu gardło tak, że zakaszał. Uważał, że May robiła wokół tego zbyt wiele szumu, patrzyła na rzeczy z najczarniejszej strony. Grafton, po prostu, okazywał swe uznanie w rozmaity sposób. Nie było mowy o łapówce. Główny planista wykonywał swą pracę, przedłożył plany komitetowi. Nie było żadnych nacisków, tylko perswazje. Na pewno nie mogło to być określone jako korupcja.

Mogło — pomyślał. Nalał sobie kolejną whisky — tym razem nie paliła tak mocno. W każdym razie nie chciał myśleć o tym, co mogłoby się zdarzyć. Postanowił obejrzeć to miejsce, opracować jakiś alternatywny plan, uciszyć Graftona. Trzymać go z dala.

Claude Minworth na palcach przeszedł do hallu. Zakradł się do garażu, wypchnął wypucowanego maestro na ulicę, nie zapalając silnika. Koszula nasiąkła mu przy tym potem. Obiecał być po południu w biurze, by podpisać kilka dokumentów, ale stwierdził, że to może poczekać.

Zaparkował na poboczu naprzeciw wejścia do lasu, przebiegł ruchliwą drogę. Dochodząc do Lady Walk rozejrzał się dookoła z miną winowajcy, jak człowiek naruszający cudze prawa. Zastanawiał się czy spotka tu Graftona, albo policję, ciągle prowadzącą śledztwo w sprawie zaginięcia Petera Hasdena? To nie miało znaczenia; był głównym planistą, który przyszedł zbadać zapadnięcie się gruntu. Dotarł do Ssącego Dołu. Przystanął, rozejrzał się. Zobaczył mroczną tafłę czarnej wody, w której nie odbijało się słoneczne światło, wydzielającą zastyły odór, wyczuwalny z odległości stu jardów.

Ani śladu człowieka. Przyjął to z ulgą. Potem zobaczył płot, pospiesznie zbudowane ogrodzenie; słupki wbite w nierównych odstępach i przeciągnięte między nimi dwa pasma drutu kolczastego. Na płocie wisiała tabliczka, prawdopodobnie pożyczona ze żwirowni. Czerwonymi literami na białym tle napisane było tylko jedno słowo — NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Z pewnością było tu niebezpiecznie. Minworth przełazi przez płot, zahaczając o drut spodniami. Musiał spojrzeć z bliska, przekonać się, czy była jakaś szansa. . .

To strata czasu — pomyślał Minworth — trzeba powiedzieć Graftonowi, że nie ma szans. Ale zwlekał, stojąc i wpatrując się w wodę, jego myśli wróciły do May. Zamieniła mu życie w piekło. Zdominowała go całkowicie, bez sprzeciwu akceptował jej słowa. Wyszkoliła go. Teraz była na niego zła i maska opadła z jej twarzy, ujawniając prawdziwą naturę. Nigdy nie przebaczy mu, że tu przyszedł, próbując znaleźć kompromisowe rozwiązanie problemu. I dla siebie. I dla May, jeśli dojdzie do najgorszego.

— Halo.

Drgnął, odwrócił się gwałtownie, zagapił się na stojącą kilka jardów od niego dziewczynę. Nie rozumiał, jak mógł nie usłyszeć, że się do niego zbliża. Miała najwyżej dwadzieścia lat, w dużych ciemnych oczach odbijał się smutek, nawet, kiedy się uśmiechała. Ubrana była w długą suknię z jutowego materiału, która wirowała wokół kostek w rytm jej ruchów. Ramiona ukrywała w obszernych rękawach. Trochę staromodnie, pomyślał Minworth, a może jest hippiską. Młode pokolenie hołdowało wielu dziwnym modom. Wyobraził ją sobie, jak bierze udział w jakimś protestacyjnym marszu, albo czymś w tym rodzaju. Należała do ludzi, którzy instynktownie budzili zaufanie. Miał uczucie, jakby znał ją całe życie. Nie była szczególnie seksowna, ale miła.

— Masz jakieś zmartwienie — jej głos był miękki, śpiewny, uśmiech pełen troski.

— Tak — przytaknął, czując niezwykle rozczulenie nad sobą, prawie zapłakał. — Mam.

— Lepiej powiedz mi o tym — zbliżyła się do niego, ścisnęła go za rękę. Dotyk jej ręki był zimny. — No, dalej, zobaczmy czy potrafię ci pomóc.

— Nie możesz. — Minworth próbował odwrócić wzrok, ale nie mógł, patrzył w te ciemne, urokliwe oczy. — Nikt nie może mi pomóc.

— Nie możesz tego wiedzieć, dopóki mi tego nie powiesz, prawda? — Uśmiechnęła się znowu, delikatny ruch jej warg wzbudził w nim jeszcze silniejszą chęć do płaczu. — Kłopot, którym się z kimś podzielisz, to kłopot o połowę mniejszy.

— Och... to prawda. — Tłumił łzy, czuł, że oczy mu wilgotnieją. — Ale zanudzę cię na śmierć.

— Spróbuj.

Opowiedział tej młodej dziewczynie wszystko o Graftonie i pozwoleniu na budowę, o tym, jak pogrążał się coraz bardziej i bardziej, aż było za późno, by się wycofać. Jak wszystko mu obrzydło. Claude Minworth czuł grudę w gardle, kiedy kończył opowieść, głos mu się łamał, całe ciało drżało. Mógł wyprzeć się wszystkiego, nie mówić nic ani May, ani tej nieznanym dziewczynie. Sam założył sobie pętlę na szyję.

— Nie... powtórzysz tego nikomu, prawda? — wyjąkał ze szlochem.
— Nie, oczywiście, że nie. — Jej twarz była zamyślona.
— Powiedziałam przecież, że chcę ci tylko pomóc.
— To niemożliwe — westchnął. — Wpakowałem się w największe kłopoty w moim życiu. Gdybym miał odwagę, zabiłbym się.

— To byłoby głupie.

Twoja żona musi być prawdziwą suką.

— Jest, zawsze taka była — wyrzucił, nie będąc dłużej w stanie hamować nienawiści do May.

— Więc dlaczego jej nie zabijesz?

Minęło kilka sekund zanim znaczenie tych słów dotarło do Minwortha. Ogarneło go zdumienie i przerażenie, ale gdzieś wewnątrz nieznany głos szeptał, że to doskonały pomysł. Ziarno zostało rzucone. Odetchnął głęboko.

— Co za okropna myśl, nawet jako żart. To morderstwo!

— Sądząc po tym, co mi powiedziałeś, ona od lat znęca się nad tobą.

— Posłałby mnie na wiele lat do więzienia za morderstwo.

— Za korupcję także.

W głowie miał zamęt. Kiedyś, parę lat temu, kiedy May pojechała samochodem do Londynu w jakichś sprawach Federacji Kobiet, zastanawiał się bardzo poważnie nad upozorowaniem nieszczęśliwego wypadku, uszkodzeniem hamulców albo układu kierowniczego. Ale nie miał wystarczającej wiedzy by to wykonać, ani by to ukryć. Nie znalazłby też w sobie dosyć odwagi. To wszystko były mgliste myśli, jednak potem, kiedy May odjechała, zdał sobie sprawę, że liczy na jakieś zrządzenie losu, na prawdziwy wypadek. Już widział nagłówki w „Herald” i „Mercury”: „Żona głównego planisty zabita w potwornej katastrofie na autostradzie”. Może nawet byłyby wzmianki w jednym z wielkich dzienników. Na pogrzebie uroniłby kilka krokodylich łez. Zbyt to piękne, żeby mogło być prawdziwe. May nie miała wypadku, powróciła bezpiecznie i gnębiła go znowu.

— Ale jeśli nie dasz się złapać, nie poślą cię do więzienia — mówiła niedbale, jakby prowadziła grzeczną konwersację na błahe tematy.

— Złapią mnie na pewno. Większość morderców wpada.

— Nie złapią cię — powiedziała zdecydowanie. — Dopilnuję tego. Obiecuję ci to.

Znowu zapatrzył się w jej oczy, ciemne źrenice błyszczące namiętnością i zrozumieniem. Wydawała się czytać te myśli, których nie odważył się ubrać w słowa.

— Potrafisz to zrobić, ale potrzebujesz kogoś do pomocy. Kogoś takiego, jak ja. Bez niej będziesz wolny, będziesz robił, co zechcesz. A jeśli Grafton także umrze, nikt się nie dowie, że wzięłeś łapówkę, prawda? Oprócz mnie, a ja nie powiem o tym nikomu.

Ciało Minwortha owionął lodowaty powiew, tak zimny, jak uścisk delikatnych palców, które były splecione z jego palcami. Poczul nagły zawrót głowy, oparł się

na swej nieznanym towarzysze, by nie upaść. Wpatrywał się ciągle w jej oczy, zdawało mu się, że znajduje w nich wiele obietnic, których jeszcze w pełni nie rozumiał.

— To ma sens, czyż nie? — Jej głos stał się teraz odległym echem, takim, jak te niewytłumaczalne szepty wewnątrz jego głowy. — Ma?

Skinął bez słowa, czuł, że jego strach ustępuje miejsca innemu uczuciu. Ta dziewczyna mówiła z sensem. Chciała mu pomóc. Za zabójstwo dostanie wyrok nie wiele większy, niż za korupcję. Jeśli, w ogóle go złapią.

— Nie złapią cię. — Chyba naprawdę czytała w jego myślach. — Daję ci słowo. Ale musimy zaplanować wszystko bardzo ostrożnie, Claude. — Nie pamiętał, żeby podał jej swoje imię, ale nie był pewien, zresztą nie miało to znaczenia.

— Zabijesz szybko i cicho — dziewczyna uśmiechnęła się słodko. — Zabij ją, kiedy najmniej się tego spodziewa, bez ostrzeżenia.

— W drewni jest siekiera. — Jego początkowe zmieszanie znikło, mówił teraz tak beznamiętnie, jak na comiesięcznym posiedzeniu komisji planowania. — Mogę jej użyć.

— Dobrze. — Jej oczy zwęziły się, wpatrywała się w niego, jakby szukając czegoś, czego nie powiedział.

— A co z Graftonem? Z nim nie pójdzie tak łatwo.

— Przyjdzie zobaczyć się ze mną jutro wieczorem — powiedział pospiesznie, jak gorliwy uczeń wyrrywający się do odpowiedzi. — Wtedy mogę go zabić. Nikt nie wie, że przyjdzie, bo zależało mu na dyskrecji, ponieważ...

— Doskonale — podniosła palec. — Ale znajdź sposobny moment. Musisz to zrobić. Zabij żonę dziś w nocy, albo jutro i ukryj ciało. Potem zabij Graftona.

— A co ze mną?

— Właśnie do tego dochodzę — zganiła go. — Wrócisz tutaj, gdzie będę na ciebie czekała.

— Ale... co zrobimy?

— Nie ufasz mi, Claude? Muszę ci wszystko wyjaśnić?

— Nie... oczywiście, że nie. — Doświadczył podobnego poczucia winy, jak wtedy, gdy May go strofowała, ale minęło to szybko. Ta dziewczyna była inna. Marzył, że wyjadą gdzieś razem, będą szczęśliwi. Serce biło mu mocno, już nie ze strachu i obawy.

— Będę tu czekała. — Uścisnęła jego dłoń i pocałowała go. Usta miała równie zimne, jak palce.

Potem odeszła szybko, suknia falowała w rytm jej ruchów. Zniknęła za piaszczystym wzgórzem.

Claude Minworth od lat nie czuł się tak odprężony. Zagwizdał coś melodyjnie, przechodząc z powrotem przez kolczasty płot i zahaczając się znowu spodniami. Kimkolwiek była ta dziewczyna, sprawiła, że miał nowy cel w życiu. Cieszyła go

myśl o zabiciu May i Graftona. Nie nazywał już tego morderstwem, raczej pracą, którą trzeba wykonać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na kilka chwil przed przebudzeniem, Chris Latimer doznał jakiegoś dziwnego uczucia. Zdał sobie sprawę, że boli go głowa. Jęknął cicho, otworzył oczy, skrzywił się spojrzawszy prosto we wczesno-poranne słońce i zamknął je znowu. Potem, powróciły do niego obrazy wczorajszego dnia.

Zastanawiał się przez moment czy nie jest chory, może zaziębił się w czasie burzy. Czuł się dziwnie. Gdzieś w głębi domu ktoś chodził, słyszał kroki, głosy. Spojrzał na zegarek: szósta. Było zbyt wcześnie, aby domownicy już wstali. Miał jakieś złe przeczucie, ale odrzucił je.

Spuścił stopy z łóżka. Pokój zawirował mu przed oczami. Musiał odczekać chwilę, zanim wszystko wróci do równowagi. W głowie mu huczało. Chwytał koszulę, naciągnął ją przez głowę, szamotał się z dzinsami i trampkami, potykając się o rozwiązane sznurowadła, co zauważył dopiero na półpiętrze. Kiedy schodził po schodach, przytrzymując się poręczy, by nie upaść, znowu ogarnęło go uczucie, że coś jest nie w porządku.

— Chris! — Samantha stała na dole, w hallu z Pamelą przy boku. Obie były całkiem ubrane. Serce mu zamarło, kiedy zobaczył ich twarze. Coś było złe.

— Co jest? — zatrzymał się, powiódł wzrokiem od jednej do drugiej.

— Carl zniknął! — jęknęła Samantha.

— Zniknął?

— Nie ma go nigdzie w domu.

— Może jest... — Latimer nie mógł wymyślić żadnego logicznego wyjaśnienia.

— W nocy był niespokojny — ciągnęła Samantha. — Obudziłam się i zobaczyłam, że stoi przy oknie wyglądając na zewnątrz. Kiedy się do niego odezwałam, nie odpowiadał. W końcu przekonałam go, by wrócił do łóżka. Ale nie spał, poznałam to po oddechu. Zasnęłam na chwilę, a kiedy się obudziłam... nie było go! Szukałam wszędzie, Chris, nawet w ogrodzie, ale nigdzie go nie widziałam. Prawie odchodzę od zmysłów, wiem, że był bardzo niespokojny i...

Fala zawrotów głowy wróciła. Chris Latimer mocno uchwycił się poręczy. Przeszyła go nagła myśl, okropna, modlił się, by być w błędzie. Wszyscy byli

okropnie podnieceni wczorajszym dniem. Carl Wickers opuścił swe łóżko, swój dom. Było tylko jedno miejsce, gdzie mógł się udać.

— Pójdę i poszukam go. — Latimer zszedł wolno po schodach. — Wy dwie zostaniecie tutaj. Wróćcie niedługo.

— Nie, pójdziemy z tobą. — Samantha i Pamela zbliżyły się do niego.

— Nie, proszę.

— Pójdziemy, Chris, bo wiemy, gdzie się wybierasz. — Kobięce palce zacisnęły się na jego ramionach. Dalsza dyskusja byłaby stratą czasu. — Carl poszedł do Ssącego Dołu, prawda?

— Ja... nie wiem.

— Poszedł. Wiesz o tym i my także wiemy.

— Poszukamy go tam w każdym razie — starał się mówić niedbale, ale nie zdołał ukryć napięcia i strachu w głosie. — Weźmiemy subaru. Zyskamy na czasie, bo większość drogi do Lady Walk przejedziemy. Chodźmy.

Kilka minut później wycofał swój samochód na drogę. Pamela usiadła obok niego, Samantha z tyłu, wychylając się między dwoma przednimi siedzeniami. „Boże, mam nadzieję, że się mylę” — pomyślał. Próbował zastanowić się gdzie jeszcze mógł pójść Carl, ale do chwili, kiedy skręcili z szosy na ścieżkę prowadzącą do Lady Walk, nic nie przyszło mu do głowy.

Zwolnił na wyboistej nawierzchni. Najchętniej przycisnąłby gaz do dechy, ale powstrzymał się ze względu na dziewczyny; były już dość przestraszone.

Zatrzymał wóz na środku ścieżki. Wysiedli, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Potem, usłyszeli dalekie odgłosy muzyki unoszące się w nieruchomym porannym powietrzu, otaczając żwirownię potęgowały dźwięk, upodabniając go do dźwięków harfy, rozbrzmiewających w olbrzymiej, pustej katedrze.

— Co... to jest? — westchnęła Pamela, chwytając Latimera tak mocno, że jej paznokcie wbiły się w jego ramię.

Nie odpowiedział, dudnienie w jego głowie zdawało się nasilać z każdą chwilą, aż krzywił się z bólu. Zastanawiał się, czy nie leży przypadkiem jeszcze w łóżku i nie jest to dalszy ciąg niespokojnych, porannych snów. Jednak była to rzeczywistość; dźwięki były znajome, próbował je umiejscowić.

— To... gitara! — Samantha zamknęła oczy. Znaczenie tego, co powiedziała nie dotarło do niej, w przeciwnym razie zemdlałaby. Wczorajsze wydarzenia zupełnie ją wyczerpały.

Latimer ruszył z wysiłkiem, całe ciało miał jak skamieniałe, kończyny nie słuchały poleceń, które wydawał im mózg.

— Dalej. — Ruszył szybkim krokiem ciągnąc Pamelę. Samantha podążała tuż za nimi.

Wspinali się po stromym zboczu, klnąc, kiedy, stopy zapadały się w miękki grunt.

Potem usłyszeli głos, miękki, rytmiczny, przychodzący z oddali tak wyraźnie, jakby Carl Wickers używał wzmacniacza występując na koncercie pod gołym niebem:

*„Zabierz mnie do domu głęboka wodo...
Nigdy więcej nie będę wędrował...”*

Krótką pauza, gitara dźwięczała wolno, żałobnie.

— To on. — Samantha przesunęła się obok nich, na czworakach, jak małpa, dotarła na szczyt, obsypując ich fontanną piasku. — Jest tam!

Wybuchnęła szlochem, uklękła, jakby czekając, aż ją podniosą, a może bała się iść dalej.

*„Zabierz mnie z powrotem głęboka wodo,
Do tych których zostawiłem w domu”.*

Zobaczyli Carla Wickersa na dole, sztywno wyprostowanego naprzeciw złowrogiej, ciemnej tafli Ssącego Dołu. Ubrany był w westernowy strój, stetson ześliznął mu się na plecy, białe bryczesy z kozłowej skóry powalane były błotem, głowę zadarł w górę, wpatrując się uporczywie w bladobłękitne poranne niebo.

*„Zabierz mnie z powrotem głęboka wodo.
Nigdy więcej nie będę błdził...”*

Carl! — wrzasnęła Samantha. — Carl, słyszysz mnie?

Było dość oczywiste, że Carl nie mógł ich słyszeć, że był całkiem nieświadom ich obecności. Chłód przeszył Latimera. Teraz wszyscy troje znajdowali się na zboczu schodzącym w dół ku mrocznej tafli. Samantha ciągle biegła na czele.

Dotarła do śpiewaka, stanęła przed nim, odskoczyła z okrzykiem przerażenia. Jego niebieskie oczy napotkały jej wzrok, ale nie widział jej. Otworzył usta.

— Zabierz mnie do domu głęboka wodo — zaśpiewał.

Chris Latimer odepchnął Samanthę, zobaczył twarz Carla. Wyrwał mu gitarę z ręki. Nastąpiła cisza, brzemienista napięciem, dwie — trzy sekundy w bezruchu, wszystko zamarło.

— Nigdy więcej nie będę się błąkał... .

— Co się stało, co z nim? — histerycznie krzyknęła Samantha. — Na litość Boską, powiedz mi!

Latimer nie odpowiedział, wiedząc dobrze, że przyjaciel zapadł w rodzaj transu, kompletnie nie uświadamia sobie ich obecności. Zamachnął się i uderzył tamtego w twarz.

Carl Wickers zachwiał się, potknął i byłby upadł, gdyby Latimer nie chwycił go za koszulę.

— Carl, to my. Chris, Samantha, Pamela. Słyszysz mnie?

— Chris... Samantha... Pamela... — Imiona wymawiane z bezsensowną monotonią, oczy zaszkłone, ale przytomniejące z wolna. — Chris... Samantha... Pamela?

— To my. — Latimer opanował chęć potrząśnięcia nim. Trans został przerwany.

— Carl, dlaczego tu przyszedłeś? — Samantha przepchnęła się bliżej do przyjaciela, ujęła go za ramię. — Dlaczego tutaj?

— Oni mnie chcieli. — Oczy przesuwają się po nieruchomej gładkiej powierzchni Ssącego Dołu.

— Oni? Co za oni?

— Oni chcieli mojej muzyki. — Jego głos zniżył się do szeptu. — Słuchali, kiedy... kiedy mi przerwaliście.

Odwrócili głowy podążając za jego spojrzeniem, patrzyli na taflę wody. Przez krótką chwilę wydawało się, że jej powierzchnia marszczy się, jakby coś skrywającego się tuż pod powierzchnią zanurkowało z powrotem w głąbie.

Potem wszystko znowu znieruchomiało. Może był to tylko błądzący promyk słońca, albo złudzenie optyczne.

— Gdzie... gdzie jestem? — Carl wyprostował się, potrząsnął głową i przeciągnął ręką po oczach, dotknąwszy delikatnie śladu po uderzeniu. — Co robię... tutaj?

— Spałeś z otwartymi oczami — rzucił Latimer, zanim któraś z dziewcząt zdołała się odezwać. — Nic złego. Boże, mam nadzieje, że nic złego. — Chodź, wracamy do samochodu. Za dziesięć minut będziemy na śniadaniu.

Siedzieli w czwórce przy kuchennym stole; jedli tosty i starali się zachowywać normalnie. Musieli spojrzeć w twarz prawdzie.

— Nie pamiętam nic, nawet wstania z łóżka. — Carl Wickers oparł się na krzesło, oczy mu się zamykały, powieki miał ciężkie z niewyspania. — Nic, aż do chwili, kiedy mnie uderzyłeś. Teraz straszliwie boli mnie głowa. Chryste, mam nadzieję, że to nie migrena. O dziewiątej wieczorem mam występ.

— Myślę, że wszystkim nam przyda się trochę snu. — Latimer wstał, odsunął krzesło, skinął do Samanthy. — Nie spuszcza go z oka. — Odpowiedziała słabym uśmiechem.

Wspinanie się po schodach było tak samo wielkim wysiłkiem, jak pokonanie piaszczystego wzgórza, pomyślał Chris. Sen mógł mu pomóc, ale z drugiej strony dzienna drzemka często pogłębia ból głowy. Teraz nie mógł wymyślić nic innego.

Wyciągnął się na łóżku, zamknął oczy żałując, że nie potrafi wyczarować skądś ciemności. Nawet światło sączące się przez zasłony raziło oczy. Jeśli Carl ma śpiewać dziś wieczorem muszę mu towarzyszyć — myślał. Skrzywił się wspominając tamten wieczór, twarze motocyklistów pogrążonych w transie, zupełnie jak Carl Wickers, kiedy śpiewał przy Ssącym Dole. Okropnie wyglądał nawet

w blasku letniego poranka. Kilka minut później kolejne ciało gniłoby w czarnych wodach. Wstrząsnął się na tę myśl. Nagle, usłyszał trzask klamki. Otworzył oczy, skrzywił się i na chwilę zapomniał o bólu na widok stojącej w drzwiach Pameli. Poważna, prawie pokorna, ciągle trzymała klamkę, jakby chciała wycofać się z godnością, póki jeszcze był czas.

Uśmiechnął się, przesunął na łóżku robiąc jej miejsce. Obróciła się zgrabnie i położyła obok niego. Nawet Ssący Dół miał swe zalety. Gdyby nie ostatni epizod, Pamela nie towarzyszyłaby mu teraz.

* * *

Kiedy Claude Minworth skręcił na podjazd prowadzący do wielkiego wiktorianckiego domu zauważył, że zasłony w sypialni są zaciągnięte. May była już w łóżku — nie zaskoczyło go to. W czasie napadów złego humoru, zamykała się na górze na całe godziny. Zastanawiał się jak spędzała czas — przewracając się z boku na bok masturbując się? Roześmiał się na tę myśl. Seks, w jakiegokolwiek postaci, nie należał do ulubionych rozrywek jego żony, przynajmniej nic mu o tym nie było wiadomo.

Wysiadł powoli z samochodu, zamknął delikatnie drzwi i podreptał wzdłuż bocznej ściany domu. Spojrzał w okno, by upewnić się, czy nie ma jej w salonie. Nie było. Odetchnął z ulgą i pospieszył do drewnutni.

Minęło kilka minut zanim znalazł siekiere. W końcu, dostrzegł ją pod zwojem wystrzępionych rogoży, które May wyrzuciła przeszło rok temu. Przeszył go dreszcz. Oddychał szybko. Nie mógł czekać.

Opanował się z wysiłkiem. Pomyślał, że jeśli nie zdoła zabić May dziś w nocy lub jutro rano, nie będzie to miało większego znaczenia, bo i tak będzie musiał czekać na przybycie Graftona. Oczekiwanie jest najgorszą rzeczą — sam w domu ze zmasakrowanym trupem. Próbował usprawiedliwiać siebie. Nienawidził swego małżeństwa i czekał na ten moment, żeby skończyć z tym wszystkim.

Obejrzał siekiere. Zardzewiałe ostrze nie wyglądało na dość mocne, by rozłupać kłoc drewna. Ale musiało rozbić tylko kruchą czaszkę tak, by trysnęły mózg i krew. Jeden cios. Może dwa lub trzy dla większej pewności. Krew pulsowała mu w żyłach, szumiała w uszach. Przesunął palcami po ostrzu, otarł je z pajęczyn i kurzu kawałkiem brudnej szmaty, używanej do czyszczenia kosiarki do trawy.

Schował siekiere pod marynarkę, chyłkiem wymknął się z szopy. Podskoczył, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim. Do diabła, co za nieostrożność. Zajrzał znowu w okno — nie było śladu May.

Wszedł tylnymi drzwiami, w kuchni przystanął nad słuchując. Ciszę przerywało słabe tykanie zegara. Przekradł się do hallu, odczekał znowu, słysząc tylko bicie własnego serca. Mógłby napawać się każdą sekundą tej chwili, szkoda, że skończy się to tak szybko.

W połowie drogi po schodach, jego myśli wróciły do spotkanej dziewczyny. Zobaczył ją tak wyraźnie, jak wtedy, może nawet wyraźniej. Miał więcej czasu, by przyjrzeć się jej dokładnie, zobaczyć wszystko, co wcześniej przeoczył.

Nagle poczuł erekcję. Spojrzał w dół, zobaczył wybrzuszenie w spodniach. Od dawna już mu nie stawał. Żałował, że nie spytał dziewczyny, jak ma na imię.

Chciał uwolnić się od May, wrócić do Ssącego Dołu i spotkać się z dziewczyną. Planował, że wyjadą gdzieś razem, i że nie będzie to platoniczna przyjaźń.

Trzymał siekiere w obu rękach, zataczał nią krótkie koła, uśmiechając się. Nagle poczuł moc, moc rozdzielania życia i śmierci. Jak Bóg. To było straszliwe uczucie i zastanawiał się, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej.

Wyobraził ją sobie teraz nagą. Jęknął cicho, spuszczaając rękę do wybruszenia nad rozporkiem. Zaśmiał się cicho, rozpiął zamek, poczuł powiew zimnego powietrza na gorącym ciele, kiedy członek wyskoczył na wolność. Chciał, żeby May zobaczyła go teraz, och Boże, oddałby wszystko, by ujrzeć wyraz jej twarzy. „To nie dla ciebie May, to dla małej, kochanej dziewczynki, którą spotkałem w lesie i nie zamierzam pozwolić ci go nawet dotknąć, nigdy więcej. Zabiję cię bo nie mogę dłużej słuchać twojego jęczenia”.

Stał na półpiętrze nasłuchując. Drzwi sypialni były zamknięte. Przyłożył ucho. Huk w uszach był tak głośny, że nie słyszał oddechu May, nie wiedział czy śpi, czy czuwa.

Wilgotnymi palcami chwycił klamkę, nacisnął ją wolno. Kolanem pchnął drzwi, otworzył je na kilka cali, by zajrzeć do wnętrza. Była w łóżku. Leżała na białej kołdrze, zwrócona twarzą ku niemu, ubrana tylko w biustonosz i majtki, tak że prawie nie odróżniała się od pościeli. Oczy miała zamknięte.

Podniecenie wzrosło. Trzymając siekiere w lewej ręce i pocierając się delikatnie prawą dłonią, zbliżył się do niej i... był to jeden z niewielu momentów w ciągu ostatnich lat, kiedy mógłby ją przelecieć z prawdziwą satysfakcją.

Pomyślał, że pozbywszy się May będzie mógł kochać się z tą dziewczyną przez resztę życia. Zamknął oczy, przełknął ślinę.

Kiedy je otworzył, May wytrzeszczała na niego oczy, jej błękitne źrenice rozszerzyły się z przerażenia i odrazy.

— Claude, oszalałeś? Co ci przyszło do głowy, co tu robisz? Po co ci siekiera?

Oblał się zimnym potem. Z miną winowajcy zdjął palce z pulsującego członka, nieomal wybiegł z pokoju.

— Ty plugawa bestio! — krzyknęła. — Jak śmiałeś! Robi mi się niedobrze. Jesteś obrzydliwy!

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu: „Dalej, zabij ją teraz, zanim będzie za późno, ty głupcze!”

Ścisnął siekiere, podniósł i zakołysał. W tym momencie May zrozumiała, że jej mąż był maniakiem seksualnym i jej własne życie znalazło się w niebezpie-

czeństwie. W panice, chwyciła jakiś przedmiot z nocnego stolika i cisnęła nim z całej siły, nie wiedząc nawet co to jest.

Małe ręczne lustro trafiło Monwortha prosto w twarz. Szkło rozprysło się, rozcinając mu głęboko policzek. Odskoczył z okrzykiem bólu, niemal upuszczając siekiere. Przerazenie sparaliżowało May. Mogła wypchnąć go na schody. Zamiast tego wpatrywała się z przerażeniem w jego zakrwawioną twarz.

„Dalej, zabij ją, albo stracisz swoją szansę. Nie pozwól jej krzyczeć!”

Claude podszedł do żony i uderzył ją z całej siły trzymaną oburącz siekiere. Usłyszał chrzęst miażdżonych kości, ciało May upadło na łóżko. Krew utworzyła na kołdrze makabryczne wzory. Ostrze wbiło się głęboko, musiał je uwolnić, jej palce słabo zacisnęły się na metalu w daremnym wysiłku odebrania mu broni.

Próbowała krzyknąć, ale przez otwarte usta chlustał strumień krwi z ohydny, bulgoczącym dźwiękiem, jakby płukała gardło. Cofnął siekiere i uderzył znowu. Cios, który miał roztrzaskać jej czaszkę trafił w ramię, rozłupując kość. Szarpnął, nie mógł uwolnić siekiery, użył obu rąk zapierając się stopą o jej drgające ciało. Tryskająca krew spryskała mu ubranie.

Siekiera wyskoczyła z rany, zatoczył się przez pokój, wpadł na kredens, osunął się na podłogę; spojrzał na nią. Ciało drgało, nie mogła krzyczeć.

Pośliznął się na krwi, która nie zdążyła wsiąknąć w dywan, wstał i ponownie uniósł siekiere.

Dyszając, stanął nad nią, spojrzał w dół i zdziwił się, ujrawszy, że erekcja nie minęła. Zabijanie było przyjemne w jakiś dziwny sposób, którego nie mógł zrozumieć. Było jak orgazm, dzięki szaleństwu zmysłów.

Stanął na szeroko rozstawionych nogach i wznosił siekiere dokładnie nad jej głowę. Narzędzie wydało mu się nagle dużo cięższe.

Głowa May kołysała się teraz na boki, bulgoczący oddech przechodził w chrapliwe rżenie. Uderzył, wkładając w cios wszystkie siły. Czaszka rozpadła się na dwie połowy. Mieszanina szkarłatu i mózgu. Utworzyła się kolorowa pięknie zharmonizowana mozaika.

Claude Minworth opadł całym ciężarem ciała na zmasakrowane zwłoki. Zaśmiał się ostro. To było jak pieprzenie jej, tylko tysiące razy bardziej satysfakcjonujące, bo pierwszy raz właśnie on był dominującą stroną. I potem jego emocje eksplodowały przygotowując go o konwulsje. Ścisnął martwe ciało z taką siłą, że jego paznokcie wyżłobiły świeże rany. Szlochał i krzyczał w uniesieniu.

— Stało się, moje kochanie. Zrobiłem to, czego ode mnie chciałaś i teraz jestem twój na zawsze.

Nie wiedział, jak długo tam leżał. Godzinę, dwie, trzy. Było zupełnie ciemno, kiedy się poruszył, musiał wysilać każdy muskuł, by podnieść się z zakrwawionego łóżka. Stał próbując zebrać myśli. Zastanawiał się czy to noc, czy dzień. Po chwili ochłonął i dotarło do niego, że miał jeszcze długie jak wieczność dwadzie-

ścia cztery godziny, zanim dołączy do swej ukochanej przy Ssącym Dole. Myśl, że będzie musiał zabić znowu, ożywiła go.

Podniósł siekierę. Służyła mu dobrze i modlił się, by było tak nadal. Następnym razem musi być dokładniejszy, pierwsze uderzenie musi być ostatnim. Nie będzie to taka przyjemność, ale jest to konieczne, bo Grafton to o wiele bardziej niebezpieczna ofiara.

Minworth wszedł do kuchni, zdarł zakrwawioną odzież i rzucił ją na podłogę. Pobiegł do łazienki, odkręcił oba kurki i przyglądał się, jak woda rozpryskując się, napełnia wannę. Lubił wodę, przypominała mu Ssący Dół i dziewczynę. Tak żałował, że nie zna jej imienia. Zastanowił się dokąd wyjadą, ale nie miało to znaczenia, dopóki będą razem.

W końcu zakręcił kurki, zanurzył się w wodzie. Mógł zostać w wannie do jutra wieczór, gdyby zechciał. Ogarnęło go przyjemne uczucie, które wzrastało i stawało się coraz silniejsze. Uśmiechnął się do siebie i pozwolił palcom robić to, co chciały. Przypomniał sobie euforię zabijania, przebiegł myślą każdy szczegół, smakował wszystko od nowa. I słyszał gdzieś znowu śmiech dziewczyny.

* * *

Ralph Grafton obudził się cały zdrtwiał, w ustach miał kwaśny smak, głowa bolała go lekko. Wraz z nastaniem nowego dnia ogarnął go wstyd za siebie. Podłoga łazienki nie była najwygodniejszym miejscem do spędzania nocnych godzin.

Wszystkie strachy były tylko wytworem jego własnego umysłu, brał je za dziwną rzeczywistość, podniecony wydarzeniami poprzedniego dnia. Tymczasem wszystko dawało się logicznie wyjaśnić. Przypuszczał, że Ssący Dół wystąpił z brzegów w wyniku zapadnięcia się otaczającego terenu, a jeśli chodzi o hałasy w dużym domu, to każda stara posiadłość ma swe odgłosy, trzeszczące podłogi, stukające okna. Także szczury. To, że ich nie widział nie znaczyło wcale, że ich nie ma; były przebiegłe, trzymały się z dala.

Ralph Grafton zaczął się golić. Buczenie elektrycznej maszynki do golenia było znany mu dźwiękiem, mimo to, drżała mu ręka.

Zastanawiał się czy powinien już teraz wezwać Minwortha, nie zwlekając do wieczora. Główny planista jadł mu z ręki. „Wpadłeś w gówna po uszy, Minworth” — myślał.

Poczuł ulgę. Zagotował wodę, zaparzył kawę, czekając aż ostygnie, zjadł krakersa. Wyrzwał przez okno; zapowiadał się upalny dzień. Dziś w nocy pozwolił swoim nerwom rozszaleć się za mocno. Myślał o przeniesieniu się do hotelu, zanim Lynette nie zjawi się tutaj.

Z hallu dobiegało jednostajne buczenie; słuchawka ciągle była zdjeta z widełek. Podniósł ją, i wybrał numer 29. Kilka sekund później rozległ się monotony

dźwięk — sygnał, że połączenie nie może być zrealizowane. Spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Pomyślał, że coś jest nie w porządku z telefonem Lynette. Był to kolejny powód, by jechać do Minwortha natychmiast.

Pospiesznie wysączył kawę.

Coś było nie w porządku z frontowymi drzwiami. Szarpał klamkę, zapierając się stopą o framugę. Pocił się, przeklinał. Drewno musiało wypaczyć się po burzy. — Gdzie do diabła, podziali się robotnicy? — krzyknął.

Tylne drzwi otworzyły się bez kłopotu. Wyszedł wprost w poranny blask słońca, rozejrzał się. Znowu poczuł, że ktoś go obserwuje.

Range rover stał na podjeździe. Wsiadł, przekręcił kluczyk.

Starter obrócił się leniwie i zajączał. Spróbował jeszcze raz. Krople potu pojawiły się na czole Graftona, zaczęły spływać po twarzy. — Zapal, ty sukinsynu, zapal! — wyszeptał wściekle.

W końcu silnik zamarł zupełnie. Grafton siedział ściskając bezradnie kierownicę. Coś próbowało schwytać go tutaj w zasadzkę, uczynić go więźniem we własnym domu, trzymać go tu, dopóki znowu nie przyjdzie noc.

Otworzył drzwi wozu i wysiadł. Coś zmusiło go do spędzenia pełnej strachu nocy, na podłodze w zamkniętej łazience. Teraz drzwi frontowe były zamknięte, rangę rover unieruchomiony. Ale Ralph Grafton ciągle jeszcze był żywy. Pomyślał, by wrócić i zadzwonić po pomoc drogową. Ale nie chciał wchodzić znowu do domu. Wolał zostać na zewnątrz.

Ruszył szybkim, zdecydowanym krokiem, próbując nie oglądać się za siebie. Uspokoił się, oddalwszy się od sosen i rododendronów, które coś mogły ukrywać... Przyglądał się panującemu dookoła spustoszeniu. Robił tym wieśniakom grzeczność, chcąc budować na owym terenie. W przeciwnym bowiem razie, zostałoby tu pustkowie. Ale oni nie patrzyli na to w ten sposób. „Chcemy, by powróciły nasze lasy” — mówili. Chcieli przemienić natychmiast tę pustynię w plantację trzydziestostopowych sosen, poprzecinaną trawiastymi alejami. Zmusili go do walki.

Po dwudziestominutowym marszu koszula lepiała mu się do ciała. Widział już miasteczko, mały malowniczy kościółek, wznoszący się dokładnie nad dawną granicą.

Grafton przeciął cmentarz, idąc zwirowaną ścieżką, która wychodziła na prywatną drogę. Domy ciągnęły się z jednej strony, z drugiej był sad i plebania. Kilka set jardów dalej doszedł do głównej drogi i skręcił w lewo, do centrum osady.

Hopwas było wyludnione jakby wszyscy mieszkańcy spakowali się i wyjechali z powodu Ssącego Dołu.

Grafton oblizwał wargi, ciągle mając wrażenie, że ktoś go obserwuje. Wydało mu się, że puste oczy okien patrzyły na niego. Wielki wiktoriański dom Minwortha spoglądał groźnie i odpychająco swymi łukowatymi oknami górnego piętra. Wyglądał jakby skrywał jakieś ciemne sekrety.

Ralph Grafton pchnął otwartą furtkę, zobaczył, że samochód stoi na podjeździe. Ktoś musiał być w domu.

Czuł, że coś jest nie w porządku.

Skierował się do drzwi frontowych, nagle zmienił zdanie i ruszył kamienną ścieżką wokół domu. Szedł ukradkiem, rozglądając się wokół niespokojnie.

Chciał już zapukać do tylnych drzwi, ale w ostatniej chwili jego palce spoczęły na klamce. Nacisnął ją wolno, uchylił drzwi. Nadśłuchiwał. Gdzieś tykał elektryczny zegar. Było cicho.

Przekroczył próg niczym włamywacz. Skradał się tak samo, jak to robił niedawno we własnym domu. Opanował się z wysiłkiem, wszedł przez sąsiadujące drzwi do hallu. Nikt mu nie otwierał, więc wszedł do środka rzucić okiem. Cholera, myślał, nie musi się usprawiedliwiać, to Minworth będzie się płaszczyl.

Nagle Grafton zmarszczył nos, zwęszył nieprzyjemny, wstrętny odór, smród, który wydał mu się znajomy.

Potem rozpoznał go i oblał się zimnym potem. Była to woń śmierci.

* * *

Chris Latimer przebudził się. Nie otworzył od razu oczu, próbując zatrzymać uciekający sen. Przypomniał sobie sceny z okresu dojrzewania, nagłe wzwody, napięcie będące poza jego kontrolą.

A potem zobaczył Pamelę. Klęczała, całkiem naga, jej drobne, doskonałe, proporcjonalne ciało lekko drżało, usta rozchyłał zmysłowy uśmiech, który wzburzył w nim krew. Zarumieniona twarz wyrażała pożądanie, malował się na niej grymas zwierzęcej rui. Jej palce szarpnęły jego ubranie, nie zwracała uwagi na to, że odrywa mu guziki. Była to zupełnie inna Pamela niż ta, którą znał. Zastanowiło go, co spowodowało tak zaskakującą przemianę?

Choć w v gruncie rzeczy nie obchodziło go, dlaczego to robiła, tak długo, i tak szaleńczo. Gorączkowo szarpała jego dżinsy, uniósł biodra. Pomagała mu niecierpliwie zdjąć koszulę. Potem upadła na niego, przyciskając usta do jego twardego ciała, jej język znajdował to, czego szukał. Wydała westchnienie ulgi. Latimer naprężył całe ciało, prawie krzyknął głośno, kiedy jej ostre zęby gryzły i szarpały jego męskość. Zwijał się z bólu. Kilka godzin wcześniej byli tylko dobrymi przyjaciółmi, teraz stali się namiętными kochankami, a on był niewolnikiem jej pragnień.

Zsunęła się na niego, podniosła wzrok. Uśmiechnęła się ze zmysłowym pożądaniem. Ścisnęła i pieściła go, aż w końcu podniosła się nad nim okraciem, śmiejąc się głośno. Poczuł gorącą wilgoć i wiedział, że się połączyli. Jechała na nim, niczym dżokej na koniu. Pochylała się w przód tak, że jej twarde piersi dotykały go, potem odchylała się w tył, właśnie wtedy, gdy wyciągał ręce. Od szybkiego

cwału do galopu, jeździec i wierzchowiec spływali potem, bez tchu gnając przed siebie. Szybciej, coraz szybciej.

Chris czuł, że za chwilę osiągnie orgazm, miotał się dziko, jakby próbował rzucić jadącą na nim dziewczynę, która zacisnęła palce, raniąc jego ciało ostrymi paznokciami. Jej twarz wyrażała czystą żądzę. Eksploдовали jednocześnie.

Pamela zwolniła i wtedy pociągnął ją na siebie, przycisnął jej ciało. Przez moment poczuł ukłucie tęsknoty, pamięć przyniosła mu obraz innego ciała, który rozwiązał się natychmiast. Przypomniął sobie Jenny Lawson, której opętanie i dzika namiętność była powodem ich rozstania i jej późniejszej śmierci w otchłani Ssącego Dołu. Strach ogarnął Latimera, zeszywniał i chciał zepchnąć z siebie Pamelę.

Szłochąła głośno z twarzą przyciśniętą do jego piersi tak, że nie mógł jej zobaczyć. Byli dwojgiem zmęczonych kochanków wyczerpanych wewnętrznym ogniem, który w nich płonął jeszcze kilka chwil wcześniej.

Może spali, może drzemali. Chris nie był pewien, wiedział tylko, że kiedy znowu otworzył oczy, słońce było wyżej. Ból głowy minął. Pamela leżała obok niego i nie spała.

— Przykro mi — wyszeptwała. — Och Boże, przykro mi, Chris. Przebaczysz mi?

— Co?

— To, co zrobiłam. Och Chris, nie wiem, co mnie napadło. Jak mam ci spojrzeć w twarz?

— Musisz podnieść głowę.

Zobaczył, że ma zaczerwienione oczy, równymi, białymi zębami przygryzła drżącą dolną wargę, zaczerwieniła się bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Nie jestem lepsza niż tania dziwka — powiedziała. — Słowo honoru, że nigdy nie zrobiłam nic takiego.

— Myślałem, że byłaś mężatką.

— Tak, ale Dave i ja nigdy nie robiliśmy... takich rzeczy!

— A gdybyś je robiła, byłabyś nadal prawdopodobnie mężatką. — Uśmiechnął się, ścisnął ją za rękę. — Ale cieszę się, że nie jesteś. — Jego wargi odnalazły jej usta.

— Przeszłam przez dziwne rzeczy — powiedziała. — Udałam się do swego pokoju, kiedy ogarnęło mnie to pragnienie. Od miesięcy nie myślałam o seksie, ale nagle, nie mogłam obejść się bez tego ani chwili dłużej. Przyszłam do ciebie tylko po to — zająknęła się i dodała — tak... niezupełnie tylko po to.

Roześmiał się.

— Przełamałaś lody i może nie będziemy już spali w oddzielnych pokojach.

Przytuliła się.

— Mimo wszystko, Chris, przerażający był sposób, w jaki to do mnie przyszło. Bez ostrzeżenia.

Wiedziała, że... że muszę wyjść i znaleźć mężczyznę, jakiegokolwiek mężczyznę, gdyby nie było cię tutaj! Cieszę się, że byłeś.

Zamknął oczy, by nie dostrzegła błysku strachu. Pamela będzie potrzebowała starannej opieki. Nie można spuścić jej z oka. Wiedział, że jak najszybciej musi znaleźć jakiś sposób, by zniszczyć zło, które wyszło z Ssącego Dołu, zanim będzie za późno.

— Lepiej ruszmy się. — Pamela uwolniła się z jego objęć. — Minęło już południe i słyszę, że tamci są już na nogach.

Samantha w kuchni pracownicy przygotowywała sałatę. Carl sprawdzał listę piosenek, przygotowując się do wieczornego koncertu. Oboje wyglądali świeżo, jakby zapomnieli o wydarzeniach sprzed kilku godzin.

— Będą tańce dziś w nocy. — Carl oparł się na krzesło. — Koncerty wyczerpują zarówno wykonawcę, jak i publiczność, kiedy nie pozwala się robić czegoś, czego domaga się ciało.

— Pójdziemy wszyscy — powiedział Latimer. — Od tej chwili będziemy nierozłączni.

— Myślę, że zbyt się przejąłeś dzisiaj rano — odparł śpiewak. — Sądzę, że był to spóźniony szok po tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Ja wyrzuciłem to z głowy. Wszystko będzie w porządku. W każdym razie nie stało się nic złego.

Latimer, patrząc na niego, zauważył w jego oczach przelotny błysk, spojrzenie przypominające wzrok zwierzęcia w zoo; nie obłąkowanego, a tylko uwięzionego.

— Po obiedzie zadzwonię do Graftona — zapowiedział Chris. — Pamela pójdzie ze mną. Was też zapraszam.

— Carl nie powinien wracać... tam! — odpowiedziała Samantha.

— Nie zbliżymy się do Dołu. — Chris usiadł na krzesło. — Możemy dostać się do dużego domu od strony cmentarza. To najwyżej dziesięciominutowy spacer.

— Po co chcesz się widzieć z Graftonem? — spytała Pamela.

— Bo on jest pośrednio odpowiedzialny za wszystko, co zdarzyło się w ciągu kilku minionych dni — odparł Latimer. — Może przez niego osiągniemy jakoś złych sił.

— Bzdury. — Wickers pchnął ku niemu talerz sałaty. — Wy dwoje możecie iść, jeśli chcecie, ale Sam i ja zostaniemy tutaj. Muszę przećwiczyć kilka piosenek na wieczór.

Latimer spojrział na Samanthę, ale spuściła wzrok. Tym razem nie robiła żadnych niemych obietnic. Podobnie jak Carl, sceptycznie odnosiła się do legendy. Mieli wszyscy złe doświadczenia i to wpływało na ich nerwy. Nic więcej.

* * *

Pamela ujęła Latimera pod ramię, kiedy szli przez cmentarz. Mimo słonecznej pogody to miejsce sprawiało zawsze jednakowo przygnębiające wrażenie. Prędzej czy później, wszyscy tu się znajdą i tak będzie lepiej. Zakątek tak piękny, jak Las Hopwas kiedyś zostanie pozostawiony w spokoju.

Pamela była znowu spięta, niespokojna. Uznała, że głupotą było wracać tutaj po wszystkim, co się wydarzyło. Ale cieszyła się, że Chris nie był zły za to, co zrobiła. Pominąwszy sposób, w jaki to na nią przyszło, było to najbardziej przejmujące doświadczenie w jej życiu i na samo wspomnienie, jej ciało wibrowało jak porzucone skrzypce, które podniósł niespodziewanie doskonały muzyk. Tylko raz w życiu miała doświadczenie trochę do tego podobne. Miał wtedy czternaście lat i rodziców, którzy ostrzegali ją, że stanie się coś strasznego, gdy „dotknie” siebie. Którejś nocy pokusa i ciekawość zwyciężyły. Błądzące nerwowo palce wywołały elektryzujące napięcie, zmusiły ją do oszalałych konwulsji w łóżku. A potem poczucie winy omal nie przyprawiło ją o utratę zmysłów. Tak jak dzisiaj. Tylko, że jej nierozważni rodzice byli w błędzie bowiem w tym, co robiła nie było nic złego, po prostu poddała się naturalnym prawom wieku dojrzewania. I nic złego nie wydarzyło się między nią, a Chrisem Latimerem. Przynajmniej nie wydawało się jej, by on tak myślał. A może mówił tak, aby ją uspokoić.

Przeszli przez płot z cienkiego drutu, pokonali szeroki cmentarny trawnik, weszli piaszczystą ścieżką, omijając ziejące dziury po wyrwanych z korzeniami drzewach.

Teren stawał się coraz bardziej stromy, musieli zwolnić.

— Dom stoi wśród tej kępy rododendronów i sosen — wskazał głową Latimer.
— Jest tam utwardzona droga, rozwidlająca się przy Lady Walk.

— Więc naruszamy prawo.

— W zasadzie tak — odparł. — Tak samo, jak dzisiejszego ranka. — Pożałował swoich słów, uświadomiwszy sobie napięcie Pameli.

Ruszyli ścieżką wśród rododendronów. Zwisające konary wydawały się po nich sięgać, smagając ich, kiedy torowali sobie przez nie drogę. Gdzieś blisko rozlegało się wołanie sroki. Kręta ścieżka pogrążona była w cieniu, pozbawiona trawy lub paproci tam, gdzie promienie słońca nigdy nie docierały. Był to świat wiecznej ciemności.

Latimer usłyszał, że Pamela odetchnęła z ulgą, kiedy wynurzyli się znowu w słoneczny blask, na żwirowany podjazd prowadzący przez zdziczały ogród, przed front wielkiego domu.

— Dobrze, że Grafton jest w domu. — Chris wskazał na rangę rovera, zauważwszy jednocześnie, że kuchenne drzwi są otwarte. — Sądzę, że grzeczniej będzie wejść od frontu.”

Zobaczył zardzewiały przycisk dzwonka w kamiennej ścianie. Nacisnął — nie działał. Załomotał pięścią w drzwi; głuchy dźwięk odbił się echem wewnątrz domu.

Czekali nasłuchując. Gdzieś z góry dobiegał dziwny dźwięk. Latimer jeszcze raz zabębnił w drzwi. Dziwaczny odgłos nagle ucichł.

— Grafton może być w łóżku, albo w wannie — poczuł, że musi coś powiedzieć. — Przejdziemy się do tylnych drzwi. To duży dom i jeśli jest na drugim końcu, może nie słyszeć ludzi przy drzwiach.

Tylne drzwi były szeroko otwarte. Chris zapukał znowu. Grafton nie pojechał nigdzie samochodem. Ze zwirowni można było łatwo się dostać do osady na piechotę.

— Może powinniśmy pójść na górę do... — Umilkł, usłyszawszy dźwięk pojazdu zbliżającego się drogą do Lady Walk. — Ktoś jedzie.

Stali, czując się winnymi, że weszli bezprawnie na prywatny teren. Dla Latimera było to szczególnie upokarzające, jako że kiedyś był właścicielem tego domu. Prawo mówiło, że ten, kto narusza teren prywatny i odmawia opuszczenia go, może zostać usunięty przy użyciu „nie większej siły, niż jest to konieczne”. Innymi słowy, można interpretować ten przepis dowolnie.

Samochód jechał szybko, podskakując na wybojach, żwir bębnił o podwozie. Zwolnił, skręcając w podjazd. Zatrzymał się. Silnik zgasł. Przez kilka sekund panowała cisza, a potem trzasnęły drzwi.

Latimer ruszył z powrotem do głównego wejścia, mając przecucie, że to nie Grafton. W powietrzu wisiała chmura kurzu, a poprzez nią dostrzegł błękitnego mini i wysoką dziewczynę w niebieskich džinsach i swetrze, kroczącą ku frontowym drzwiom.

— Halo — powiedział.

Zabrzmiało to banalnie. Zatrzymała się. Słońce zamigotało w długich włosach koloru miedzi, oblało piegowatą twarz.

— Kim pan jest? — jej głos zabrzmiał rozkazująco. — Co pan tu robi? — Niebieskie oczy zwięziły się wrogo.

— Ja... — Latimer przełknął ślinę. — Ja... szukamy pana Graftona, ale nie ma go chyba w domu.

— Co robiliście z tyłu?

— Pukaliśmy do tamtych drzwi.

Arogancki ton nowo przybyłej, zmuszał ich do automatycznego niemal odpowiadania na pytania.

— Ja także chcę się z nim zobaczyć. — Ze złością odrzuciła do tyłu włosy, przeszła obok nich, spróbowała otworzyć frontowe drzwi, załomotała w nie pięścią. Stali przyglądając się jej. Pozwolili jej przekonać się o osobiście, że nikt nie odpowiada. Znowu uderzyła w drzwi, odwróciła się z rozdrażnieniem.

— Tylne drzwi są otwarte — powiedział Latimer.

Usta jej drgnęły, ale nie powiedziała ani słowa.

Ruszyli za nią na tył domu. Kim ona była, u licha? — zastanawiali się.

Weszła do środka, ale Chris i Pamela pozostali na zewnątrz. Słyszeli jej pospieszne kroki na górę i w dół, otwierające się i zamykające drzwi. Wyszła na zewnątrz. Włosy miała rozczochrane, na twarzy zmartwiony, skruszony niemal wyraz, który mówił: mieliście rację, nie ma go tutaj.

— Kim jesteście? — spytała po chwili.

— Jestem Chris Latimer — skinął ręką ku swej towarzyszce. — A to jest Pamela. — Nie był to odpowiedni moment, by wspominać beczelnej nieznajomej, że kiedyś był właścicielem tych lasów.

— Jestem Lynette Grafton — wykrzywiła usta i natychmiast wrażenie arogancji ulotniło się. Oczy miała zamglone, walczyła, by powstrzymać łzy. — Ja... chcę spotkać się z mężem.

— Nie może być daleko — powiedział Latimer.

— Od kilku dni próbowałam się z nim skontaktować, ale telefon był albo ciągle zajęty, albo nie odpowiadał. Przyszło mi do głowy, że może z jakichś powodów zdjął słuchawkę z widełek. Potem przeczytałam w gazetach o... o wszystkich tych przerażających wydarzeniach.

— Jest gdzieś w pobliżu. — Chris Latimer uśmiechnął się uspokajająco. — Widzieliśmy go jeszcze wczoraj. Jego range rover tu stoi i jeśli nie ma go w domu, jest prawdopodobnie gdzieś na terenie żwirowni.

— Poszukam go — powiedziała z groźną determinacją.

— Pójdziemy z panią. — Objął jednym spojrzeniem jej drobną postać, poczuł, że Pamela ściska go za rękę. — Lepiej, żeby nie szła pani sama... mogłaby się pani zgubić w tej żwirowni.

Chris Latimer wskazywał drogę, dwie dziewczyny zamykały pochód. Nikt się nie odzywał, napięcie wróciło, a przybycie Lynette jeszcze bardziej skomplikowało wszystko. Mieli uczucie, że znowu zdarzy się coś okropnego. Może Graftona nie było w okolicy. Była niezliczona ilość miejsc, do których mógł się udać, nie używając swego range rovera.

— Co to za miejsce? — Lynette zatrzymała się, wskazała w dół, gdzie przekrzywiony płot z drutu kolczastego oddzielał taflę ciemnej wody od reszty terenu.

— To jest... — powinien był wybrać inną drogę — pomyślał — trzymać ją z dala od tego miejsca.

— To jest Ssący Dół.

Stała jak sparaliżowana, wytrzeszczając oczy, z zaciśniętymi wargami i pięściami. Ogarnęła ją groza i strach — ale także fascynacja. Widziała kilka fotografii w gazetach, ale równie dobrze mogłyby pochodzić z jakiegokolwiek innego miejsca.

— Chcę zejść tam w dół — powiedziała miękko Lynette Grafton.

— Innym razem. — Latimer poczuł, że Pamela mocniej ściska go za ramię. — Widać stąd, że twego męża tam nie ma. O ile nie został wessany w tę wstrętą głębię, skąd jego ciało nigdy nie zostanie wydobyte.

— Chcę obejrzeć to dla własnej przyjemności — stanowczo zażądała. — Poza tym, to moja własność.

— W porządku. Rzucimy szybko okiem. Uważaj jednak którędy idziesz, piach jest miękki i zdradliwy. Lawina mogłaby pogrzebać nas wszystkich.

Schodzili w milczeniu, ostrożnie wybierając drogę, ślizgając się, zapadając w piasku. W końcu wydostali się na twardy grunt. Lynette przyspieszyła kroku, wysforowała się naprzód, jakby coś ją ponaglało. Stała przed drutem, położyła na nim ręce, zapatrzyła się w wodę. Ani jednej zmarszczki, ani jednej iskierki słonecznego światła.

— Więc to jest to miejsce — westchnęła. — To jest Ssący Dół.

— Tylko głębokie, czarne bagno, to wszystko — skłamał Latimer.

— Coś w nim jest — zamruczała. — Ma swój własny charakter. Jak... człowiek! Można to wyczuć.

Chris Latimer poczuł ciarki na plecach. Nie należało dłużej zwlekać. Z tych głębi przychodziła śmierć. Zbyt wiele ostatnio doświadczył. Pamela nie powinna być tutaj, nikt z nich nie powinien.

— Chodźmy i poszukajmy twego męża — powiedział.

— Za minutę. — Rozpędziła dłonią chmurę muszek, które rozproszyły się, ale wróciły znowu. — Chcę przyjrzeć się dokładnie.

Spojrzał na nią z bliska. Skoncentrowała wzrok na powierzchni, jakby próbując dostrzec, co się pod nią kryje, każdy muskuł jej ciała zdawał się być mocno napięty.

— Mogłabym zostać tutaj na zawsze — jej głos był zupełnie bez wyrazu. — Tu jest tak... spokojnie.

— Lepiej chodźmy.

— Dobrze. — Odwróciła się niechętnie. — Sądzę, że lepiej będzie, jak znajdziemy Ralpa. Ale byłby to wielki wstyd, gdyby bagno zostało zasypane. To tylko lokalna plotka i kilka nieszczęśliwych wypadków wyrobiły mu złą sławę. Jest tak spokojne... Przyjdę tu niedługo.

Miał ochotę wrzasnąć na nią: „Na litość Boską, trzymaj się z dala. Nie zdajesz sobie sprawy, co to robi z ludźmi!” Ale wiedział, że jego ostrzeżenie nie zostanie wzięte pod uwagę. To było jej bagno i jeśli chciała tu wrócić, nikt nie mógł jej powstrzymać.

Wspięli się z powrotem na wzgórze, a potem na następne, z którego mogli zobaczyć część żwirowni. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Grafton z pewnością nie przebywał w okolicy.

— Może ktoś go podwiózł. — Starał się mówić przekonująco. — Albo prze-spacerował się do miasteczka.

— Ralph nigdzie nie chodzi. — W jej oczach znowu był strach. — Gdyby mógł wyjechać samochodem do klubu, zrobiłby to.

Chodzili bez celu wiedząc, że nie znajdują Graftona. Zatoczyli koło, dochodząc z powrotem do Lady Walk, potem wrócili tą samą drogą do dużego domu. Range rover sprawiał wrażenie porzuconego.

— Będę czekała w domu. — Lynette zatrzymała się przy tylnych drzwiach, nie zapraszając ich do środka. — Ralph na pewno niedługo wróci. Dziękuję wam za pomoc.

Potem zniknęła, pozostawiając ich przed drzwiami. Latimer odwrócił się i trzymając Pam za rękę, ruszył z powrotem ścieżką wśród rododendronów. Gałęzie zaczęły się za ubrania, kiedy torowali sobie drogę, jakby chciały ich zatrzymać.

— Nie podoba mi się to — szepnęła Pamela. — Zauważyłeś, jak dziwnie zachowywała się przy Ssącym Dołę? Jakby... przeszła jakąś wewnętrzną przemianę.

Przytaknął. — Widziałem. I to mnie przeraziło. Nie powinniśmy pozostawiać jej tam samej. Ale co jeszcze mogliśmy zrobić? Gdybyśmy zostali bez zaproszenia, mogłaby kazać nam się wynosić, czy nawet wezwać policję. Nie mamy żadnego wyboru, musimy zostawić ją samą.

— Mam okropne przeczucie, że wróci do Dołu — powiedziała Pamela. — Jakby nie mogła się doczekać. Odszukanie męża zeszło chyba na drugi plan.

— Ja także chciałem zamienić z nim słowo.

— Czy niczego nie można zrobić ze Ssącym Dołem?

— Myślę o tym. — Przyciągnął ją blisko do siebie, żałował, że nie mogli znaleźć się daleko od tego miejsca, które wiązało się w jego pamięci z tyloma przerażającymi- wspomnieniami. — Są tu miejsca podobne do Ssącego Dołu, pojawiające się od czasu do czasu nawiedzone domy i tak dalej. I co oni z tym robią? Dokonują egzorcyzmów i w większości przypadków kończy się to sukcesem.

— Myślisz... że można by wypędzić złe siły z Ssącego Dołu?

— Dlaczego nie? Warto spróbować. Jutro spróbuję skontaktować się z władzami kościelnymi, przedstawić im sprawę. Ale w tym czasie musimy mieć oko na Carla. Miał już dziś złe doświadczenia i nie jestem pewien, czy powinien wieczorem występować. Mamy takie same szanse skłonienia go, by odwołał występ, jak powstrzymania Lynette Grafton od powrotu do Ssącego Dołu.

— Może jej mąż szybko wróci. Może potrafi ją przypilnować.

— Może. — Chris Latimer z ulgą powitał widok kościoła. Zaczęła go jednak dręczyć myśl, że niewidzialne siły działały nawet w ciągu dnia. Obawiał się, że może być już za późno na odprawienie egzorcyzmów, skoro demony wyostały się na wolność.

* * *

Ralph Grafton poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, zapragnął nagle uciec z tego domu. W hallu unosił się zapach śmierci, jedyny w swoim rodzaju odór, którego nie sposób było zapomnieć.

Ale został, bo chciał zachować szacunek dla samego siebie, chciał zrobić coś, czym zrehabilitowałby się przed sobą za ostatnią noc. Zamykanie się w łazience było jawnym przejawem tchórzostwa.

Naszła go nagła, okropna myśl: „Może Minworth wpadł w panikę i popełnił samobójstwo? To oznaczałoby koniec wszelkich planów. Chciał rozejrzeć się, przekonać na własne oczy.

W połowie schodów zatrzymał się. Zastanawiał się, czy woń śmierci jest tak samo wytworem jego szalonej wyobraźni, jak stukanie i szuranie ostatniej nocy. Mimo wszystko, chciał to sprawdzić. Dla świętego spokoju. Minworth prawdopodobnie poszedł dzisiaj do biura, licząc, że Grafton zjawi się wieczorem.

Na podeście było kilka zamkniętych drzwi. Sprawdził wszystkie, zaczynając od lewej strony. Obliznął usta — na wargach wciąż czuł lepki smak.

Był przestraszony, a jedyny sposób, by się od tego uwolnić, to zajrzeć do każdego pokoju, wtedy będzie jasnym, że to tylko urojenia.

Najpierw wszedł do nieużywanej sypialni, cuchnącej naftaliną. Wciągnął głęboko w płuca ostry, kamforowy zapach. Ale tamta woń ciągle wisiała w powietrzu. Szedł dalej.

Pokój-szafa był wypełniony stęchłym powietrzem, bo nigdy go chyba nie wietrzono. Walizki i kartonowe pudła ustawiono porządnie jedno na drugim. May Minworth obsesyjnie dbała o porządek w mieszkaniu.

Grafton złapał za klamkę drzwi sypialni, gdy je otworzył prawie runął na dywan. Pokój wyglądał jak rzeźnia! Ściany i sufit obryzgane krwią, która zaczynała już krzepnąć, i zaskorupiać się. Jego wzrok padł na łóżko i Grafton zwymiotował gwałtownie, zgięty w pół, prawie mdlejąc.

Ciało było zmasakrowane. Głowa rozłupana i zmiażdżona, tułów otwarty tak, że widać było wnętrzności, które częściowo wysliznęły się na zewnątrz.

To była May. Patrzył między wykręcone nogi, w różową, rozchyloną szparę pod kędzierzawymi włosami. Nie chciał na to patrzeć, ale nie mógł oderwać oczu.

„Czy zrobił to Claude? Jeżeli on, to dlaczego?” — myślał z przerażeniem.

Słodkawy odór śmierci przenikał wszystko. Grafton miał nudności, ale w żołądku nie pozostało mu już nic, co mógłby zwrócić. Trup zaczął się już rozkładać, chwilę potem usłyszał jakiś dźwięk, wydawało mu się, że kątem oka zauważył jakiś drobny ruch. Próbuąc się odwrócić, stracił równowagę. To uratowało mu życie.

Poczuł pęd powietrza rozwiewający mu włosy, kiedy okrwawiona siekiera prześliznęła się tuż obok jego głowy i wbiła się w dębowy stół. Kawałki drewna

rozprysły się we wszystkie strony. Odskoczył, spodziewając się kolejnego uderzenia, ale broń uwięzła głęboko w drzewie tak twardym, że szalone wysiłki Claude'a by ją uwolnić, spełzły na niczym.

Zapanowała cisza przerywana tylko głośnym dyszeniem dwu mężczyzn, mierzących się pełnym nienawiści wzrokiem.

Minworth ubrany był tylko w krótkie kalesony i podkoszulek, co w każdej innej sytuacji wyglądałoby komicznie, na twarzy miał głęboką krwawiącą ranę, oczy wytrzeszczone, żyły na czole nabrzmiałe, jakby lada chwila miały pęknąć.

— Ja, ja zabiłem. — W jego głosie była duma i nienawiść. — Ja! Zrobiłem to, Grafton, słyszysz mnie?

Grafton przytaknął, przełknął ślinę, skrzywiwszy się, kiedy żółć sparzyła mu gardło. — Jeśli to mówisz, Claude, ale dlaczego?

— Bo ona powiedziała, abym to zrobił.

— May chciała, żebyś ją zabił? Grafton spojrzał na siekiere tkwiącą w stole. Porzucił pomysł wydobycia jej. Nie było na to czasu. Musiał znaleźć inne wyjście.

— Nie, ty głupcze! — Ślina opryskała Graftona. — Ona powiedziała mi, że bym zabił May. Dziewczyna przy bagnie. Przy Ssącym Dole!

Pokój zawirował Graftonowi przed oczami.

— Rozumiem — powiedział słabo.

— Kazała mi zabić także ciebie. Grafton, ale przyszedłeś za szybko. Nie spodziewałem się ciebie przed wieczorem. To jednak bez znaczenia. Mogę zabić ciebie teraz. Potem, poczekam tu do zmroku i spotkam się z nią przy bagnie. — Jego oczy błędziły niepewnie, spoczęły na siekierze i przeszły dalej. Szukały innej broni, czegoś, co byłoby dość ciężkie, by zadać śmiertelny cios.

— Stracisz bardzo dużo pieniędzy, jeśli mnie zabijesz. — Ralph Grafton starał się mówić spokojnie, ale głos mu drżał. — Twoje cztery tysiące przepadną, skoro nie będzie mnie tutaj, by ci je dać.

— Pieniądze! — W głosie Clauda brzmiały: zdumienie i pogarda. — Nie potrzebuję pieniędzy. Ona się o mnie zatroszczy.

— Kim ona jest, ta dziewczyna? Jak ma na imię?

— Ja... nie znam jej imienia. — Oczy Minwortha zasnuły się mgłą. — Ona jest, ona jest... — oddychał szybko. — Jest piękna. Młoda, skórę ma tak miękką i zimną. — Poczul podniecenie, jego członek zaczął ponownie sztywnieć.

Grafton zauważył to. Postanowił wykorzystać chwilę dekoncentracji swojego przeciwnika.

— Przeleciałeś ją już Claude?

— Ja... — Minworth poczul dławienie w gardle, ta myśl była czymś nowym. — Nie-e-e... jeszcze nie, ale dziś w nocy... och tak, dziś w nocy, Grafton. Pozwoli mi, wiem, że pozwoli, bo mnie kocha. Nie prosiłaby, żebym wrócił do niej, gdyby mnie nie kochała.

— Zrobi, co będziesz chciał, Claude?

— Tak, zrobi, bo...

Ralph Grafton odbił się z całej siły i skoczył, wiedząc, że od tego zależy jego życie. Zaciśnięta pięść zatoczyła, półkole i trafiła tamtego w twarz. Kość zachrzęściła o kość, pięść cofnęła się, uderzyła znowu.

Minworth wrzasnął z bólu, zatoczył się w tył, próbując chwycić Graftona za gardło. Ten odpowiedział potężnym ciosem. Usłyszał jęk Minwortha. Uderzał seriami, jego pięści pracowały niczym mechaniczne mioty, trafiając raz za razem. Wreszcie, po kolejnym uderzeniu Minworth osunął się bezwładnie na podłogę jęcząc z bólu. Wtedy Grafton wrócił do sypialni po siekiere.

Musiał wytężyć resztki sił, by wyrwać ją z dębowego drewna. W końcu wyskoczyła ze szpary. Gramoląc się, ważył jej ciężar. Ostrze było tępe, ale nie miało to znaczenia, skoro była wystarczająco ciężka.

Oczy Minwortha były przytomne, pozostało w nich tylko przerażenie. Wiedział, że zbliża się jego przeznaczenie, że jego plany obróciły się przeciwko niemu. Wrócił mu rozsądek, ponura rzeczywistość zastąpiła szaloną fantazję. Spotkał wzrok Graftona, zobaczył w jego zwężonych oczach bezlitosną żądzę zabijania, która jeszcze kilka minut temu płonęła także w nim. Teraz mógł tylko błagać o litość.

— Nie, Grafton, nie możesz mnie zabić. Potrafię ci pomóc i nie będziesz musiał płacić mi za to ani centa. Mogę zagwarantować, że pozwolenie na budowę nie zostanie cofnięte. Zasypimy bagno. Będziemy...

Grafton uderzył z tak potworną siłą, że tępe ostrze przecięło ciało i kości kręku.

Głowa odpadła od tułowia, potoczyła się. Bluznęła purpurowa ciecz, opryskując mahoniowe poręcze, rysując szalone wzory na prążkowanej tapecie. Ciało ruszało się ciągle, nogi i ręce drgały, palce kurczyły się w ostatnim, bezcelowym i desperackim wysiłku.

Powoli wszystko znieruchomiło. Kończyny przestały wykonywać nagłe ruchy, palce zrezygnowały ze swych beznadziejnych poszukiwań, strumień krwi zaczął słabnąć, przeszedł w ciekłą strużkę, równomiernie spływającą na podłogę. Wytrzeszczone oczy zmętniały.

Grafton odetchnął, pozwolił siekiere wysunąć się z palców, uśmiechnął się. Potem zszedł na dół do hallu, nalał sobie obfitą porcję maltańskiej whisky.

Musiał pomyśleć. Odrzucił pomysł wezwania policji. Trudno byłoby udowodnić, że musiał uderzyć w samoobronie, że nie on zamordował May Minworth, zanim pozbawił życia jej męża. Żałował gorąco, że nie przyzna się do tej przyjemności. Cieszył się, że pozbył się tego zarozumiałego snoba. Roześmiał się ostro, pociągnął łyk whisky. Bez Claude'a wszystko może pójść łatwiej. Nagle coś sobie przypomniał. Młoda dziewczyna, nie widział jej twarzy, tylko ciało, nagie, nieskalane ciało, czekająca w ciemnościach balsamicznej letniej nocy przy Ssącym

Dole. Zapragnął pójść do niej i dotrzymać umowy, którą zawarł Claude Minworth. Będzie przyjemnie zdziwiona — pomyślał.

Zmęczony osunął się na fotel, zamknął oczy, bolała go głowa. Chciał zasnąć i odpocząć przed nocą, a po zmroku pójść do Ssącego Dołu.

* * *

O dziewiątej trzydzieści ratuszowa sala była już pełna. Było gorąco i duszno, ale po kilku minutach nikt z obecnych nie zwracał już na to uwagi.

W rogu znajdował się mały bar, gdzie serwowano drinki, po które ustawiała się nie kończąca się kolejka. O pierwszej trzydzieści zabawa sięgała zwykle szczytu i ci którzy nie tańczyli, znajdowali tu miejsce, gdzie mogli się napić, kiedy zamknięto puby. Nie zaniżało to obrotów ani „Chequer’s”, ani „Czerwonego Lwa”, tak, że wszyscy byli szczęśliwi.

Carl Wickers zaczął swój pięćdziesiąty wolny i łagodny numer „Schronienie Twoich Oczu”.

Na sali przeważały dzieciaki, trudno było kogokolwiek poznać w blasku oświetlających scenę reflektorów. Chris i Pamela byli tam, Samantha także. Carl zastanawiał się, z kim tańczy. Może sama. Poczł ukłucie zazdrości. Był niezadowolony, że jej nie widzi, zwłaszcza, że po południu dziwnie się zachowywała. Nieobecna, jakby przebywała w swym własnym świecie, ledwie go zauważała. Jakby coś ją dręczyło.

Tuż pod sceną tańczyła samotnie jakaś dziewczyna, jej ciało kołysało się kuszaco. Zaczł piosenkę, ale po chwili zgubił rytm. Była to Marian Preece. Patrzyła na niego, uśmiechała się.

Zaczł od nowa, puls bił mu szybko. Pamiętał to lato, zanim poznał Samanthę, tych kilka miesięcy, kiedy spotykał się z Marian. Między innymi z jej właśnie powodu rozpadło się jego małżeństwo. Jej widok wywoływał w nim dreszcz, niczym elektryczny szok. Wyjechała gdzieś, miał nadzieję, że nie wróci. Krążyły pogłoski, że musiała opuścić miasteczko, bo była w ciąży. Nie wiedział, czy to prawda, ale jeśli tak to, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, było to jego dziecko. Nie skontaktowała się z nim, zachowała się przyzwoicie i dawała sobie sama radę.

Jej usta poruszały się kuszaco zgodnie z rytmem; jego rytmem. Wydawało się, jakby palce szarpiące struny gitary pieściły ją jak przed laty. Stała na tym samym miejscu tuż pod sceną, utkwivszy w nim oczy. Jej wargi drgnęły, jakby zbliżała się do orgazmu. „Nie zmieniałam się Carl, ani trochę” — zdawała się mówić. „Nie zechcesz mnie znowu? Tylko raz, przez pamięć starych czasów. Oczywiście, że zechcesz”.

Przełknął ślinę. Śpiewał „Przyciśnij Tve Słodkie Usta Bliżej Do Telefonu”, ale te słowa nie chciały płynąć. Niespodziewanie, również dla niego samego, zabrzmiały inne:

*„Zabierz mnie do domu głęboka wodo.
Nigdy więcej nie będę się błąkał”.*

Oczy miała zamknięte, jej twarz skryła się nagle w cieniu. Odpowiadała mu, drżała.

*„Zabierz mnie z powrotem głęboka wodo.
Do tych których zostawiłam w domu”.*

Byli tylko oni dwoje, wszyscy inni zniknęli, rozplynęli się w cieniu. Sam nie istniał; tylko on i Marian, tak jak było to przedtem.

Przekreślił przełącznik i włączył magnetofon jak zawsze podczas przerw. Nikt tego nie zauważył. Podeszedł do niej. Przytuliła się do niego, jakby nie było tych lat, które minęły. Jej usta musnęły jego wargi. Ruszali się razem w rytm muzyki.

Podążał za nią, gotów iść tam, gdzie prowadziła, nie pytając o nic. Nic się nie zmieniło, tak jakby te wszystkie lata były snem, z którego obudził się i znalazł wszystko na swoim miejscu.

Wyszli na zewnątrz. Uderzyło ich zimne, nocne powietrze, przesycone wonią kwitnących czereśni. Pachniały sosny. Rosły tu ciągle, cały las wysokich, smukłych drzew, które oparły się działaniu czasu i ludzkim wysiłkom. W jego snach były powalone, a cała okolica zamieniona w żwirownie. Ale wszystko było teraz w porządku i nocne zmory odeszły w zapomnienie.

Szli przez cmentarz. Poczł ulotny zapach kwiatów na grobach, które jutro zwiędną podczas gdy wszystko inne dookoła będzie żyło.

Wkroczyli w wysoki las, pod stopami ścielił się im miękki dywan sosnowych igieł, niskie gałęzie głąskały kochanków czule.

Nagle powietrze ochłodziło się. Żałował, że nie wziął ze sobą marynarki, tylko te spodnie ze skóry kozłowej i ten komiczny stetson.

Księżyc delikatnie rozświetlał noc. Próbował rozróżnić rysy twarzy Marian. Właściwie pamiętał je, nawet każdy najdrobniejszy szczegół. Pieprzyk pod lewym okiem, śmiało zarysowany nos. Podobna była trochę do Sam. Ale Sam była teraz tylko nimfą z rozwianego snu. Doszli do Ssącego Dołu. Zobaczył jego kształt, skrawek czerni, która była ciemniejsza od otoczenia. Taki sam, jaki był zawsze, obramowany grubymi trzciniami, z miękką i chlupoczącą trawą, w której grzęzli oboje po kostki. Dzisiaj miał na sobie wysokie buty kowbojskie. Nie były wodoodporne, czuł, że zaczynają już przesiąkać.

— Gdzie idziemy? — Las podjął jego szept. „Gdzie idziemy? Idziemy... Idziemy...”

— Do domu — powiedziała zatrzymując się i obracając twarz do niego.

Pierwszy raz zobaczył jej twarz. Była inna. Bardziej dojrzała. Wklęsłe policzki, oczy zapadnięte i jasno rozżarzone, jakby miała gorączkę. Blask księżyca posrebrzył jej włosy. Szczupła, odziana w długą, prawie przezroczystą suknię, przez

którą prześwitywało ciało. Zamarł. Przecież całował i pieścił jej piersi, które były teraz obwisłymi, odpychającymi, bezkształtnymi workami, nogi i uda stały się pomarszczone i powykrzywiane.

— Marian?

Nie wiedział czy to była Marian, czy ktoś inny. Ten sam uśmiech, ale pozbawiony ciepła. Spoglądała na niego z pożądaniem. Przywarła do niego kurczowo.

— Pocałuj mnie. Carl.

Instynkt nakazywał mu cofnąć się, krzyknąć — „nie jesteś Marian, oszukałaś mnie”. Ale jej wargi znalazły już jego, zdusiły słowa. Poczł lodowaty, nieświeży oddech. Jej palce szarpały go, przytrzymały, kiedy język torował sobie drogę do jego ust. Jej piersi napierały na niego, uda przesunęły się, próbując go podnieść.

Wzdrygnął się, robiąc jeden słaby wysięk, by ją odepchnąć, ale ona przytrzymała go mocniej, kołysząc się szybciej i szybciej, jej oddech przechodził w rżenie, jej palce szukały go, pieszcząc tak, że jego ciało zaczęło tężeć i pulsować.

Rozpaczliwie pragnął jej teraz. Wydawało mu się, że zimno i odór pochodziły z bliskiego bagna. Była młoda i piękna, gorąca i pociągająca, jej słodki zapach uderzał do głowy, oszałamiał, jak zapach dzikich leśnych kwiatów.

Spleceni ze sobą opadli na trawę rwąc na sobie ubrania, ich drżące ciała przylgnęły do siebie.

Potem leżeli objęci, zmęczeni. Spokojnie słuchali szelestu letniego wietrzyku, szepczącego w koronach otaczających ich drzew.

*„Zabierz mnie z powrotem głęboka wodo,
Do tych których zostawiłem w domu”.*

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Carl wyszedł! — Samantha odszukała Chrisa i Pamelę w rogu zatłoczonego hallu. Pobladła z przerażenia. Musiała krzyczeć, by usłyszeć swój głos przez muzykę płynącą ze wzmacniacza.

— To absurd. — Latimer postawił szklanke z piwem na podłodze pod krzesłem. — Był na scenie jeszcze kilka minut temu. Należy mu się przerwa. Jest pewnie w barze.

— Nie ma go tam. Szukałam. Nie ma go w budynku.

— Uspokój się. Może być w toalecie. Pójdę zobaczyć. Zostań tu z Pamelą.

Wiedział, że nie znajdzie Carla Wickersa w zaniedbanym męskim ustępie, wiedział o tym, zanim jeszcze utorował sobie tam drogę, ale chciał się upewnić. Przed pojedynczym wc stał czteroosobowy ogonek, ale Carla tam nie było. Latimer wycofał się na korytarz.

— I co? — Samantha i Pamelą wstały z krzeseł i wyszły mu na spotkanie.

— Nie ma go. Ale nie mógł wyjść daleko, bo za dziesięć minut musi znowu zacząć grać.

— Był z kobietą! — rzuciła Samantha z goryczą. — Włączył taśmę, a potem zobaczyłam, jak się z nią całuje.

— Pewnie jakaś znajoma.

— Sądząc po sposobie, w jaki się obejmowali, musiał znać ją bardzo dobrze!

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Może być gdzieś na zewnątrz.

— Jeśli jest, to wyszedł tam z jednego tylko powodu. — Samantha kierowała się już do drzwi, torując sobie drogę przez tłum pijących, którzy nie byli szczególnie zainteresowani tym, czy Carl zamierza zacząć grać znowu.

„Chryste, mam nadzieję, że Carl nie jest aż tak głupi. Jeśli zszedł ze sceny i poszedł gdzieś z kobietą, to Samantha wydrapie mu oczy, kiedy go złapie!” — pomyślał Latimer.

Samochody i motocykle parkowały wszędzie na małym kawałku jałowego gruntu sąsiadującego z ratuszem. Wysypywały się na drogę. Ci, którzy przyjechali pierwsi, musieli poczekać z wyjazdem ostatnich. Dzieciaki kryły się w cieniu, dziewczęta chichotały, kiedy przyciskali je ubrani w skórzane kurtki motocykliści.

Latimer dogonił Samanthę.

— Nie ma go tutaj. — Samantha odwróciła się do nich, światło padające z okna oblało jej twarz. Początkowa złość zamieniła się w rozpacz. — Och, mój Boże, gdzie on może być?

Domyślali się, pamiętając dzisiejszy ranek, i obawiali się wymówić na głos swe myśli.

— Grał tę piosenkę tuż przedtem, zanim zniknął — szepnęła Samantha. — Nigdy przedtem nie słyszałam, by ją śpiewał, aż do... dziś rana!

Spojrzeli na siebie. Poczucie winy przeszło Latimera, niczym sztylet, wwiercający się w żołądek.

— Wszyscy przyszliśmy z Carlem dziś w nocy, więc mogliśmy mieć na niego oko. I pięknie się spisaliśmy: pozwoliliśmy mu wyjść bez nas!

— Wrócił do Ssącego Dołu — głos Samantha drżał. — Wiem. Wiem, że tam poszedł!

— Pójdę i sprawdzę. Wy wróćcie do hallu. Dołączę do was niedługo. To niedaleko, na piechotę najwyżej trzy kwadranse w obie strony.

— Idę z tobą. — Głos Samantha był zdecydowany i twardy.

— I ja — dodała Pamela. — Sam powiedziałaś, że musimy trzymać się razem, Chris.

— W porządku. — Nie miał siły się spierać. W głowie czuł zamęt. Ale trzymajmy się razem, niech nikomu nie wpadnie do głowy iść gdzieś na własną rękę.

„Szli szybko, pod górę przez most na kanale, skręcili z głównej drogi na wyboistą ścieżkę. Dalej podążyli przez cmentarz.

— Słuchajcie. — Pamela zatrzymała się nagle i wszyscy zaczęli nadłuchiwać. Dobiały ich odległe dźwięki gitary Carla i jego głos trwający w nieruchomym powietrzu. Głos, który sprawiał wrażenie, jakby przyplątywał zza grobu.

— To jest... — zaczął Latimer, ale przerwał mu nagły hałas. Długi grzmiący dźwięk, jak przejeżdżający w oddali konwój ciężkich pojazdów. Po chwili odgłos zamarł.

— Grzmi — powiedział. — Pospieszmy się, jeśli nie chcemy, żeby złapała nas burza.

Powietrze było parne. Podeszli do płotu z drutu kolczastego otaczającego cmentarz. Chris przygiął stopą drut do ziemi, gdy dziewczyny przeskoczyły, pospieszył ich śladem. Nie chciał ryzykować, pozwalając by Samantha działała na własną rękę.

Nagle zatrzymał się, dziewczęta wpadły na niego.

— Co jest? — Samantha była napięta i zniecierpliwiona. — Jeśli będziemy zatrzymywać się i słuchać każdego trzasku pioruna...

— Patrz! — Wskazał Latimer, zniżając głos do szeptu. — Coś tu jest nie tak. Kopalnię powinien otaczać jałowy, nagi grunt. Ale tu rosną drzewa, tak samo, jak przed laty!

Wytrzeszczyły niedowierzająco oczy, była to jednak prawda. Wszędzie dookoła rosły stare szkockie sosny, potężne drzewa, które musiały stać tu przez co najmniej pięćdziesiąt zim. Słodki, prawie mdlący aromat żywicy mieszał się z zapachem kwitnących roślin.

— My... musieliśmy... zabłądzić. — Samantha chwyciła Chrisa i Pamelę za ręce. — Przyszliśmy w złe miejsce.

Ale wiedzieli, że to nieprawda. Las, który nie istniał, rósł znowu na swym dawnym miejscu.

— To niemożliwe — westchnął Latimer — ale to prawda. Chyba, że mamy halucynacje. Lepiej wróćmy.

— Nie. Carl jest gdzieś tutaj i zamierzam go odszukać, bez względu na to, co zrobicie. Możecie wracać, jeśli chcecie.

Chris Latimer ruszył naprzód, oglądając okolicę w nieziemskim świetle księżyca. Cienie przyjmowały niesamowite kształty, kręta, szeroka ścieżka wydawała się kiwać na nich sosnowymi gałęziami. Ścieżka, która wiodła do Ssącego Dołu!

* * *

Susan Taplow z niecierpliwością oczekiwała na nocne tańce w ratuszu. Nie dlatego, żeby specjalnie lubiła tańczyć, czy choćby tam chodzić — ale dlatego, że oznaczało to opiekę nad dzieckiem w domu Whitmore'a. Trzy funty za wieczór spędzony na oglądaniu telewizji, lub czytaniu. Whitmore'owie chodzili na wszystkie lokalne potańcówki, a później jechali jeszcze do kogoś na kawę, dzięki czemu zarabiała przez kolejną godzinę. Mały Thomas rzadko się budził, kochany sześciomiesięczny bobas. Susan często miała ochotę znieść go na dół i pobawić się z nim, ale mogłaby mieć problemy, gdyby zaczął płakać.

Siedemnastoletnia Susan była jedną z najniezwyklejszych nastolatek. Krótkowzroczna, musiała zawsze nosić okulary. Jej zarobki w fabryce nie pozwalały na nic więcej, niż zaspokojenie podstawowych potrzeb. Włosy miała nieustannie przetłuszczone; bez względu na to, jak często je myła, a szampon zdawał się pogarszać ich stan. Wiele jej koleżanek z fabryki przez całe życie próbowało zezupełnić, zawsze mając nadwagę. Susan rozpaczliwie próbowała przytyć, ale bez rezultatu. Zresztą ostatnio zrezygnowała ze swoich wysiłków. Była drobna i koścista, co dawało się we znaki szczególnie w tańcu. Więc nigdy nie tańczyła. Jej życie było rezygnacją, zaakceptowaniem swego losu.

Kolejna rzecz godna ubolewania: była dziewczicą. Niestety, nie z własnej chęci, jak przyznawała przed sobą z goryczą. Pewnej nocy, w zupełnej rozpaczycy pojechała do miasta i próbowała się sprzedać, ale bez powodzenia. Złapała ostatni powrotny autobus, prowadzony przez naprawdę ordynarnie wyglądającego mężczyznę, a kiedy zrobiła bardzo niedelikatną aluzję, zjechał na krawężnik, otworzył drzwi i kazał jej wysiadać. Resztę drogi przeszła pieszo.

Susan nie chciała jedynie straty dziewictwa, pragnęła dziecka. Z jakimkolwiek mężczyzną, który byłby skłonny jej je dać. Nie próbowała by doprowadzić do małżeństwa, albo procesować się o alimenty. Po prostu chciała dziecko i nic więcej. Ale nawet takie pragnienie było nierealne. Aż do dzisiejszego popołudnia.

Poszła na spacer do żwirowni, na przechadzkę i znalazła się przy ogromnym bajorku. Ssący Dół, tak je ludzie nazywali. Wzdrygnęła się, ale to miejsce właściwie nie wyglądało wcale na takie groźne. Było tu raczej dość przyjemnie. Pomyślała, że kiedy na powrót wyrosną trzciny, będzie mogła chodzić tu na spacer.

Susan usiadła wewnątrz ogrodzonego obszaru i odprężyła się. Obecność wody zawsze dodawała jej otuchy. Przypominała jej w dziwny sposób miejsce, które kiedyś zwiedzała w Derbyshire, będąc na wycieczce z rodzicami. Należało tam wrzucić do wody monetę i wypowiedzieć jakieś życzenie. Nie wolno było go nikomu zdradzić, bo wtedy mogło się nie spełnić...

Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęła do kieszeni spodni, znalazła pięciocentową monetę. Podeszła bliżej do skraju bajora, ściskając monetę w spoczonej dłoni. Rzuciła, patrzyła jak metalowy krążek wznosi się brzeżek zaczyna spadać. Jak urzeczona patrzyła, gdy moneta uderzyła w wodę, usłyszała znajomy plusk. Rozszerzające się kręgi wodny, uderzające o brzeg drobne fale...

Zaśmiała się cicho do siebie.

— Proszę daj mi dziecko Ssący Dole! — te kilka minut nadziei warte było pięciu centów — pomyślała.

Spojrzała na zegarek stojący na kominku Whitmore'ów. Dziewięta trzydzieści. Wróć do domu nie wcześniej niż za trzy godziny. Wstała, weszła po schodach, zerknęła do sypialni. Thomas spał mocno, zaciskając w ustach smoczek.

Zostawiła uchylone drzwi. Wślizgnęła się do dużej sypialni, sprawdzając czy zastony zostały zaciągnięte, zanim zapaliła światło. Jej wzrok pobiegł ku szafie w rogu pokoju.

Była podniecona, szybko oddychała. To był kolejny z jej sekretów i na pewno straciłaby pracę, gdyby się wydał. Przez ostatnie kilka tygodni przymierzała wszystkie suknie Sheili Whitmore, nie pomijając nawet kremowego kostiumu od Rackhamsa. Wszystko było za duże, ale podobała się sobie, przeglądając się w wielkim lustrze. „Jestem Mrs Whitmore i mam małe dziecko, wiesz. To dowodzi, że nie jestem dziewczicą, prawda? David Whitmore... mnie pieprzył!”

Jej fantazje były tak silne, że wywołały gęsią skórę. Położyła się na plecach na podwójnym łóżku, tak, by widzieć się wielkim lustrze. Podniosła pożyczoną suknię i zrobiła sobie to, co robiła przez większość nocy w odosobnieniu i samotności swego własnego łóżka. Wyobrażała sobie Davida Whitmore'a leżącego na niej i wchodzącego w nią. Było to przyjemne, ale nie zachodziła od tego w ciążę...

Myszkuje znowu wśród sukienek, próbowała rozbudzić swą fantazję. A potem znalazła na wieszaku z tyłu szafy koszulę nocną. Białą z wyhaftowanymi

różowymi kwiatami, nie dłuższą niż do kolan. Natychmiast w jej umyśle zrodził się nowy obraz. Nagi, w pełni pobudzony David zdiera Sheili koszulę, rozkłada jej nogi na boki i wchodzi między nie napierając i pchając tak szybko, jak tylko może.

Susan zamknęła oczy, zakolysała się lekko. Pani Whitmore na pewno kochała się ubrana w tę koszulę. Dziewczyna wygrzebała się ze swych ubrań, szarpiąc części garderoby. Musiała być naga.

Wciągnęła koszulę, na policzki wypłynął jej rumieniec, kiedy studiowała swe odbicie w lustrze. Była sexy, na pewno, jedwabisty materiał dotykał zmysłowo jej pokrytego gęsią skórą ciała. Położyła się na wznak na łóżku i zobaczyła znowu Davida Whitmore'a. Zamknęła oczy, bo nie chciała widzieć, tylko czuć. O tak, był dziś lubieżny, obnażył jej ciało aż do pasa, jęczała z rozkoszy, kiedy koniuszki jego palców ślizgały się po wewnętrznej stronie jej ud. Bliżej, bliżej... rozłożyła dla niego szeroko nogi.

Nie mógł czekać. Wbiła paznokcie głęboko w dłonie, kiedy jego twardość otworzyła ją, przeszła całą drogę do wnętrza, zaczęła dźgać, najpierw powoli, potem z niewiarygodną szybkością.

Susan wiedziała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Chciała poczekać na niego tak, by eksplodowali razem, ale było to fizycznie niemożliwe. Każdy nerw jej ciała drgał jak struna napięta do ostatniej granicy, nogi dziko kopały, pięści uderzały w koldrę po obu bokach. Zdawało się jej, że unosi się w powietrze.

Powoli opadła na łóżko. Zapłakała cicho. Otworzyła oczy, wyobraziła sobie, że David odszedł. To dobrze, nie pragnęła go wcale widzieć.

Wracało poczucie rzeczywistości, jakby budziła się ze snu. To było cudowne, ale nie mogła w ten sposób zająć w ciążę.

— Proszę, daj mi dziecko, Ssący Dole!

I nagle w błysku okropnej inspiracji, pojęła, jak może mieć dziecko. Przerazająca była sama myśl. W momencie, kiedy przyszło jej to do głowy, wiedziała, że się nie cofnie. W sąsiednim pokoju było dziecko — wystarczyło wziąć je i wyjść z nim z domu! Thomas będzie należał do niej, pomyślała, nigdy ich nie znajdą i będą razem bardzo szczęśliwi.

Ostatni raz spojrz na swe odbicie w lustrze. Chciała zatrzymać nocną koszulę i zostawić tu ubranie. Pani Whitmore prawdopodobnie urodziła w niej dziecko i Susan Taplow pragnęła tego samego.

Thomas drgnął, zamruczał coś przez sen, ale nie obudził się, kiedy podniosła go z łóżeczka. Na bosaka, kołysząc go, zeszła na dół i wyszła przez tylne drzwi.

Księżyc świecił zbyt jasno: cofnęła się w cień. Z ratusza dobiegały dźwięki muzyki. Ktoś śpiewał „Meksykańską dziewczynę”. Głos był niewyraźny, jakby z porysowanej płyty, ale rozpoznała Carla Wickersa.

Wyjrzała na drogę — stały tam tylko zaparkowane samochody. Wszyscy byli w ratunku. Naciągnęła kołderkę na głowę Thomasa, przytuliła go do siebie i ruszyła szybkim krokiem. Nikt nie zamierzał jej zatrzymać.

Wyglądała jak umykający, biały cień. Nocna koszula Sheili Whitmore falowała, bosa stopy klaskały o chodnik, skręciła w ulicę Kościelną. Kamienie raniły jej stopy, ale nie zważała na ból. W końcu znalazła się między drzewami. Nigdy jej tu nie znajdą — pomyślała — to jej, zrozpaczonej matki sanktuarium.

Nocna koszula zahaczyła o kolczasty drut, ale Susan nie zważała na to. Wbiegła do lasu. Z rozkoszą wciągnęła zapach sosen, było tak, jakby zawsze tu stały, jakby nigdy nie było tu nic innego. Wysokie drzewa rzucały powitalne cienie, skrywały ją.

Szła wąską ścieżką, odprężona, mając uczucie, że nie jest sama, ale nie martwiła się tym. Jej przyjaciele byli tutaj, i chcieli zaopiekować się nią. Znowu przyspieszyła kroku, nie wiedząc dlaczego, coś ją gnało naprzód.

Wypadła zza drzew, około trzydziści jardów przed sobą zobaczyła Ssący Dół, taflę pięknej, czarnej wody. Przyciskając Thomasa do piersi, zaczęła iść ku niej.

Nagle, w ciemności zmaterializowały się jakieś cienie. Susan krzyknęła cicho, prawie rzuciła się biegiem, ale dziwna niewidzialna siła opanowała ją, zatrzymała w miejscu. Pojawiły się niewyraźne sylwetki, ale rozpoznała je tak nieomylnie, jakby widziała ich twarze. Byli to Cyganie.

Półokrąg konnych wozów mieszkalnych, spętane konie skubały cicho bujną trawę. Mężczyźni i kobiety z głowami owiniętymi szarfami, stali w milczącej gromadzie na brzegu. Patrzyli na nią.

Złapała oddech, przycisnęła dziecko, czuła na sobie ich wrogi wzrok, który przejął ją dreszczem. Stara kobieta spoczywająca na noszach wskazała coś zakrzywionym palcem, poruszyła bezzębnymi ustami w niemym rozkazie skierowanym do wielkiego mężczyzny, który stał przy jej boku.

Ociężały olbrzym ze złotym kolczykiem w jednym uchu, ruszył naprzód. Długimi krokami zbliżał się do niej.

Próbowała odwrócić się i biec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chciała krzyknąć, ale szczęki miała jakby stężałe. Mężczyzna zatrzymał się przed nią i wyciągnął ręce, jego ramiona utworzyły kołyskę.

— Daj mi tego małego. Czekaliśmy na niego.

— Nie! Prędzej umrę!

— Umrzesz tak czy owak, jest to tak pewne, jak to, że wszyscy kiedyś umarliśmy i zostaliśmy pogrzebani. Ssący Dół żąda ludzkiego życia w zamian za naszą wolność, tak zawsze było. To cygańskie prawo i Roon domaga się, byśmy je wypełniali! Niewinne dziecko najpierw, a za nim ci, którym rozkazano przyjść tu dziś w nocy!

Ramiona Susan Taplow poruszyły się wbrew jej woli. Oszałały, przerażony umysł próbował walczyć. Nie chciała oddać tego dziecka. Ale zrobiła to. Wyciągnęła ręce i delikatnie złożyła śpiącego Thomasa w ramionach wielkiego Cygana.

— Więc tak się stanie. — Jego śniada twarz skrzywiła się w uśmiechu. — Nie będzie cierpieć, obiecuję ci. Inni będą, ale dziecko nie.

Patrzyła przerażona, kiedy tamten odwrócił się i podszedł do starej kobiety. Stała tam kołyska, Susan nie zauważyła jej wcześniej. Sparaliżowana, patrzyła jak kładą w niej dziecko.

— Nie zwlekaj, Cornelius — zakrakała stara. Zakrzywiony palec poruszył się jeszcze raz. — Woda jest niecierpliwa.

Cornelius podniósł kołyskę, zaniósł ją na skraj bagna. Delikatnie, jakby nie chciał zbudzić dziecka, wypuścił ją z rąk. Woda zmarszczyła się lekko, zaczęła wirować, jakby jakiś zapomniany prąd obudził się nagle do życia. Zabrał kołyskę, unosił ją ku centrum wiru, wprawiając w powolny ruch obrotowy.

I wtedy Susan Taplow odzyskała władzę w nogach. Zachwiała się, próbowała biec, prawie upadła. Rozpacz rozpałała jej wysiłki. Patrzyła tylko na unoszącą się kołyskę, patrzyła, jak zapada się wolno pod ciemną powierzchnię wody.

— Moje dziecko. Moje dziecko tonie!

Słyszała monotony śpiew, niemelodyjne zawodzenie. Cyganie nie próbowali zagrozić jej drogi. Odprawiali pradawny rytuał, którego nie zapomnieli. Życie po śmierci, duch żyć będzie nadal i znowu wstanie. Przetoczył się grzmot, niczym akompaniament niebios.

Susan nic nie rozumiała, słyszała tylko krzyk przebudzonego Thomasa, zobaczyła wyciągniętą w górę drobną rączkę. Susan bez wahania zanurzyła się w wodę, odrywając stopy od mułu. Bagno bulgotało, jakby brało udział w tym makabrycznym obrzędzie.

Było teraz głębiej, wystarczająco głęboko, by płynąć. Zmusiła ramiona i nogi do szybkich ruchów, mimo zimna, które groziło w każdej chwili skurczem. Kołyska szybko tonęła, płacz dziecka ponaglał ją do zwiększenia wysiłków.

Prawie dopłynęła i właśnie kiedy wyciągnęła rękę, by ją chwycić, kołyska znikła jej z oczu. Zanurkowała. Przedtem tylko raz próbowała nurkować i było to okropne doświadczenie, ale nie myślała teraz o swym bezpieczeństwie.

Szukała po omacku w całkowitej ciemności. Natrafiła rękoma na coś — była to kołyska. Zbadała jej wnętrze. Była pusta!

Nagle zobaczyła Thomasa unoszącego się około jard od niej, ciągle owiniętego w biały kocyk. Desperacko rzuciła się do przodu, ale wydawał się uciekać od niej.

Potem zobaczyła jego twarz. Przeróżającą, nadętą twarz utopionego dziecka, ale jasną i uśmiechniętą. Smoczek przepadł, usta poruszały się, wypowiadając zaskakujące słowa.

— Chodź ze mną, Susan.

Ruszyła, ciągle próbując go złapać, ale wciąż wymykał się jej, płynąc w dół.

Pochłonął ją ciemny, milczący świat, gdzie oczy jarzyły się jak miliardy gwiazd w mroźne noce, a niewidzialne ręce wyciągały się po nią. I teraz nie bała się ich, zadowolona szła tam, gdzie ją prowadzili. Bo była z Thomasem, który był szczęśliwy. Zostali razem na zawsze.

Ssący Dół spełnił jej życzenie. Susan Taplow miała dziecko, o które błagała. Nikt nie mógł jej go zabrać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lynette Grafton zrozumiała, że jej mąż nie wróci, pogodziła się z tym, kiedy powody tego kroku stały się dla niej jasne. Opuścił dom, po prostu odszedł, bo całe jego imperium runęło. Albo popełnił samobójstwo.

Nie przestraszyła się tej myśli, rozważyła po prostu wszystkie „za” i „przeciw”. Ralph nie był człowiekiem tego typu, wychodził cało z większości opresji, opanowując prawie wszystkie kryzysy. „Grafton Properties Ltd” mogły zostać postawione w stan likwidacji w końcu tygodnia, ale powinno się przedsięwziąć kroki w celu przeniesienia większości aktywów do innej spółki, zanim zostanie wyznaczony zarządca masy upadłościowej. To wszystko zdarzyło się już przedtem: „Grafton Enterprises Limited” upadło posiadając blisko milion długu, ale Ralph stanął szybko na nogi, śmiejąc się ze swych wierzycieli. Znał wszystkie triki, był w tym nie do pokonania.

Lynette zapaliła ostatniego papierosa, cisnęła pustą paczkę, która potoczyła się przez kuchenną podłogę. Wiedziała, że tu jest, była tego pewna, nigdy nie zużywał swej energii bez potrzeby. Ale czuła też coś zdecydowanie osobliwego.

Spojrzenie przez okno powiedziało jej, że wkrótce nadejdzie zmierzch. Złote promienie zachodzącego słońca malowały wydłużone wzory na ścianie. Zastanawiała się, czy w grę wchodzi inna kobieta. Nie sądziła, jej mąż nie „miałby czasu” — to była jedna z jego ulubionych wymówek. Kobiety kosztowały, nie były inwestycją. Zrozumiała to szybko, a powinna była zrozumieć to jeszcze szybciej, ale uparczywie czepiała się wiary, że Ralph robi to wszystko dla niej. Nie było tak, stanowiła dla niego tylko przedmiot, jak nowy range rover i ten dom: rzeczy prestiżowe i nadające się do, wystawiania na pokaz, ruchomości milionera. Kreował swój własny obraz i ona była jego częścią, niczym więcej. Dlatego była zdecydowana rozejść się z nim. Nie była to nagła decyzja, narastało to w niej od dawna. Była niezależna, nie musiała nikogo prosić o łaskę.

Zgniotła papierosa w popielniczkę. Chciała odnaleźć Ralpa i powiedzieć mu wszystko. Sądziła, że jest z pewnością w żwirowni przy bagnie i tam go znajdzie. Zakręciło się jej w głowie; za dużo papierosów, nic nie jadła od śniadania. Nieprzyjemne sensacje minęły, podeszła do okna i wyjrzała. Niebo było szafranowe, zamglone, ciężkie, jakby zanosilo się na burzę.

Wyszła na zewnątrz, rzuciła okiem na range rovera i mini, ale ciało wyprzedzało świadomą myśl, wiedziało dokładnie dokąd chce iść. Znowu zobaczyła bagno. Było tu takie miejsce, gdzie można usiąść i odprężyć się, wchłonąć jego atmosferę. Zastanawiała się, czy nie opuścić Ralpha. Bawiła się tym pomysłem od tygodni. Chciała pójść drogą w kierunku Ssącego Dołu i zorientować się, czy nie ma tam gdzieś Ralpha. Jeśli go nie znajdzie, to miała zamiar zostawić wiadomość w domu.

Ciemność nadciągała szybko, gromadzące się na zachodzie chmury przyspieszały zmierzch. Powinna była wziąć latarkę z samochodu, ale za późno było już, by po nią wracać. W każdym razie, chciała być z powrotem w domu, zanim zapadnie zupełna ciemność.

Żwirownia nie podobała się jej. Stała na szczycie zbocza patrząc w dół na labirynt piaszczystych kanionów. Wydawało się prawie niemożliwe, by można było je zasypać i wyrównać teren. Ale nowoczesna technika była potężniejsza od natury, jak twierdził Ralph. Niemoralnym wydawało się bezcześcić tę okolicę. Trzeba było wykorzystać protekcję, pociągnąć za właściwe sznurki, zapłacić komu trzeba gotówką, by uzyskać takie możliwości. Skrzywiła się: pomagała w tym.

Wydało jej się dziwnym, że nie wycięli tej części lasu. Przyszło jej to do głowy nagle, wzdrygnęła się na widok wznoszących się drzew, ciemnych cieni jakie rzucały, jakby to już była noc. Nie przypominała sobie, aby przedtem, w czasie wcześniejszej wyprawy, widziała jakiegokolwiek drzewa oprócz sosen wokół wielkiego domu. Ale nie znała okolicy, a piaszczyste pagórki jak miniaturowe łańcuchy górskie wznosiły się wokół ograniczając widoczność. Zastanawiała się przez moment, czy wybrała właściwą drogę.

Wydeptana ścieżka wiodła między drzewami, prawdopodobnie było to ulubione miejsce spacerów okolicznych mieszkańców, którzy odwiedzali resztki swego dziedzictwa. Nagły smutek sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. Żałowała, że nie było jakiegoś sposobu, by zwrócić im ich lasy w stanie, w jakim były kiedyś. To niemożliwe. Ale przynajmniej nie stanie tu osiedle mieszkaniowe. Nawet pieniądze Ralpha Graftona nie wystarczą, by kupić pozwolenie na budowę po tym, co się zdarzyło. Nie będzie to jednak zbyt wielkim pocieszeniem dla miejscowych. Upłynie wiele lat, zanim teren znowu się zazieleni. — Zielone Bagno — Lynette zaśmiała się cicho. Cywilizacja chciała koniecznie zniszczyć samą siebie.

Wiatr szeleścił liśćmi, jakby las wzdychał z rozpaczy. Krzyknęła przestraszona, kiedy gałąź uderzyła ją w ramię.

Cisza skończyła się. Gałęzie trzeszczały, łamane przez wiatr. Skuliła się, dławiąc krzyk strachu. Chciała wrócić do domu albo najlepiej wsiąść do samochodu i odjechać stąd i nigdy nie wrócić.

Rozglądała się, wpatrując w ciemność. Ścieżka rozwidlała się w różnych kierunkach.

Robiło się ciemniej, zimniej. Grzmot zadudnił w oddali, ucichł, potem wiatr zamarł i wrócił ten okropny bezruch.

Był tylko jeden właściwy kierunek: ścieżka rozciągała się przed nią prosta i wydeptana.

Ruszyła naprzód, badając stopami grunt zanim stanęła całym ciężarem ciała, wyciągając ręce, by ochronić się przed uderzającymi gałęziami. Chciała biec, ale przestraszyła się.

Znowu zerwał się wiatr, zła wyjąca bestia, gałęzie chłostały ją, biczowały z wściekłą furją, parzyły ramiona, którymi próbowała odparować ciosy. Zmusiła się do biegu na oślep, drzewa zastępowały jej drogę. Przed oczami rozbłysło jej jakieś światło, zatoczyła się, upadła, czołgając posuwała się naprzód, gałęzie ciągle wymierzały jej bezlitosne ciosy. Ubranie rwało się w strzępy, kolczaste wrzośce zamykały uchwyt na trzepoczącym materiale, zrywały go z niej, a nagie ciało biczowane było jeszcze boleśniej.

Opadła z sił, zataczała się w ciemnościach, nie troszcząc się czy żyje, czy umarła, widząc tylko, że coś tak ją popędza, jak zbłąkane zwierzę zapędza się bezlitosną chłostą do stada. Odbijała się od jednego drzewa do drugiego. Nie była pewna czy jest jeszcze na ścieżce, nie obchodziło ją to.

Uderzyła w kolejne drzewo, jęknęła, popęzła na prawo, wpadła na następne. Potem zatrzymała się na sekundę czy dwie, nieczuła już na nieustające smagnięcia. To nie było drzewo. Nerwowo wyciągnęła rękę, dotknęła ciała.

Jęk przerażenia wydarł się z jej okrwawionych ust, kiedy zrozumiała, że ktoś zagroził jej drogę.

Przeraźliwie wrzasnęła.

* * *

Ralph Grafton spał głęboko, a kiedy ocknął się w fotelu, czuł się zupełnie wypoczęty. Wydarzenia minionych kilku godzin powróciły, ale minął już początkowy szok, rozpacz. Myślał jasno, planował.

Myśli, które przychodziły mu do głowy były lepsze niż te, które wlekły się za nim od tygodni. Pechowe osiadanie większości terenu przyczyniło się do upadku jego planów budowlanych. Chciał ogłosić bankructwo, a raczej nie on, a „Grafton Properties Ltd”. Spółka stała się zbędna. Zastanawiał się czy może utworzyć nową, kupić gdzieś za bezcen nowy teren. W tej chwili nie był całkiem pewien, co zrobi, ale z pewnością coś wymyśli. Jedyne problem, to jak uniknąć wpłątania się w to, co wydarzyło się w tym domu. Wszędzie były odciski jego palców, policji wystarczy kilka godzin, by go złapać. — „Ralph Grafton, jest pan zatrzymany pod zarzutem morderstwa. Zabił pan May i Claude’a Minworth”. Nie pomogą żadne tłumaczenia — tego był pewny.

Znowu przyszedł mu na myśl Ssący Dół. Szaleństwo. Wiedział, że tam by go nie zatrzymali, to było schronienie.

Jego nastrój zmienił się. Z której strony nie spojrzeć, tkwisz w gównie po uszy — myślał — widmo morderstwa unosi się w tle tak przerażającym, jak te burzowe chmury, gromadzące się na wieczornym niebie.

To nie ma sensu — przekonywał sam siebie, a poza tym spółka niczego nie załatwia. Zamknął oczy, próbował zwalczyć te myśli, które kąsały go niczym moskity.

Depresja przeszła w gniew. Nalał sobie whisky, pociągnął haust.

Jego oczy rozblęły. „Zabiję znowu, jeśli będę miał szansę. Zabiję swoją żonę!” — postanowił.

Elektryzujące uczucie, uderzenia krwi do głowy. Ogarnęło go pożądanie, zwięszył znowu cierpki zapach świeżo rozlanej krwi. Chciał jeszcze raz obejrzeć straszliwą masakrę, jaka zdarzyła się na górze, w pokoju.

Ujrzał nieprawdopodobną rzeź: okaleczone ciało, odciętą głowę, porozrzucane wnętrzności. Oczyma wyobraźni zobaczył Lynette, leżącą na miejscu May Minworth, zmasakrowaną, z szeroko rozwartymi nogami zapraszającymi go nawet po śmierci. — Lynette — szeptał — ty zarozumiała, wszawa suko, każę temu twojemu przyjacielowi, żeby cię pieprzył, a potem urządzę go tak samo! W głowie pulsowała mu krew, żyły nabrzmiały, jakby rozsadzane od wewnątrz.

Cofnął się ku schodom, zmuszając się do oderwania wzroku od przerażającego widoku. Spieszył się teraz, prawie spadł ze schodów. Musiał być tu dłużej, niż sądził. Zaczerpnął powietrza, walczył by odzyskać kontrolę nad sobą; nie mógł narażać się na to, że ktoś go zatrzyma. Ubranie miał zakrwawione, koszulę rozrwaną.

Grafton uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Pomarańczowe lampy uliczne odbijały się w szeregu zaparkowanych samochodów, z daleka dobiegały dźwięki gitary. Potkańcówka w ratuszu trwała i nie musiał obawiać się, że ktoś go zauważy.

Wyśliznął się na zewnątrz, trzymając się w cieniu wysokiego żywopłotu, kiedy usłyszał, że ktoś nadchodzi. Chłopak z dziewczyną, objęci, całujący się i roześmiani. Minęli go i ruszył znowu, przeskakując od jednego skrawka cienia do drugiego. Wraciał tą samą drogą; którą tu przyszedł. Biegł szybkim truchtem.

Najkrótsza droga do Ssącego Dołu prowadziła przez rododendrony rosnące obok dużego domu. Dyszał ciężko, nie zwalniając kroku, pokonywał strome wzniesienie. Mgliście uświadamiał sobie, że otaczają go drzewa, ale nie pytał skąd się wzięły. Tylko jedna myśl trwała w jego głowie, sprawiając, że był ślepy na wszystko inne: Ssący Dół go wzywał!

Rododendrony były grubsze niż przedtem, zarastały zachwaszczoną ścieżkę, zmuszając go do przedzierania się poprzez gąszcz. Wypadł na polanę, która kiedyś była ogrodem, żwir zazgrzytał pod stopami. Kilka jardów dalej coś lśniło metalicznie w księżycowym blasku. Samochód, prawie nie zwrócił na niego uwagi,

potem coś w nim krzyknęło: „Nie poznajesz samochodu? To Lynette, i ty masz zamiar ją zabić!” Okrążał pojazd jak polująca dzika bestia, która z bliska przygląda się swej ofierze. — Lynette. — Lynette — krzyczał.

Zbliżył się do samochodu, obszedł go dookoła. Instynktownie pomacał chłodnicę; silnik był zimny. Spojrzał w kierunku domu. Był pewien, że ona była gdzieś tutaj, może powinien jej poszukać, albo poczekać, aż wróci. Krew znowu dudniła mu w uszach, zwęszył słodkawy odór. „Pieprzysz się z kimś, prawda, ty brudna dziwko?” — myślał w gorączce. „Nikt cię teraz nie zechce, ty suko, nawet ja”. Wydawało mu się, że zaciska ręce wokół jej, gardła, jej konwulsje słabną w miarę, jak życie uchodzi z pięknego niegdyś ciała, że śmieje się obłąkańczo, kiedy oczy wychodzą jej na, wierzch tak samo, jak May Minworth w sypialni.

Wizja odpłynęła, otoczenie zmieniło kształt, jakby oglądał wszystko przez fałującą wodę. Szarpnął się w tył, potknął się na podjeździe i wszedł do lasu.

Ruszył ścieżką, nie zważając na niskie gałęzie, obłamując je w pośpiechu. Nie było czasu do stracenia.

Las gęstniał, ciemniał, bo górne gałęzie zasłaniały światło księżyca. Ochładzało się. Drżał z zimna, drgnął, kiedy na horyzoncie przetoczył się grzmot. Zanosiło się na burzę.

Nagle zatrzymał się, nasłuchując usłyszał słaby dźwięk. Zmysły pochwyciły go. To mógł być borsuk, wyruszający na nocne polowanie — pomyślał. Stąpanie było zbyt ciężkie, jak na królika. Dźwięk powtórzył się, Grafton zeszytniał. To nie było dzikie stworzenie, to nie ulegało wątpliwości. Ktoś nadchodził drogą. . .

Przywarł do pnia. Ktoś szlochał. Słyszał teraz wyraźniej, ktoś czołgał się, walczył z wrzoscami. Zatrzymywał się, dyszał, znowu walczył.

Ralph Grafton wytrzeszczył oczy, skupił wzrok na skrawku słabego księżycowego światła przecinającego ścieżkę sąsiadującą z główną drogą. Ktokolwiek to był, musiał tędy przejść i wtedy będzie musiał go zobaczyć. — Spiesz się, Ssący Dół zaczyna się niecierpliwic — szeptał. Czuł jego przyciąganie, walczył z nim. — Tylko kilka sekund, ale muszę zobaczyć. . .

To była kobieta! Prawie naga, jej poranione ciało krwawiło, kawałki poszycia zaplątały się we włosy, wpadały w oczy, jeżynowe krzewy raniły twarz, wlokły się za nią.

Grafton zszedł ze ścieżki, zaczął się w cieniu. Ogarnęło go niejasne uczucie podniecenia kiedy przypomniał sobie, co zdarzyło się May Minworth.

Nie interesowało go, co ta nieznajoma dziewczyna tu robi, tylko to, że tu była.

Ukryty w ciemności, mógł teraz jedynie ją słyszeć. Posuwała się wolniej. Uśmiechnął się, kiedy uderzyła głową w jego nogi. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, cofnęła się.

— Ralph!

Minęło kilka sekund zanim rozpoznał tak znajomy głos. Krzyknęła z ulgą, zacisnęła palce na jego nogach, próbując powstać.

— Ralph, to naprawdę ty? — czy to jakaś zmora, wysłana, by torturować mnie w tym wstępnym miejscu?

— Ty plugawa dziwko. — Kopniakami oderwał jej ręce od siebie, uderzał ją stopami, czując, jak zagłębiają się w ciało. Wydała zduszony skowyt bólu, jak kopnięty szczeniak.

Upadła na plecy, potoczyła się w srebrne światło księżyca i pierwszy raz zobaczył wyraźnie jej twarz. Była pokryta masą cięć i zadraśnień, oczy były spuchnięte, niemal zamknięte, włosy splątane. Ledwie rozpoznawalna, ale nie miał wątpliwości, że to Lynette.

— Jak to uprzejmie z twojej strony, że przyszedłaś — zaśmiał się. — To oszczędzi mi szukania.

— Ralph — ledwie była w stanie mówić, wijąc się pod butem przygniatającym żołądek. — Ralph... proszę...

— Teraz błagasz — warknął, furia wykrzywiła mu twarz. — Przypuszczam, że twój kochanek dał ci kopniaka, więc przyczołgałaś się do mnie, he?

— Ty... nie rozumiesz. Ja...

— Rozumiem dobrze. — Całym ciężarem ciała ukląkł na jej żołądku, zaśmiał się głośno, kiedy wrzasnęła. — Nie mogłaś wytrzymać bez mężczyzny, więc wróciłaś do mnie. I, na Boga, zapłacisz za to!

Zamachnął się pięścią. Czuł jak trzasnęła kość. Uderzył drugi raz. Uderzenie za uderzeniem przy akompaniamencie jej krzyków. Zatrzymał się, by obejrzeć krwawą miazgę. Mogłaby to być May Minworth albo jakakolwiek inna kobieta. Lynette Grafton nie miała już twarzy.

Poruszyła ustami, trysnęła krew, nie otworzyła oczu. Zerwał z niej resztki ubrania. Widok jej kształtnych piersi rozwścieczył go jeszcze bardziej. Szarpał pazurami, jak wściekły lew rozrywający ciało upolowanej gazeli, krew znowu trysnęła.

Jej głowa opadła bezwładnie, potrząsnął nią brutalnie.

— Nie, nie wymkniesz się tak łatwo, jeszcze nie skończyłem. — Jęknęła. — Wtedy jego silne palce zaczęły pieścić jej gardło, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Oddychała ciężko, z trudem otworzyła zapuchnięte powieki, jej przerażone oczy napotkały jego wzrok. Dwoma kciukami zacisnął krtań, napierając całym ciężarem ciała na jej szyję, zacieśnił jednocześnie uchwyt. Oczy wyszły jej z orbit, krew popłynęła z ust, które daremnie chwyciły powietrze.

Czuł, że Lynette odchodzi i było mu przykro, że nie wytrzymała dłużej, że koniec przyszedł tak szybko. Ale wiedziała i tylko to miało znaczenie. Uderzył ją znowu, jego furia jeszcze się nie wyczerpała. Wściekłość zaczęła powoli opadać, kiedy Ssący Dół wezwał go z ciemności.

„Spiesz się, czekamy!”

Wstał z klęczek, odwrócił się, by iść, kiedy nagły pomysł zaświtał w jego oszalałym umyśle.

Z dziecinnym entuzjazmem dźwignął ciało, zdołał zarzucić je na ramiona, zrobił chwiejnie kilka kroków, cudem łapiąc równowagę i z rozpędu ruszył w dół ścieżką.

Potykając się, wyszedł zza drzew w jasne światło księżyca. Dyszał astmatycznie. Zobaczył półkole pomalowanych domów na kółkach, ale nie okazał zdziwienia. Od tej chwili akceptował wszystko i nie pytał o nic.

Ralph Grafton wiedział, że to pogrzeb, zanim jeszcze zbliżył się do zgromadzonych, przyglądając się im uważnie. Lynette zwisła z jego zgarbionych ramion. Stara kobieta rozciągnęła usta w bezzębnym uśmiechu i skinęła na niego, dając jakiś znak olbrzymiemu Cyganowi ze złotym kolczykiem w jednym uchu, który stał przy jego boku. Inni, mężczyźni i kobiety, a także dzieci, chronili się w ciemności, jakby rozmyślnie ukrywali się przed nim. Tylko jeden człowiek stał z boku, poza gromadą, jakby wykluczony ze wspólnoty. Mężczyzna ubrany był w westernowy strój i buty do kolan. Zapadał się on w bagno po kostki. Stał wsparty pod boki, wpatrzony prosto przed siebie, jakby był w transie. Wydał się Graftonowi znajomy, ale nie mógł go zidentyfikować; poza tym nie miało to znaczenia.

— Oczekiwaliśmy twojego przybycia. — Wysoki Cygan ruszył naprzód z wyciągniętymi ramionami.

— Dół czeka na kolejny pogrzeb. Będzie ich więcej, zanim noc przeminie. Głębie zostały okradzione. Ci, których złożono tam na wieczny odpoczynek muszą zostać zastąpieni. On jest rozgniewany za świętokradztwo i żąda nowych ofiar. Było już ich kilka, ale to jeszcze nie dosyć. Daj mi kobietę!

Grafton na wpół obrócił się, ciężar wysliznął mu się, ale tamten złapał Lynette, podniósł ją prawie bez wysiłku i zaczął kroczyć z powrotem w kierunku wody.

Przetoczył się grzmot i, jakby był to sygnał do rozpoczęcia obrzędu, zgromadzeni podjęli wolny, niemelodyjny śpiew. Szept, słowa w obcym języku, które mogły być szumem wiatru, wzmagwały się, biczowały trzciny, pochylały je w hołdzie siłom, które skrywały się pod powierzchnią wody.

Stara kobieta siedziała wyprostowana, ze wzniesionymi ramionami. Grafton zobaczył, że Cygan trzyma nagie ciało Lynette w górze.

Wiedźma na noszach dała znak i Lynette odeszła, bezwładne ciało z pluskiem uderzyło w wodę. Jednostajny śpiew zgromadzonych z wolna zamierał. Potem jakiś głos zaczął śpiewać głęboko, żałobnie, słowa wydały się Graftonowi pozbawione sensu, jednak wzbudziły w nim przerażenie. Obecność tego kowboja była daleko bardziej złowroga, niż obecność Cyganów, bo, podobnie jak Grafton, został on tu zwabiony z jakiś diabelskich powodów. Nagłe olśnienie przełamało urok, który opanował Graftona, przyniosło strach i poczucie winy za to, co zrobił.

Chciał uciekać, walczył, by wyciągnąć stopy z bagna, wiedział jednak, że nigdy mu się to nie uda, poddał się więc swemu przeznaczeniu, zanim jeszcze wielkie ręce cygańskiego olbrzyma chwyciły go i pociągnęły w tył. Został podniesiony w górę. Nie walczył nawet, kiedy niesiono go do Ssącego Dołu.

— Może On cię zabierze — zagrział Cornelius, odczekawszy, aż przetoczy się grzmot. — Służyłeś nam dobrze i zostaniesz nagrodzony, ale także ukarany za zbezczeszczenie świętego miejsca. Ssący Dół zdecyduje.

Cornelius odwrócił się powoli, odwzajemnił uśmiech Roon.

— Wkrótce Ssący Dół na powrót będzie cmentarzem naszych ludzi — powiedział cicho. — Teraz czekamy na przybycie tego, który pierwszy go zbezczeszczył i próbował nas zniszczyć. Ale znowu żyjemy i chwila naszej zemsty jest bliska, bo On z pewnością wezwał Latimera, by zjawił się tu dziś w nocy.

— Mój Boże, to Carl! — westchnęła Samantha. — Kim są ci ludzie? Co oni mu zrobili?

Chris Latimer ścisnął ją mocno za ramię, bojąc się, że mogłaby ruszyć na dół, ku dziwacznej gromadzie stojącej przy rozciągającym się poniżej bagnie. Jego umysł odmawiał zaakceptowania tego, co widziały oczy. Umarli wstali z grobu! Pamela przywarła do niego. Jeśli nie byli już szaleni, to z pewnością wkrótce będą. To przerastało zdolności pojmowania ludzkiego umysłu.

— To nie może być — szepnęła.

— Nie rozumiem tego — odparł. — Jakaś astralna projekcja, może reinkarnacja, tyle, że dotykalna. Zła i niebezpieczna. Martwi podnieśli się z Ssącego Dołu!

Patrzyli w milczeniu. Cyganie z przeszłości, ubrani w swe kolorowe stroje, zgromadzili się na brzegu. Stara wiedźma spoczywała na prymitywnych noszach, wielki mężczyzna, stał obok niej. Wszyscy czekali; na co?

— To Cornelius — zamruczał Latimer. — I, o ile się nie mylę, jest tylko jedna osoba, na którą czeka. To ja! Wpakowałem w niego kiedyś cztery pociski, a nawet po tym nie umarł natychmiast. Ale nie sądzę, by rewolwery były teraz przydatne, gdybyśmy je mieli, oczywiście.

— Zrobili coś Carlowi — krzyknęła Samantha. — Spójrz na jego twarz, teraz, kiedy księżyc ją oświetla. Wygląda jak woskowa maska!

I jakby chcąc oszczędzić im tego przerażającego widoku, chmury zasłoniły tarczę księżyca. Widzieli tylko przemieszane cienie i sylwetki.

— Rodzaj hipnozy — powiedział Latimer, przypominając sobie, jak Pamela zachowywała się dzisiejszego ranka. Wydawało się, że było to tysiąc lat temu. Albo we śnie i dlatego tu wszyscy byli. W dziwny sposób Ssący Dół wezwał ich do powrotu, by wyrzucić na nich swą zemstę!

Niskie, żałobne tony unosiły się w powietrzu, smutna ballada o minionych cygańskich dniach. Carl Wickers intonował słowa niezrozumiałe dla trójki patrzących z twarzą wzniesioną w ciemne niebo. Ciągłe i ciągle, zgromadzeni podejmowali śpiew, słowa narastały, jak wiatr wzmagający się przed burzą.

— Co się dzieje? — Samantha była blada i napięta. — Nie może wiedzieć, co śpiewa.

— Może tak, może nie. — Latimer utkwiał wzrok w bagnie, najpierw czując raczej, niż widząc, jakiś ruch. Lekkie zmarszczki, jakby ryba przepłynęła tuż pod powierzchnią, ale tam nie było żadnych ryb, tylko. . .

— Bagno. — Pamela przylgnęła do niego, płakała ze strachu. — Tam. . . coś z niego wychodzi!

Czarne wody wydawały się podnosić, dudnienie wstrząsnęło całą ziemią, woda rozbryznięta się, zapieniła. A potem zobaczyli stojącą na brzegu dziewczynę, drobną i niewysoką, spowitą w rodzaj białego całunu powiewającego na wietrze. Powinien być zmoczony, przylegać ściśle do gibkiego ciała, a tymczasem był suchy!

— Jenny Lawson — westchnął Chris Latimer. — Och, mój Boże, wezwali ją także!

— Kim jest Jenny Lawson?

— Nie rozumiałabyś, powiem ci tylko tyle, że jest to opętana dziewczyna, która została wskrzeszona. Posłużyli się Carlem w tym celu!

Dziewczyna zwana Jenny Lawson ruszyła ku Roon i Corneliusowi. Czy było to złudzenie księżycowego światła, czy wielki Cygan rzeczywiście cofnął się o krok? Roon milczała. Nagle wiedźma z dołu poruszyła się gwałtownie.

Jej ciało wibrowało w kuszącym, erotycznym tańcu, kiedy przesuwała się od Corneliusa ku zgromadzonym Cyganom. Cofnęli się. Wybuchnęła donośnym, ostrym śmiechem i zbliżyła się do Carla, naśladując ruchami ciała kopulację.

Wyciągnęła rękę, złapała go za koszulę, obnażyła jego pierś, dotknęła ciała. Przysunęła się blisko, przycisnęła swą pierś do jego piersi, otoczyła ramionami jego szyję, przyciągnęła jego twarz do swojej. Ich wargi spotkały się w pocałunku.

— Nie! — Samantha wyrwała się z uchwytu Latimera, wpadła na otwartą przestrzeń. — Ty wstrętna suko, trzymaj się od mego z daleka!

— Wracaj — krzyknął Latimer, ale wiedział, że nie powstrzyma jej.

— Och, Boże! — jęknęła Pamela.

— Zostań tu. — Latimer odwrócił się do niej. — Nie ruszaj się z tego miejsca, rozumiesz?

Skinęła głową i wyszedł z za drzew, przerażony tym, co zobaczył. Miał uczucie, że robi coś niesłychanie głupiego. To daremny trud — mrucał — zapłaci za to nie tylko życiem, ale duszą.

Jenny Lawson odwróciła się, wargi rozchylił jej pożądliwy uśmiech, kiedy zobaczyła kierującą się dziewczynę ku niej.

— Ty brudna dziwko! — zawyła Samantha. — Trzymaj swe wstrętne łapy z dala od niego. On jest mój! — była bez tchu, stopy zapadały się jej w podmokły grunt.

Jenny Lawson wyciągnęła rękę i Samantha zatrzymała się, z ustami otwartymi do krzyku. Przetoczył się grzmot, echo zamarło na pewien czas. Wszyscy patrzyli, nawet Cornelius wydawał się być przestraszony.

— Ty głupia! — zasyczała dziewczyna powstała z głębi Ssącego Dołu. — Jak mogłaś nawet pomyśleć o zatrzymaniu mnie! — zaśmiała się. — Nikt nie może mnie zatrzymać, bo ci, którzy żyją w Ssącym Dole przekazali mi swoją moc. To nie jest twój mężczyzna, on jest mój, od chwili kiedy go zechciałam. Zwabiłam go tutaj pod inną postacią, połączyłam się z nim i on należy do mnie. Jednak nie zostaniesz od niego odłączona, bo ty również będziesz żyła w tym miejscu, służąc nam przez wieczność!

Zawahała się, ciemne źrenice rozbłyły, kiedy zobaczyła zbiegającą ku nim, po zboczu postać. Zaczerpnęła powietrza i krzyknęła przesywająco.

— On nadchodzi, Cornelius. Widzisz go? To Latimer. Jest twój, pamiętaj, co ci zrobił, co zrobił nam wszystkim. Teraz wybiła godzina twej zemsty! Będziemy żyli, podczas gdy oni umrą!

Samantha stała nieruchoma i milcząca, z bezmyślną twarzą, widząc Carla Wickersa, ale już go nie poznając. Słyszała zbliżającego się Latimera, ale jego przyście nic dla niej nie znaczyło. Była tu, by służyć, słuchać, czy nie tak rozkazała jej Jenny Lawson? Nie zadawała żadnych pytań.

Cornelius ruszył ze zdumiewającą zwinnością, jego smągła twarz wykrzywiła się w uśmiechu, oczy zabłyły bezlitosną nienawiścią. Jego dusza była uwięziona i torturowana do tej pory. Teraz nastąpił moment uwolnienia i zemsty.

Chris Latimer zatrzymał się, odwrócił głowę, by nie spotkać spojrzenia Jenny Lawson.

— La-ti-mer — Cornelius mówił cicho, wyciągając w oczekiwaniu rękę. — Przyszedłeś, tak, jak mi obiecano. — Złoty kolczyk kołysał się w jego uchu, jak wahadło zegara wybijającego ostatnią godzinę.

— Chcę Carla Wickersa — głos Latimera był równy i niski. — I Samanthy. Oddajcie ich nam i odejdziemy. Obiecuję, że nie będziemy was więcej niepokoić.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, obaj pamiętali swe ostatnie spotkanie — to samo miejsce, to bagno wydzielające opary, lodowata mgła przenikająca ciało. Była tylko jedna różnica: wtedy obaj byli śmiertelni, a Chris Latimer miał strzelbę.

Cornelius szarpnął koszulę, ukazując muskularny tors. Białe ciało, kiedyś porośnięte gęstymi, splątanymi włosami. Teraz włosy posiwiały, przerzedziły się, odsłaniając skórę, na której widniały zaropiałe dziury.

— To ty zrobiłeś. — Cygan zakrył pierś, cofnął się. — Cztery strzały, które mnie zabiły.

Latimer złapał oddech. Nie prosił o łaskę i sam by jej nie miał, tylko, że tym razem nie mógłby go zabić, bo Cornelius był żywym trupem, a oni wszyscy wkrótce do niego dołączą.

— Po co wam Carl Wickers? — spytał.

— Potrzebujemy go. Zna stare ballady, słowa i muzykę, która umożliwi nam znowu życie, bo On go słyszy.

— Weź mnie, a puść Samanthę i Carla. Myślał o Pameli. Mogłaby uciec, wymknąć się niezauważona. Ale wiedział, że nie opuści go.

— Nikt stąd nie odejdzie. Już wkrótce nauczysz się, co to jest życie w śmierci, Latimer.

Dokładnie nad nimi huknął piorun. Cornelius podniósł głowę. Oślepiająca błyskawica rozświetliła niebo i pierwszy raz Latimer ujrzał wyraźnie twarz Jenny Lawson. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś byli w sobie zakochani, przed tym fatalnym dniem, kiedy przyjechała do swego wuja Toma tu, do tego lasu. Od tamtego dnia wszystko się zmieniło. Zobaczył ją taką, jaka była wtedy — drobną figurkę z długimi, ciemnymi włosami spadającymi na ramiona, nieskazitelną w każdym calu. Spojrzał na nią teraz. . . To wystarczyło by zniszczyć wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek do niej żywił. Jej twarz stała się wynędzniała, kremowa biel skóry przeszła w śmiertelną bladość, półprzeźroczysta miejscami, jakby ciało zaczęło się już rozkładać. Oczy zapadły się głęboko w ciemne oczodoły, usta, kiedy je otworzyła, wydawały się czarną jamą. Była trupem powstałym ze swego wodnego grobu, by siać zniszczenie.

— Skończ z nim, Cornelius — rozległo się ostre skrzeczenie Roon. — Potem będziemy mogli żyć znowu.

Cornelius ruszył. Może pamiętał, jakie rzeczy zaszły kiedyś między nim i Jenny, może sądził, że ten mężczyzna stojący naprzeciw niego stanowi coś więcej, niż zagrożenie ich wskrzeszenia. Stare rany piekły w martwym ciele, wzniecały na nowo furie.

Latimer spojrzawszy na widzów. Gładiator rzucony lwom na pożarcie. Wynik był z góry określony. Tarł i Samantha patrzyli bezmyślnie, bezrozumnie. I nagle usłyszał krzyk Pameli, klaśnięcie kroków, kiedy torowała sobie drogę przez podmokły grunt.

— Chris, Chris, uciekaj. Nie walcz z nim!

Ona także została zwabiona tu na dół, wzgardziła szansą ucieczki. Zły złowił ich w swe sieci — zdobycz była w komplecie.

Nastąpiła chwilowa konsternacja, ale oznaczało to przedłużenie życia najwyższej o kilka minut.

— Wracaj! — zawył, choć wiedział, że to daremne.

Cygański olbrzym zawahał się, widząc nadbiegającą dziewczynę. Ale Jenny Lawson uprzedziła go płynęła w powietrzu jak białe wodne widmo. Zastąpiła drogę Pameli, wznosząc ramię w rozkazującym geście.

Pamela potknęła się, zatrzymała. Otworzyła usta do krzyku, ale zamknęła je powoli. Znikła ślepa panika, desperacja. Jej twarz stała się niewzruszona, patrzyła prosto przed siebie, nie widząc nawet Latimera.

Cornelius przyskoczył, wyciągnął ku niemu rękę. Kierowany raczej rozpaczą, niż nadzieją Chris zamachnął się pięścią. Poczul, że trafia w ciało, uderzenie wstrząsnęło jego ramieniem, wzdrygnął się przeniknięty lodowatym zimnem jakby oślizłego gada. Przez całe życie brzydził się zimnokrwistych kreatur, a teraz jego przerażenie dochodziło do ostatecznej granicy.

Cornelius złapał go w miażdżący kości uścisk. Zagięte ramię groziło złamaniem karku, drugie skrępowano mu ręce na plecach.

— Mógłbym zabić cię w sekundę — Cygan czytał w jego myślach. — Ale to byłoby za szybko, Latimer. Ja nie zapomniałem, że posłałeś mnie w te głębokie krwawiące z tyłu ran. Tam w dole, jeśli będziesz jeszcze żył, zobaczysz rzeczy, które przyprawiają cię o szaleństwo, ale nawet obłęd nie stępi twego przerażenia. Chcę, byś poszedł tam na dół żywy, pozwolę im zabić cię i uczynić jednym z nas. Potem będziesz nam służył przez wieczność!

— I ta dziwka także, Cornelius — wtrąciła Jenny Lawson ochryłym, przepelnionym nienawiścią głosem. — Wrzucić ich oboje, wypraw im obojgu piekielny chrzest!

Jednym ruchem Cygan zwolnił swój uścisk na szyi Latimera, chwycił go w pól, drugim ramieniem zagarnął Pamelę i demonstrując niewiarygodną, nieludzką siłę, ruszył z nimi w kierunku Ssącego Dołu.

W uszach miał ryk tysięcy wodospadów, przez które próbowały się przedrzeć inne dźwięki. Głosy, śpiewy. Ktoś podjął niemelodyjną balladę:

*„Zabierz mnie z powrotem głęboka wodo.
Do tych, których zostawiłem w domu”.*

Chris Latimer unosił się na krawędzi nieświadomości, ciemna otchłań otwierała się pod nim.

Przed oczami przewijały się mu jakieś obrazy; zastanawiał się czy dzieje się to w Ssącym Dole, czy też pokazano mu życie, które stanie się jego przeznaczeniem?

Ryk w uszach stawał się coraz głośniejszy, zagłuszał balladę Carla Wickersa. Nie mógł także usłyszeć żalobnego cygańskiego zawodzenia. Za sekundę miała zamknąć się nad nim lodowata woda. Nad Pamelą także.

Wrócił do niej myślami. Była zbyt piękna, by umierać w ten sposób. Próbował walczyć, ale chwyt Corneliusa nie pozwalał mu na żadne ruchy.

Błyskawice rozświetlały ciemność, burza dochodziła do zenitu. Kaskady lodowato zimnej wody lały się z nieba.

Cornelius zatrzymał się. Latimer otworzył oczy, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec.

Musieli być na skraju Ssącego Dołu, dotarli do kresu drogi. Sprężył się w oczekiwaniu, przygotowując się na szok zetknięcia z zimną wodą. Starał się dosięgnąć Pamelę, zanim zostaną wchłonięci.

Znowu uderzył piorun, choć nie poprzedziła go błyskawica. Zagrział jakoś inaczej, przytłumiony jak podziemna eksplozja. Zamierał o wiele dłużej. Latimer poczuł wibrację, drzenie ogarniające całe ciało. Krzyknął. Usłyszał krzyk Pameli, ale wszystko zatoneło w kolejnym grzmocie, który wciąż narastał. I jeszcze jeden grzmot.

Nagle Latimer został wyrzucony w powietrze. Każdy nerw jego ciała napiął się do granic możliwości.

Uderzenie, ból w ramieniu. Coś było nie w porządku, jego umysł pracował na zwolnionych obrotach i minęło kilka sekund, zanim zrozumiał. Nie było żadnej wody, leżał na podmokłej bagiennej trawie, ciągle oddychał, nie musiał płynąć, nie musiał desperacko walczyć o życie!

Tarzał się w błocie, było tak ciemno, że nie mógł zobaczyć, co się stało. Gdzie jest Cornelius? I Pamela? Dlaczego nie zostali wrzuceni do Ssącego Dołu?

Gwałtowny deszcz chłostał jego twarz, kiedy dźwignął się na kolana, czując znowu te przerażające wibracje, drzenie, które zaczynało się od nóg i pięło się wyżej, paraliżując ciało i umysł. „Och Boże, gdzie Pamela?” — myślał roztrzęsiony.

Zagrzmiało, ale było to niczym, jeśli porównać to z tym dochodzącym z głębi ziemi. Zachwiał się na nogach, z trudem utrzymywał równowagę. Zataczając się, szukał po omacku czegoś, na czym mógłby się oprzeć. Potem jego ręka napotkała żywe ciało ludzkie, palce, które zacisnęły się i przyciągnęły go kiedy wydał okrzyk ulgi.

— Pamela!

— Chris!

Przywarła do niego, krzyczała coś, ale gwałtowna zawierucha porywała słowa. Latimer posuwał się naprzód na oślep, całkiem zdezorientowany, zmagając się z żywiołem, bojąc się, że w każdej sekundzie mogą wpaść do Ssącego Dołu.

Oślepiająca błyskawica rozjaśniła las, zmusiła ich do osłonięcia oczu, ale zobaczyli dosyć; widzieli, choć nie wierzyli, wytrzeszczając oczy w osłupieniu.

Cornelius zniknął, Cyganie także, nie zostało śladu po Jenny Lawson. Nie było Carla i Samantha. Nikogo. Zniknęli, jakby siły, które ich tutaj zwabiły, wezwały ich z powrotem. Został, tylko Chris Latimer i Pamela, brnący przez opuszczoną okolicę.

Piaszczyste wzgórza osypywały się lawinami, kiedy smagał je deszcz. Ziemia drżała od wstrząsów, otwierały się szczeliny, pochłaniając masy wody. Podmokły grunt pod ich stopami dygotał, jakby setki młotów pneumatycznych przewiercały wnętrze ziemi.

Chris Latimer odzyskał już orientację. Jediną szansą przeżycia było kierować się na lewo, ale musieli się spieszyć. Wydostać się stąd zanim dosięgnie ich katastrofa.

Przestało padać, wiatr ucichł. Księżyc odważył się wyrzeć zza chmur, oświetlając wszystko niezwykłym światłem. Gdzieś szumiała woda, poza tym panowała absolutna cisza.

— Co... się stało? — Biała twarz Pameli była pomazana błotem. Wiedziała, że nie zdoła wstać bez pomocy Chrisa. Była wyczerpana, zbyt wyczerpana, by jasno rozumować.

— Osiadanie — szepnął. — Przynajmniej tak stwierdzą geolodzy. Ziemia rozkopywana była zbyt długo. I to wszystko przyczyniło się do katastrofy w czasie burzy.

— Ale drzewa i...

— Były w twym własnym umyśle. — Rozejrzył się. — Jak Cornelius i Jenny Lawson, to coś, czego nigdy nie zrozumiemy. Odeszli, tak samo jak Ssący Dół, zniszczony na zawsze. Mogliśmy zginąć, ale uratowaliśmy się. Dlaczego? Nie wiem.

— Carl i Samantha — głos Pameli zadrżał. — Oni... oni zostali tam pogrzebani.

— Obawiam się, że tak. Może byli martwi już przedtem, stali się żywymi trupami, bo spojrzeli w oczy czarownicy. Nigdy się tego nie dowiemy i może tak jest lepiej. Nie możemy nikomu powiedzieć, co widzieliśmy tej nocy, jeśli nie chcemy wylądować w szpitalu psychiatrycznym. Musimy pozwolić, by wszyscy wyciągnęli własne wnioski. I nikt nie będzie nawet domyślał się prawdy. Jedyni ludzie, którzy zwyciężyli, to miejscowi. Dostaną z powrotem swoją krainę.

Niemożliwe było biec. Raz po raz zapadali się w bagno po kolana. Ogarnęła ich panika, kiedy walczyli, by się wydobyć. Woda wirowała dookoła nich, bulgotała, jakby z tryumfem, ale wydobyli się jakoś i ruszyli dalej.

Kolejna oślepiająca błyskawica przecięła zygazkiem niebo, uderzyła w wodę, sycząc ze złością, jakby spotkała się z demonem ze Ssącego Dołu. Wiatr wył, rozlegały się diabelskie krzyki.

Chris czuł, że opada z sił. Tylko determinacja i wola życia pozwoliły mu przetrwać. W każdej sekundzie ziemia mogła się otworzyć, posłać ich w mroczne otchłanie, pogrzebać tak, jak by to zrobił Ssący Dół. Grunt drżał teraz silniej, woda płynęła teraz szybciej i szybciej. Rozległ się przerażający trzask. Rozpadło się wielkie wzgórze, ustępując potężniejszej sile.

Zaczął biec, dozywając resztek sił, niosąc swą towarzyszkę. Grunt podnosił się, znowu opadał, aż nagle ziemia pod ich stopami stała się twarda i mocna. Szli zataczając się, stopy już nie grzęzły.

Podtrzymywali się nawzajem, aż w końcu nie byli w stanie iść dalej. Spleceni ramionami osunęli się na ziemię, nie kryjąc łez radości. Jeszcze raz żywioły oświetliły całą scenę. Nie mogli uwierzyć, że naprawdę byli tam, na dole. Ostateczne zniszczenie dokonano się. Ssący Dół został pogrzebany! Chris objął i przytulił Pamelę. Dziś w nocy przeżyli koszmar, jutro muszą spróbować o nim za-

pomnieć. Ssący Dół ożył, siał przemoc i zemstę, nim został znowu pogrzebany. Modlili się, by tak już pozostało, by złe cygańskie duchy znalazły wieczny spoczynek.

Dwoje ludzi opuściło oświetlony księżycem Las Hopwas. Byli jedynymi, którzy przeżyli i wiedzieli, że nigdy nie powrócą tu. Nigdy.